

Casanova zakochany

Tytuł oryginału Casanova

1998

(tłum. Katarzyna Kasterka)

2000

Powieść: Drobna historyjka,

Zwykle o miłości.

Ze „Słownika” Samuela Johnsona

Dla PW i DK

OD AUTORA

Powieść ta częściowo oparta jest na pamiętnikach Casanovy „Histoire de ma

wie”, spisanych przezeń w podeszłym wieku w zamku księcia Waldsteina w Dux, na pograniczu czesko-niemieckim. Głównie jednak przedstawione tu wydarzenia są wytworem fikcji literackiej.

Historyczny Casanova zmarł 4 czerwca 1798 roku - jego organizm pokonały w końcu siedemdziesiąt trzy lata niezwykłych przygód. Pochowano go na cmentarzu Świętej Barbary, na obrzeżach Dux. Kamień nagrobny z nazwiskiem nie dotrwał do naszych czasów, zachowała się jednak legenda głosząca, że przez wiele lat rdzewiejący krzyż nad jego grobem zahaczał o suknie młodych kobiet przechodzących ścieżką obok.

Marie Charpillon była później kochanką angielskiego radykała Johna Wilkesa, jednak po roku 1777 - w wieku zaledwie trzydziestu jeden lat - znikła z kart historii. Jej los pozostał nieznany.

Cześć pierwsza

Zaskrzypiały drzwi i z holu wpłynęła fala światła. Służący otworzył okiennice, pchnął je na zewnątrz i zacierając ręce, rozejrzał się po oproszonych śniegiem dachach Dux. Stary człowiek siedzący na krześle za jego plecami z psem u stóp przestał szlochać, stłumił bezładne mamrotanie i wciągnął w nozdrza aromat nowego dnia.

- Gość do pana, mein Herr - oznajmił służący, odwracając się od okna i obrzucając starca takim wzrokiem, jakby miał przed sobą postać z jednego z wielkich arrasów należących do księcia Waldsteina, zwieszających się ze ścian pełnego przeciągów dolnego holu - człowieka utkanego z delikatnej nici, tak chudego i wyniszczzonego, że nikogo by nie zdziwiło, gdyby przez jego pierś prześwitywało oparcie krzesła, na którym siedział.

- Gość?

- Jakaś „dama”, mein Herr. Sehr schöne.

Bezczelniejszy niż zazwyczaj - bo księżę wyjechał do Feldkirchner, a majordomus nazywał starca dziwadłem i reliktem przeszłości (obrzucał go nawet jeszcze mniej wyszukanyymi słowy) - służący przymrużył porozumiewawczo oko, cmoknął oblesnie i wymknął się z pokoju. Stary człowiek, walczący w tym czasie z okrywającymi go pledami i siłą grawitacji, zdołał w końcu podnieść się z krzesła i ruszył w stronę drzwi, wymachując przy tym zwiniętymi w pięść rękami, przypominającymi rogi ogarniętego furia ślimaka.

- Czyścicielu nocników! Jakobinie! Twój pan o tym usłyszy, nędzny robaku!... A co z ogniem, he? Chcesz mnie zamrozić na śmierć? Bodajże kiła zżarła ci nos!

Ów wybuch wściekłości był jednak zupełnie pozbawiony sensu, starzec wykrzykiwał bowiem swe obelgi po włosku, a ściśle mówiąc w dialekcie weneckim, zupełnie niezrozumiałym dla tych barbarzyńców. Po tysiącokroć już obiecywał sobie, że nauczy się kilku najbardziej obscenicznym niemieckich i czeskich wyzwisk - przeszywających trzewia równie gwałtownie, jak doskonałe ostrze tolekańskiej szpady. Gdyby znał takie dosadne słowa, wówczas zyskałby może nieco szacunku. Ale teraz, oczywiście, było już za późno na rewolucyjne posunięcia, czas cudów przeminął.

Stary człowiek potrząsnął głową i podreptał w stronę okna. Smugi dymu wypelzały z okolicznych kominów, a śnieg - po nocnej przerwie - znów zaczął sypać, pokrywając z wolna delikatne hieroglify ptasich stóp na parapecie. Płatki śniegu, wirując, opadały na plac targowy, gdzie na tle pokrytych puchem gęsi ciał nabierały szarawej barwy. Starzec dostrzegł w ich pobliżu plamę czerwieni - znak, że niedawno popłynęła tam krew.

Na dziś musiał przypadać dzień targowy, a pewnie też dzień szczególnych uciech, zjawił się bowiem objazdowy teatrzyk marionetek, z lalkami zrobionymi z kości i drutu oraz starym wiernym mułem, obwożącym cierpliwie całą trupę od Olmutzu po Hubertusburg. Onegdaj i on, wsparty na lasce, schodził, by popatrzeć na ich facecje, bo było w tych widowiskach coś prawdziwie uciechowego. Na jego cześć trupa - ten rodzaj ludzi zawsze traktował go z dużą uprzejmością - przedstawiała niekiedy marionetkową wersję *commedia dell'arte*: z *Dottore* i *Brighella*, *Arlecchinem* i, oczywiście, *Kapitanem Spavento*, który nie mógł nosić koszuli, bo ilekroć zawrzał oburzeniem, gęste włosy jeżyły mu się na piersi. Te spektakle pobudzały starego człowieka do śmiechu, ale i do płaczu - idiotycznych starczych łez, gęstych niczym bursztynowa żywica, których nie potrafił w żaden sposób powstrzymać.

Że też przyjdzie mu dokonać żywota właśnie w takim miejscu! W tej smaganej wichrami trupiarni na krańcach Bohemii - chociaż trzeba przyznać, że niekiedy wiosną bądź latem przyływał tu lekki wietrzyk z południowego zachodu, pozwalając mu przez pół dnia kosztować smak innego świata: ukwieconych

balkonów, kolumnad skąpanych w liliowym cieniu, popołudni tak długich, że zdawały się trwać całe życie, szczególnie gdy leżąc w ramionach jakiejś piękności, wdychało się aromat jej włosów i ciepłego oddechu bijącego spod pukli rozsypanych na piersi...

Nie. Myśli o kobietach nie były już dla niego, chociaż zdarzało się czasami, że o nich śnił, a gdy się budził, okrywające go prześcieradła ujawniały drobne wybrzuszenie świadczące, iż niewielkie ilości krwi przedostawały się jeszcze niekiedy do jego męskości. Zdecydowanie lepsze były jednak te noce, gdy sen jedynie odcinał go od wszelkiej świadomości - był próbą śmierci, przed którą starzec nie zamierzał się już dłużej ukrywać. Sny, niegdyś tak pokrzepiające, teraz jedynie urągały jego godności.

Na stole, wśród szpargałów, odkrył resztki jajka na twardo. Obejrzał je z uwagą, po czym ułamał kawałek zimnego białka i włożył połowę do ust, resztą zaś nakarmił swą foksterierkę, Finette, gładząc przy tym pieszczotliwie jej uszy. Potem powoli, sztywno pochylił się i ucałował przystrzyżony, gładki welwet psiej głowy.

- Czyżby ten padalec powiedział, że mamy gościa?

Ulubienica wpatrywała się weń uważnie, a w tym spojrzeniu nie było ani krzty bezmyślności; wydawało się przepełnione inteligencją i żalem, iż na ten gest uczucia nie może odpowiedzieć inaczej jak tylko węszeniem, machaniem ogona i przyjaznymi pomrukami. Starzec wzruszył ramionami. Teraz już nigdy nikogo nie oczekiwał, ale ludzie i tak wciąż się zjawiali - przybywali jako jego goście i choć ich nie rozpoznawał, nie potrafił wydobyć z pamięci ich twarzy, witał jednak przyjaźnie, ponieważ czasami przynosili ze sobą prezenty: wino, ser mascarpone, a niekiedy nawet langusty, za którymi przepadał, a z których kucharz przyrządzał dlań zupeł. Przybysze siadali, grzecznie wysłuchiwali opowieści, kiwali głowami i pró12 Casanova zakochany bowali nakłonić go do rozmaitych niedyskrecji - chociaż zupełnie nie mógł sobie wyobrazić, kto jeszcze z ludzi, których znał, pozostał na tej ziemi, i kto mógłby spłonąć rumieńcem z powodu jego zwierzeń.

Tak czy inaczej tym razem naszła go ochota, by wdziac porządny żakiet. Zostały mu jeszcze ze dwa godne okrycia, które zdołały się oprzeć molom i wilgoci. No i te

papiery, nadające jego komnacie wygląd kantoru obłąkanego kancelisty! Czas, by ją wreszcie uprzątnął, bo służba nigdy się do tego nie zabierze. Starzec wytarł nos w rękaw i - wdzięczny, że nadal przychodzą mu do głowy podobne myśli, skromne wzloty umysłu, przypominające, że wciąż jeszcze (choć w minimalnym stopniu) jest obywatelem świata - nagłym ruchem podniósł najbliższej leżące papiery, poprzekładał w dłoniach, po czym, mrużąc oczy, przyjrzał się nagłówkowi na arkuszu zwieńczającym plik.

„Powielenie sześcioboku przedstawione według reguł geometrycznych wszystkim uniwersytetom i wszystkim akademiom w Europie”.

Poniżej, zamiast obiecaney naukowej rozprawy, znajdowała się lista ruchomości, które zaginęły mu od czasu, gdy przybył do tego plugawego gniazda srok, by objąć posadę nadwornego bibliotekarza; dalej zaś następowało około tuzina stron objaśniających, jak - posługując się rozumnie regułami arytmetyki - można być pewnym wygranej na loterii w Rzymie, Genewie czy gdziekolwiek na świecie; chociaż jemu w tej materii szczęście nigdy nie dopisało.

Starzec chwycił papierzyska w ramiona niczym brudy przeznaczone do prania, lecz zamiast wcisnąć je do jednej z szuflad bądź kopniakiem wepchnąć pod łożę - zakładając, że znalazłoby się tam jeszcze trochę miejsca - podszedł do paleniska i cisnął arkusze w wychłodzone popioły. A potem, pocierając krzesiwem o hubkę, zapalił drewnianą draskę i przytknął do papieru.

Puffff!

Jakże szybko owe karty poddawały się płomieniom! Błękitne i pomarańczowe usta ognia połykały inkaust, mięsiste włókna, eleganckie, pełne zawijasów pismo i uczucia (Unico Mio Vero Amico); słowa francuskie, włoskie, czerwony i czarny воск. Mężczyzna przyglądał się temu przez moment, na wpół przerażony, ale już po chwili przyniósł następną porcję strawy dla ognia: listy miłosne, łacińskie traktaty, prośby o pieniądze, o audiencję, o posadę oraz rachunki wszelkiej maści - jednak w przeważającej większości od krawców i handlarzy win. Wszystkie one wędrowały teraz na stos, buchały jaskrawym płomieniem, by w końcu ulecieć kominem ku ołowianym chmurom nieba Bohemii. Po chwili starzec zaczął opróżniać szafki

komód opatrzonych herbem Waldsteinów i kieszenie żakietów, których nie nosił już od miesięcy, a właściwie od lat. Finette, z ciemnoślizgowymi oczami rozświetlonymi blaskiem płomieni, podążała za swym panem krok w krok, zaintrygowana tą niezwykłą aktywnością. Wkrótce w komnacie zrobiło się niemal ciepło, a on wciąż znajdował jakieś papiery do spalenia. Manuskrypt zatytułowany „Delie Passioni”. Wymięty i pożółkły egzemplarz gazety z Gotenburga. Stary paszport, zezwalający na pobyt w Katalonii - bon pour quinze jours - 1768. Czy ktoś pamięta jeszcze Ninę Borgonzę, której matka była jednocześnie jej siostrą?

Czemuż nie pozbył się tego wszystkiego wiele lat temu? Nagle poczuł się tak, jak musieli się czuć owi balonowi zdobywcy przestworzy, gdy ich powietrzne gondole gwałtownie wzbijały się w górę po wyrzuceniu z pokładów worków z piaskiem. On sam niegdyś planował lot ponad Alpami do Triestu, a stamtąd - do Wenecji. Myśl o dryfowaniu w oparach unoszących się nad morzem, ponad wodami Golfo di Venezia i rozrzucaniu z góry, na mieszkańców miasta, płatków róż oraz bobków psiego łajna przez miesiąc odurzała go niczym mocne wino. Jednak wówczas nieustannie dęły północne wiatry, wszyscy okradali się wzajemnie i w końcu zamiar upadł - podobnie jak wiele innych planów w jego życiu.

Pastwą płomieni padło również kilkanaście stron poematów, a także pierwszy - i jedyny - rozdział jego wspaniałej „Historii Republiki”. Listy od Henrietty, listy od Manon Baletti, libretto pisane z myślą o kompozytorze „Don Giovanniego”, które jednak nigdy nie zostało wysłane. Szyfry, pamiętniki, opisy snów. Spisy bielizny oddawanej do prania. Przepisy na nadziewaną paprykę, a także świńskie nóżki w galarecie. Podobnym zapiskom nie było końca! Jego życie sprowadzało się do stert arkuszy papieru, które teraz obracały się w jedwabiste, czarne popioły.

Gdy już się zdawało, że do spalenia nie pozostało nic poza starą gazetą czy wiotkim, eleganckim banknotem w walucie równie martwej, jak król czy cesarz na nim uwidoczniony, stary człowiek znalazł nagle - wetknięty w czuby swych butów do konnej jazdy (daru wdzięczności od tej nimfomanki, diuszesy Chartres, za wyleczenie z uporczywej ropnej wysypki) - jeszcze jeden pakiecik listów. Było ich siedem czy osiem, przewiązanych podwiązką rdzawego koloru, i miał je już skazać

na śmierć w płomieniach, gdy nagle jakaś dziwna fala niepokoju kazała mu zatrzymać się w pół gestu i unieść pakiecik do nosa - organu, któremu wciąż jeszcze mógł ufać, jednemu z nielicznych, które go nadal nie zawodziły. Pociągnął nosem, rozdał nozdrza i poczuł przebijający przez zapach wiekowej, miękkiej skóry aromat letniego jaśminu, tak nieznaczny i ulotny, że za drugim pociągnięciem (pociągnięciem? - namiętym, zachłannym wdechem!) zniknął nagle niczym twarz za chmurą fajkowego dymu.

Starzec wyszarpnął jeden z listów spod podwiązki, otworzył go i obrócił w dłoniach. Jego oczy rozpoczęły żmudną wędrówkę po liniijkach starannego, dziewczęcego pisma, aż dotarły do podpisu na dole arkusza - pojedynczego M, smukłego jak napaśtek.

„Monsieur, zapewne ucieszy Pana wiadomość, że Pańska papuga została szczęśliwie schwytana na dachu domu piwowara z Southwark, który ofiarował ptaka w prezencie swej małżonce, o ile mi wiadomo, kobiecie obdarzonej potężną tuszą i bardzo pogodnym usposobieniem...”

Gwałtownie zmiął pergamin w zaciśniętej pięści i skruszył w proch. Obrazy z przeszłości, niczym płatki tysiąca wiosennych pąków, wykwitły nagle w jego pamięci. Marie Charpillon, jej matka, ciotki, babka (nieszczęsna kobieta, niechże Bóg mu wybaczy!) - ich postaci wypełniły nagle jego umysł niczym świetlisty kwietny pył; stanęły mu przed oczami jak żywe, w pełnej krasie, tak jakby widział je zaledwie wczoraj, a nie przed z górą trzydziestoma laty. Wraz z nimi pojawił się również Jarba i potężny człowiek-cień, a także Goudar. I Londyn - to miasto przypominające wyciśnięty plaster miodu; miasto żarłoczne, nienasycone, które przeżyło go, wypływając na koniec jedynie kości. Ach, jakim szokiem są tak gwałtowne wspomnienia, jakże niebezpiecznie szarpią jego nadwątlone serce...

Finette zaskomlała. Zmysłem nie danym człowiekowi wyczuła zapewne lekki tupot stóp tamtych umarłych istot, chwyciła w nozdrza zapach zatechłych pajęczyn i cmentarnego pyłu. Przez moment jej pan, zastygły w przerażającym bezruchu, nabrał

wyglądu jednego z owych zmumifikowanych ciał z kościoła kapucynów w Palermo. Ale już po chwili poruszył się i wstrząsany dreszczem podszedł do kominka. Tyle że gdy jego gość wszedł cicho i bez zapowiedzi - starzec wciąż stał w niezdecydowanej pozycji, w smudze mdłego światła śnieżnego dnia, ściskając w dłoni listy.

- Signor Casanova?

Jakaś nuta w jej głosie sprawiła nagle, iż zdało mu się, że ktoś palcem musnął lekko jego włosy na karku. Powoli odwrócił się ku nowo przybyłej.

Spójrzmy na niego teraz: lat trzydzieści osiem, mocny podbródek, wydatny nos, duże oczy w twarzy „afrykańskiego kolorytu”, tors i ramiona muskularne niczym u gwardzisty. Zszedł właśnie po trapie statku w Dover, postępując za diukiem Bedford,

z którym, po pełnych galanterii ceregielach, dzielił koszty podróży z Calais: każdy z nich zapłacił kapitanowi bryku po trzy gwinee. Służba zносиła właśnie ich bagaże i ustawiała na kei.

- In-ge-lan! In-ge-lan!

- Tak, w rzeczy samej to Anglia, monsieur - odparł książę nienaganną francuszczyzną, jakiej należało się spodziewać po oficjalnym brytyjskim wysłanniku do Fontainebleau. - Mam nadzieję, że zaliczysz, panie, swój pobyt tutaj do udanych.

Postali jeszcze przez chwilę, czekając, aż ich nogi i ciała odzyskają równowagę i na nowo przywykną do stąpania po terra firma. Wdychali powietrze przesycone solą, smołą do kalfatażu i odorem rybich wnętrzności. Na wpół nagi chłopiec, przytrzymując swego kundelka za kark, wlepił w nich wzrok - pożerał oczami ich obcisłe rękawice, grube płaszcze, ozdobne rękojeści szpad połyskujące w słońcu - z takim wyrazem twarzy, jakby obaj spłynęli nagle znad chmur, opuścili się na ziemię po skrzypiących linach, niczym bohaterowie jarmarcznej pantomimy. Casanova z kolei wpatrywał się w malca i przez chwilę wyniosłość bogactwa zmagala się z butą ubóstwa. Oczywiście takie dzieci spotykało się wszędzie, były nietrwałymi odpadami rasy ludzkiej, niemniej ilekroć na nie patrzył, widział siebie sprzed lat - przygłupiego syna tancerki Zanetty, przebiegającego calla, wytrzeszczającego oczy na czerwone szaty senatorów, złotogłów obcokrajowców i kobiety stawiające spieszne kroczki w pantoflach wysadzanych klejnotami. Wyjął więc z kieszeni drobną monetę, skrawek srebra, i przez chwilę balansując blaszką na kciuku, posłał ją w stronę chłopca. Pieniążek odbił się od bruku, potoczył i wpadł do kałuży wczorajszego deszczu. Chłopiec, nie spuszczać ani przez chwilę wzroku z mężczyzn, gmerał ręką w wodzie, by go wyłowić. Casanova się odwrócił. Był zdecydowany nie dopuszczać do siebie nieprzyjemnych myśli tak długo, jak to tylko możliwe.

W komorze celnej przedstawił się jako de Seingalt - kawaler de Seingalt - obywatel Francji. Kłamstwo, oczywiście, czy niemalże kłamstwo, uwielbiał jednak wymyślać dla siebie nowe miana. Istniały też ku temu powody natury politycznej. Europa - a przynajmniej te jej regiony, które należało uznać za znaczące - była niewielkim obszarem, stąd przynajmniej połowa ludzi, których poznał w czasie

swych niezliczonych wojaży, należała do grupy posiadającej znaczne wpływy na całym kontynencie. Nazwisko „Casanova” widniało na zbyt wielu dokumentach, przewijało się w zbyt wielu tajnych raportach i utkwilo w umysłach zbyt wielu ludzi, których wolałby nie spotkać więcej w swym życiu. Co zaś się tyczy jego francuskiego obywatelstwa - no cóż, był przecież, w pewnym bardzo ogólnym sensie, w służbie jednego z ministrów Ludwika XV, który, podczas kolacji złożonej z oblanego masłem homara, synogarlic i puree z gotowanych karczochów, wyraził życzenie, by Casanova zebrał w Anglii jak najwięcej informacji istotnych z punktu widzenia obcego mocarstwa - o stanie floty, skandalach czy niezadowolonych torysach. A ponieważ, na domiar wszystkiego, został skazany na wieczne wygnanie z Wenecji za nieustanne deprawowanie młodzieży Republiki; za przedkładanie dramatopisarza Zorzi nad abbe Chiarię w czasie, gdy Czerwony Inkwizytor był głową frakcji Chiaria; za masonerię, kabalistykę i doprowadzenie księżnej Lornezy Maddaleny Bonafede do szaleństwa - podawanie się za Francuza było, prawdopodobnie, nie do końca pozbawione podstaw. W tych czasach każdy musiał nieustannie kreować się na nowo. Tego nawet w pewien sposób oczekiwano.

W rejestrze obcokrajowców złożył więc zamaszysty, ozdobny podpis „Seingalt”. Urzędnik osuszył wilgotny inkaust piaskiem, odchylił się na krześle i uśmiechnął chłodno.

- To zwykła formalność, monsieur - oznajmił. - Możesz, panie, bez przeszkód wjechać do naszego kraju.

Pojazd diuka Bedford czekał na ulicy, tuż przed komorą celną. Casanova chętnie przyjął propozycję księcia podwiezienia do Londynu, upewniwszy się uprzednio, że jego niezliczone kufry podróżne podążą za nim pierwszą wolną podwodą. Ocieplilo się, mężczyźni zdjęli więc płaszcze i uchylili okna powozu, jednak nie więcej niż na parę centymetrów, inaczej bowiem zadławiłyby ich tumany kurzu unoszące się na drodze. Jego Książęca Wysokość, człowiek systematyczny i rozważny - Casanova nigdy go nie przyuważył w Allee des Soupirs pałacu królewskiego czy w innym równie niestosownym zaułku owego osławionego miejsca - natychmiast zaczął

przedstawić historię hrabstwa Kent od zamierzchłej przeszłości do dnia obecnego. Casanova, choć potakiwał ruchem głowy, a niekiedy nawet wydawał z siebie grzecznościowe okrzyki zdumienia - nie słuchał jego słów. Wodził oczami po soczystej zieleni angielskich pól i lasów, zachwycającym, rozbielonym błękicie angielskiego nieba i zastanawiał się, czy to rolnicze, przyjemne państwko mogłoby stać się miejscem odpowiednim do rozpoczęcia nowego życia, wyleczenia się z chorobliwego przymusu czuwania aż do świtu w czasie owych nocy, gdy zdawało mu się, że jakiś demoniczny pies rozparł się na jego piersi, dysząc niu prosto w twarz; przede wszystkim zaś otrząśnięcia się z owych ponurych nastrojów, nachodzących go od czasu Monachium niczym uporczywy kaszel, którego nie sposób się już wyzbycić raz na zawsze...

Monachium! Tam każda karta, jaką oferował mu los, okazywała się kartą przegraną, a ta mała tancerka, La Renaud, obrabowała go z szat i klejnotów i na dodatek zaraziła wstrętną chorobą. Straszliwe cierpienie. Gorączka, która sprawiała, że był niczym potępieniec podczas burzy. A do tego spustoszenia zapoczątkowane przez chorobę, powiększane jeszcze przez lekarzy - ich łaciną, pijaństwem i brudnymi nożami. W końcu sam się uleczył, przechodząc na ścisłą dietę złożoną z mleka, wody i kleiku jęczmiennego. To wszystko trwało dwa i pół miesiąca. Podwójne widzenie, gnicie zębów, przerażające ropne wysięki.

Z czasem zwiotczałe mięśnie odzyskały siłę. Znów strzelały mu w palcach orzechy i na pierwszy rzut oka owe straszne przeżycia nie pozostawiły żadnych śladów. On sam jednak często się zastanawiał, jakie były rzeczywiste koszty owych zmaganiań. Jaki procent głębokich rezerw człowieka zostaje pochłonięty przez podobne doświadczenia? Niekiedy miał wrażenie, że świat skurczył mu się przed oczami, horyzont zaś przybliżył, jakby go coś zaciskało. Potrzebował spokoju, przestrzeni wypełnionej ciszą, w której mógłby odnaleźć się na nowo; ukojenia. Jestem przecież, powiedział sobie już po raz trzeci czy czwarty tego dnia, w sile wieku, w najlepszym momencie swego życia. Dziwne mu się jednak zdało i niepokojące, że musiał sam siebie o tym tak często przekonywać.

Dojechali do londyńskiego West Endu o zmierzchu i pożegnali się wyrazami wzajemnego szacunku.

Gdy powóz diuka rozpływał się w wieczornym świetle, Casanovę ogarnęło uczucie rozkosznego zawrotu głowy, jakiego zawsze doznawał tuż po przybyciu do nieznanego miasta z sakwą wypełnioną złotem; poczuł delikatną presję, wywołaną tajemniczą obfitością różnorodnych walorów tego miejsca. W kwestii miast uznawał się za eksperta - przecież widział ich w życiu tak wiele - i twierdził, że może powiedzieć o nich wszystko, obserwując jedynie tempo, w jakim poruszają się ludzie na ulicach, kondycję ich zwierząt, liczbę i zachowanie żebraków oraz wdychając zapachy, składające się na szczególny, niepowtarzalny klimat danego miasta - odór zatęchłego wina czy intymny aromat kobiecych halek. Powietrze Londynu, które przefiltrował swymi wyczulonymi zmysłami, pachniało dlań wilgotnym tynkiem, błotem, różami i piwnym słodem, a dalej dymem węglowym, świeżym ciastem oraz kurzem.

Na Soho Square zaczął przechadzać się leniwie pod oknami poselstwa weneckiego, przeciągając moment odejścia, w nadziei że Zucatto, ambasador Republiki, wyjrzy przez okno, by przyjrzeć się ruchowi ulicznemu na placu i dostrzeże go, przebywającego w dobrej kondycji w Londynie, obojętnego na potępienie tego odległego kraju, za którym w cichości ducha tak tęsknił.

Po chwili wypiął pierś i poprzez ogrody biegnące środkiem placu zaczął iść powoli w kierunku domu znajdującego się po przeciwnej stronie. Zamierzał zatrzymać się u swej dawnej przyjaciółki, z którą kiedyś w przeszłości, pod zupełnie innym niebem, spędził kilka namiętnych godzin: madame Cornelys - znanej również jako de Trenti i Rigerboos - wdowie po tancerzu Pompeatim, tym samym Pompeatim, który pozbawił się żywota w Wenecji, rozpruwając sobie brzuch brzytwą.

Przyjęła go w saloniku na piętrze. Świateł jeszcze nie zapalono, tak więc Casanova nie mógł stwierdzić - przynajmniej do czasu, póki nie skłonił się nad wyciągniętą dłonią pani domu - jak łaskawie bądź brutalnie obszedł się z nią czas. Miała na sobie suknię w ciemnych i jasnych odcieniach błękitu, trochę barwiczki na twarzy, nieco pudru. Jej kibić nadal była równie wiotka, jak przed laty, a sylwetka

niczym u młodego chłopca, jednak teraz wydawała się jakby zahartowana w ceramicznym piecu i utwardzona wieloma latami ciężkich zmagania z życiem.

Skomplementowali się wzajem. Każde z nich stwierdziło, że drugie się nie zmieniło ani na jotę. Czas omijał ich kołem! Jakże ona młodo wygląda. Jak doskonale on się prezentuje, jak bogato. Roześmiali się oboje. Stwierdziła, że ciemność ukrywa niedostatki urody; jej spojrzenie odbijało jego wzrok, niczym lustro: pomiędzy ich dwojgiem próba ukrycia czegokolwiek była bezsensowna. To, czego sobie nie powiedzą - a wiele słów nie zostanie wypowiedzianych - nie będzie należało do ważkich sekretów.

Chwycili się pod ramię i podeszli do jednego z wysokich okien z widokiem na plac. Zaspokoiwszy wymogi etykiety, zaczęli teraz wspominać starych znajomych - mówili o Marcellu i Italo, o Fredericu i Francois-Marie, i o Fiodorze Michajłowiczu. Smętna była ta wyliczanka imion, spis na krótko wygrzebanych z pamięci twarzy ludzi, z których zbyt wielu padło już ofiarą gwałtownej śmierci: w ostatnim bełkocie, łapiąc się za gardło, za serce, wykrwawiali się w jakimś parku o świcie bądź też ginęli w trakcie czyszczenia broni z lufą w ustach. Przez jedną ulotną chwilę ich dawna zażyłość, otulona melancholią, wypłynęła na powierzchnię. Zmierzch zdawał się napierać na nich i uwodzić obietnicą nocy. Oboje zamilkli. W ciągu dwóch czy trzech minut - gdy patrzyli, jak światło zamiera nad dachami Londynu, a złocisty szal, przetykany wzorami złożonymi z trajektorii lotu drobnego ptactwa, spowija kościelne iglice i kominy domów - Casanova zabawiał się myślą o pochwyceniu jej w żarliwy uścisk, położeniu na stojącym za ich plecami lit de jour, by zadośćuczynić cielesnej przyjemności i ukoić umysł w akcie kopulacji. Jednak po chwili zabrzmiały kuranty zegarów i służba wniosła światła. Kobieta i mężczyzna przy oknie odsunęli się od siebie.

Madame Cornelys zarabiała teraz na życie wydawaniem przyjęć dla londyńskiej socjety. Była to zazwyczaj jedna kolacja w miesiącu, na którą z góry należało wykupić zaproszenie za dwie gwinee. Trzymając w ręku wysoko uniesiony kandelabr, pani domu poprowadziła Casanovę do sali bankietowej, by

zademonstrować mu przepych polerowanego stołu, za którym jednocześnie mogło zasiąść pięciuset biesiadników. Oznajmiła, że drugiego takiego nie ma w całym mieście.

- A zatem radzisz sobie doskonale, moja droga Tereso.

- Tylko pozornie - odparła, rzucając mu spojrzenie ponad płomieniem świec. - Wszyscy okradają mnie nie miłosiernie. Rzemieślnicy, kupcy i służba. Moje dochody z zeszłego roku wyniosły dwadzieścia cztery tysiące funtów, ale dla mnie nie został z tego ani pens. Potrzeba mi - mówiąc to, odwróciła się tyłem - inteligentnego mężczyzny, który czuwałby nad interesami.

Casanova spojrział w głąb holu. Była to pierwsza oferta, jaką otrzymał w Londynie i to oferta nie była jaka, jednak natychmiast zrozumiał, że jej nie przyjmie, że nie może jej przyjąć. Tę kobietę szczęście już opuściło; kawaler wyczuwał to w jej oddechu. Jej wdzięczność wkrótce zmieniłaby się w truciznę i w końcu on też zacząłby ją oszukiwać. Pani Cornelys i jej przyjęcia - których obrzydliwą rozpustę mógł sobie z łatwością wyobrazić - nie były tym, po co przyjechał do Londynu.

Rzekł więc:

- Jestem pewien, że wkrótce znajdziesz takiego mężczyznę.

- Zapewne - odrzekła w taki sposób, jakby jednocześnie gwałtownym ruchem przekreślała czubkiem pióra jego nazwisko i odprowadzała go.

Gdy znaleźli się z powrotem w saloniku, gdzie na francuską modłę podano kawę, Casanova został przedstawiony córce pani Cornelys. Miała na imię Sophie i szybkie odliczenie lat - działanie matematyczne, które przeprowadzał teraz przy wielu okazjach - potwierdziło, że on sam mógł być autorem owego dziewczęcia, że możliwa była więź pomiędzy skrzypiącym łóżem, miłosnym krzykiem, ostatnim, brutalnym pchnięciem a tym dzieckiem o chłodnych oczach, odzianym w długą suknię i czepeczek. Mówiła dobrze zarówno po francusku, jak i po angielsku. Grała na fortepianie, śpiewała, tańczyła. Miała dziesięć lat. Casanova zatańczył z Sophie, po czym pokrył jej twarz pocałunkami. Mądry ojciec rozpoznaje własne dzieci. Jej skóra miała delikatność płatków kapryfolium. Gdy Sophie stanęła przy jego krześle, wbili w siebie wzrok, jakby chcieli przejrzeć się nawzajem w swoich oczach. Ona,

oczywiście, nigdy nie pozna wszystkich swych braci i siostr. On sam nie znał większości z nich, doszedł już jednak do takiego wieku, że na głównych ulicach wielkich miast - od Brugii po Famagustę - często odnosił wrażenie, iż rozpoznaje swe potomstwo, rzucające w jego stronę uwodzicielskie spojrzenia, uśmiechające się doń jego własnymi ustami. Ta świadomość powinna go pokrzepiać, a tymczasem sprawiała, że czuł się jakoś wyjałowiony, poszarpany. Był jedenasty dzień czerwca 1763 roku.

2

Mieszkał pod dachem pani Cornelys przez dwa tygodnie, później jednak nie mógł już ignorować jej pełnych wyrzutu spojrzeń, paplaniny na temat służących oraz strachu przed wierzycielami, widocznego wyraźnie na twarzy kobiety, gdy wychodziła z domu. Wynajął więc rezydencję przy Pali Mali za cenę dwudziestu gwinei miesięcznie. Dom miał cztery piętra - na każdym z nich znajdowały się dwa pokoje i garderoba. Wszystko było tam wyszorowane do czysta, poskładane, uporządkowane, gotowe do zamieszkania. Dywany pokrywały podłogi w całym domu; wszędzie wisały lustra. Miał też do dyspozycji serwisy z chińskiej porcelany, zestaw srebrnych talerzy, doskonale urządzonej kuchnię oraz całe mnóstwo prześcieradeł niepośledniego gatunku. Z tyłu domu znajdował się niewielki ogród z ceglanyim ustępem i małym stawem, w którym stał posążek Kupidyna wpatrującego się uporczywie w pączki lilii wodnych.

W negocjacjach z właścicielem rezydencji pomagał mu niejaki signor Martinelli, którego poznał w Orange Coffee House naprzeciw Haymarket Theatre. Był to lokal licznie odwiedzany przez Włochów najgorszego autoramentu. Martinelli jednak, niepomny obecności tłumów handlarzy uongole, pozbawionych łask confidenti i zawodowych żonkosiów, pracował tam nad korektą pewnego manuskryptu, tak jakby znajdował się w bibliotece uniwersytetu w Padwie. Od piętnastu lat żył pomiędzy Anglikami niczym uczona pluskwa. Był człowiekiem cichej pracowitości, który - jak

się zdawało - przetrwał wszelkie życiowe burze i osiągnął wreszcie ów rodzaj spokoju ducha, do jakiego Casanova tak bardzo tęsknił. Jego ostatnim przedsięwzięciem było nowe tłumaczenie „Dekameronu”. Bilety subskrypcyjne na to dzieło kosztowały po gwinei za sztukę. Casanova kupił ich tuzin, darzył bowiem pisarzy wielką rewerencją, której nigdy nie potrafił w sobie zdusić.

Gdy już załatwili interesy związane z wynajmem domu, Martinelli zaprowadził kawalera na drugi koniec miasta - na Królewską Giełdę przy Cheapside. Tam - wśród zgiełku, wielojęzycznego bełkotu, szybkiego klaskania w dłonie, potrząsania głowami, pobrzękiwania monetami i zapachu interesów, szacowania wartości fiskalnych, rejestrowania w pamięci twarzy i majątków, wśród spojrzeń taksujących stroje i towarzystwo - Casanova zdobył służącego. Był to młody, wykształcony Murzyn z inteligentnymi oczami o grzecznym spojrzeniu, z czołem przypominającym wypolerowany węgiel. Na swym szczupłym, nieco kobiecym ciele nosił strój z brązowego barchanu i fular, karminowy fular odcinający się od szyi gorącym kolorem płomienia.

- Twoje imię?

- Zwą mnie Jarba.

- Mówisz po włosku?

- Gdy byłem chłopcem, signore, mieszkałem w domu handlarza oliwą w Palermo.

- A język francuski?

- Tak, monsieur. Przez pięć lat w Bordeaux służyłem jako lokajczyk u żony pewnego prawnika.

- I zapewne doskonale władasz angielskim?

- Tak, sir. W rzeczy samej. Byłem bowiem osobistym służącym angielskiego kapitana statku. Pływałem z nim po morzach i co noc czytałem mu ustępy z Biblii.

- Co stało się z kapitanem, Jarba?

- Zmarł, monsieur.

- Czy we własnym łóżu?

- Utonął.

- W takim razie chciałbym usłyszeć tę historię.

- Zmierzaaliśmy do wybrzeża gwinejskiego z ładunkiem szkła, drutu mosiężnego i sukna. Sztormy zagnały nasz okręt daleko na zachód, a potem wiatry nas opuściły i przez wiele długich dni musieliśmy dryfować. Na statku zapanowała choroba. Ludzie byli zbyt wycieńczeni, by usiąść do wioseł. Wystrzeliliśmy z armaty, żeby obudzić wiatr, a mój pan modlił się nieustannie w swej kajucie, 26 Casanova zakochany jednak wiatr nie nadchodził. Niektórzy mówili, że nasz ładunek jest przeklęty. Inni - że to kapitan. Widzieliśmy dziwne światła, monsieur. Załozde ukazywały się morskie potwory z ludzkimi twarzami i statki-widma ze szlochającymi żeglarzami na pokładach. Pewnego dnia, gdy morze przypominało gęstą oliwę, kapitan zawołał mnie do swojej kabiny. Pobłogosławił, obdarował swą lunetą na pamiątkę, a potem wyszedł na pokład, wspiął się na reling i zniknął w morzu. Więcej już nie wypłynął.

- Próbowaliście go zatrzymać?

- On nie chciał, żebyśmy go zatrzymywali.

- Czy był szalony?

Jarba wzruszył ramionami.

- W jakim wieku był ów nieszczęsny człowiek?

- Mniej więcej w pańskim, monsieur.

W taki oto sposób Jarba został zatrudniony i zaraz też znalazł dla nowego pana francuskiego kucharza, który tkwił pośrodku kłębiącego się tłumu ze swymi rondlami i chochlami, oznajmiając każdemu, kto tylko zechciał słuchać, że pewnego razu przyrządził potrawkę z kurczaka dla samej królowej Francji.

Teraz, pomyślał Casanova, wracając do swojej rezydencji w lektyce z adamaszkowymi zasłonami i kluczami do domu w kieszeni, na dobre rozgościłem się w tym mieście. Mogę mieszkać tu i jadać jak dżentelmen. Wszystko świetnie się ułożyło. Świat jest piękny. W tej chwili życzył sobie jedynie, by jakoś udało mu się wyrzucić z pamięci opowieść o kapitanie Jarby, obawiał się bowiem, że długie opadanie owego nieszczęśnika na dno oceanu będzie nawiedzać go w snach. Bał się także, że zacznie podziwiać tego człowieka.

Pomimo dziewięćdziesięciu siedmiu dni, jakie swego czasu spędził w pojedynczej celi więzienia doży Wenecji, Casanova nie opanował sztuki życia w odosobnieniu. Teraz, gdy samotnie snuł się po pięknych pokojach swego domu, zaczęły prześladować go głosy, przemawiające stłumionym, natarczywym tonem, jakby w jego głowie pojawił się nagle tuzin zakapturzonych mężczyzn stojących na szafocie, szepczących wyznania, rzucających oskarżenia... Jakże trudno było żyć w tym wielkim mieście i patrzeć na nie, jak na nierozpakowany prezent! Kim też byli ludzie przechadzający się pod jego drzwiami lub przejeżdżający w powozach przez bramy wspaniałych rezydencji naprzeciwko? Zaczął odczuwać przemożną pokusę znalezienia dobrego towarzystwa, jakiegokolwiek towarzystwa. Opierał się jej przez kilka tygodni, ale w końcu musiał się poddać; jego silna wola pękła niczym tafla kruchego szkła. W odpowiednie sfery wprowadziła go pani Cornelys - początkowo niechętnie, jakby się obawiała, że obrabuje ją z towarzystwa tych wszystkich ludzi. Cenna lista odpowiednich nazwisk stanowiła jej prawdziwy i jedyny skarb, jednak w końcu, mrużąc oczy i wzdychając ciężko, napisała kilka listów i teraz Casanova - ganiąc sam siebie za słabość, z poczuciem zdrady wobec własnych przekonań - zaczął nawiązywać znajomość z tym miastem.

W salonach, domach hazardu i łóżach operowych zameżne kobiety przyglądały mu się takim wzrokiem, jakby był ćmą krążącą wokół roztaczanego przez nie blasku. Ich córki, z wypiekami na twarzy, owładnięte obsesją przynależności do odpowiedniej kasty, patrzyły na niego tak, jak kot mógłby patrzeć na pajaka. Starsi mężczyźni dyskutowali z nim na temat prawa, snuli opowieści o przodkach i kosztach utrzymania kochanek. Młodzi zaś - śmiesznie nadęci i do cna zdeprawowani - chadzali z nim do gospody na ostrygi i szampana. Jedynie przemoc zdawała się zaspokajać owych znamienitych młodzieńców - przemoc i hazard - chociaż poza tym wszyscy oni byli poetami i zwiedzili Koloseum w Rzymie. Wielu z nich widziało

nawet Serenissimę, a mimo to Casanova nie potrafił dostrzec w nich ludzi do końca ucywilizowanych.

Niemniej - a może właśnie dlatego - urzekła go ich niecierpliwość, ich okrucieństwo, pewien brak równowagi wynikający z czasów, w jakich przyszło im żyć, bądź z metod wychowawczych stosowanych w ich rodzinach. Jeden z owych młodzieńców, lord Pembroke, został nawet w jakimś sensie jego przyjacielem. Jego Lordowska Mość był bogaty, przystojny i zawsze odziany według najnowszej mody. Golił się trzy razy dziennie, tak by żadna z jego niezliczonych towarzyszek łoża - nie mógł bowiem, jak twierdził, znieść widoku tej samej kobiety przez dwa dni z rzędu - nie została zadrażniona jego zarostem.

Pewnego parnego czerwcowego dnia, o zmierzchu, Jego Lordowska Mość zawitał na Pali Mali, by podziwiać nowy dom Casanovy. Kawaler siedział pogrążony w lekturze, w smudze zachodzącego słońca, kręcąc się na krześle, krzyżując i prostując swoje długie nogi. Niewielka książeczka na jego kolanach, rozchylona niczym tajemniczy, skórzasty owoc o delikatnym, zbutwiałym mięszu (jakże często Casanova odczuwał chęć konsumowania książek, fizycznego ich pożerania!) zawierała Owidiuszowe „Metamorfozy”. Zanim zadzwieczał dzwonek u drzwi, kawaler doszedł do opowieści o pościgu Peleusa za nimfą morską Tetydą. Czytał o tym, jak w zatoce Hemonia Peleus pochwyił ją w ramiona i przywarł do jej ciała, a ona przemieniła się nagle w ptaka, potem zaś w drzewo, aż w końcu stała się pasiastą tygrysią, i wtedy to właśnie jej admirator - pokonany, sromotnie zawstydzony - musiał umykać plażą, z wargami pokrwawionymi ostrymi drzazgami i ustami pełnymi puchu i sierści...

- Seingalt - ozwał się młody lord, krążąc po pokoju z kielichem w dłoni; wyglądał przy tym niezwykle świeżo, jakby skwar w ogóle mu nie przeszkadzał. - Bardzo się tu wygodnie urządziłeś.

- Mam nadzieję, że Jego Lordowska Mość raczy wkrótce uczynić mi ten zaszczyt i zgodzi się ocenić umiejętności mojego kucharza.

- Z największą przyjemnością. Powiedźże mi jednak, czy nie ciąży ci samotność?

- Samotność, milordzie? Czemuż miałbym czuć się samotny?

Mówiąc to, Casanova złożył usta tak, jakby miał się roześmiać na tę myśl, zaraz jednak zrozumiał, że nie zda się to na wiele. Pomimo ciągłych spotkań z ludźmi - a 29 spotkania z ludźmi nigdy nie stanowiły dlań żadnego remedium - był w tej chwili, jak sobie nagle uświadomił, tak samotny, jak jeszcze nigdy wcześniej w życiu. Czyżby już teraz jego twarz zdradzała owo uczucie? Podobna możliwość wprawiła go w przerażenie. Nie mógł znieść myśli, że Pembroke'owi udało się przejrzeć go tak łatwo, pomimo wystudiowanej, towarzyskiej pozy. Zebrał się jednak w sobie i tonem, który - jak miał nadzieję - zdradzał pewną enigmatyczną wielkość ducha oraz głęboką obojętność na potrzeby przeciętnych ludzi, odparł:

- Za dnia zamierzam oddawać się zwiedzaniu miasta, wieczory natomiast chciałbym poświęcić lekturze.

Twarz Jego Lordowskiej Mości wykrzywił grymas.

- Nie przypuszczałem, żeś miłośnikiem książek, Seingalt. To rozrywka tych, którzy nie mają dość rozumu lub pieniędzy, by zabawić się w inny sposób. A co z kobieta mi?

- Kobietami, milordzie?

- Czy odniosłeś już jakieś sukcesy w tym względzie? Dam ci kilka bilecików, będziesz mógł posłać po damskie towarzystwo.

- Przyjdą do mego domu?

- Ależ oczywiście.

- To byłoby... niezmiernie dogodnie.

Czemuż nie miałby tego uczynić? Nic nie nadwątla męskich sił bardziej niż abstynencja. A w ten sposób będzie mógł wreszcie zaspokoić swoją ciekawość - sprawdzić, co kobiety w tym mieście chowają pod spódnicami bez ryzyka, że jakaś córka baroneta upokorzy go swym spojrzeniem znad gazety, dając mu do zrozumienia, że nie jest nikim lepszym od malarza pokojowego. Posyłanie po kobiety mogło, bez wątpienia, stanowić modus operandi na przyszłość. Bardzo przypadł mu do gustu ten pomysł.

Tak więc Jego Lordowska Mość, wyposażony przez Casanovę w odpowiednie

przybory, nakreślił kilka słów na bilecikach. Imię dziewczyny, miejsce, gdzie można ją znaleźć, jej cenę. Niektóre z nich warte były cztery gwinee, inne - sześć. Jedna zaś aż dwanaście.

- Kim ona jest, milordzie?

- Kochanką człowieka, który posiada tkalnię jedwabiu w Derby. Ów jednak korzysta z jej usług jedynie raz w miesiącu.

- Ach, tak - odparł Casanova w roztargnieniu, zapatrzył się bowiem na wielką muchę w kolorze topazu, rozpartą na rękawie utytułowanego gościa, którą - nim zaczęła z wolna się poruszać - wziął za autentyczny klejnot.

- W tym mieście - stwierdził Pembroke - wszystko jest proste dla człowieka, który ma pieniądze i gotów jest wydawać je lekką ręką. Zapamiętaj me słowa, Seingalt.

Kawaler skłonił się dwornie w odpowiedzi.

Następnego wieczoru, gdy delikatne młoteczki zegarowych kurantów wybiły pełną godzinę, Casanova upuścił książkę na podłogę, a po chwili - z jednym z bilecików od lorda Pembroke - posłał Jarbę po dziewczynę. Sam zaś stanął w oknie, myśląc o tym, jak bardzo czułby się szczęśliwy, gdyby zamiast tego północnego, kamiennego miasta zaludnionego obcymi mu ludźmi mógł zobaczyć po drugiej stronie szyby blask księżyca rozlewający się po wodach Canale Grande i dziób gondoli - przypominający człowieka pogrążonego w modlitwie - tnący nierówną materię wody, skręcający w stronę schodów do jego domu...

Dziewczyna, którą przyprowadził Jarba, okazała się nie dziewczyną, lecz kobietą - sądząc po skórze jej dłoni i szyi - kilka lat starszą od kawalera. Jej widok był znośny dla oczu jedynie dlatego, że pokrywała twarz białą ołowiową, kredowym proszkiem i mastyksem, a oczy podkreślała węglem drzewnym (podobnie zresztą, jak i on czynił). Nie władała ani językiem włoskim, ani francuskim. Casanova obrał gruszkę i nakarmił przybyłą kawałkami owocu. Ona zaś wybuchnęła płaczem. Płakała, jadła gruszkę i jednocześnie wyrzucała z siebie wiele słów.

- Co ona mówi? - spytał Casanova.

- Mówi - wyjaśnił Jarba, polerując kieliszki - że ty, panie, przypominasz jej matkę.

Sprowadził kolejną dziewczynę. Zjadła z nim razem kolację. Znała kilka francuskich słów. Niegdyś miała przyjaciela z Francji.

- Z jakich okolic Francji, moja droga?

- Tak, monsieur. Z Francji.

Kawaler ucałował jej nadgarstki.

- Co dostanę na deser, monsieur? - spytała.

Gdy skończyli posiłek, przysiadła na jego kolanie, pogładziła czubek jego nosa, paplając typowym dla kurtyzany dziecinnie pieśczośliwym językiem, pełnym zdrobnień i seplenienia. Jej profesja najwyraźniej zabiła w niej prawdziwą kobiecość. Wydzielala odór tanich domów schadzek i koszmarów sennych. Ponad jej ramieniem Casanova skinął głową w stronę Jarby. Murzyn wyprowadził ją na ulicę.

Dziewczyna za dwanaście gwinei spodobała mu się najmniej. Miała twarz osoby zdeprawowanej już od czasów dzieciństwa. Uśmiechała się uroczo, jednak Casanova nie miał wątpliwości, że za pięć lat rozpusta przeżre ją niczym plugawe robactwo. Jednak zabawił się z nią, chociaż bał się jej i tego, co ich połączyło; bał się - jak nagle pomyślał - ich niemal kazirodczego zespolenia. Odliczył pieniądze. Przypięła kolczyki i wrzuciła monety do swej sakiewki. Zapytała potem, czy dżentelmen życzyłby sobie poznać kilka imion usłużnych chłopców.

- Chłopców - odparł na to kawaler - konsumuję jedynie w sezonie.

Przez chwilę nie odrywali od siebie wzroku. W końcu ona rzekła:

- Bon chance, monsieur.

- Vous aussi, mam 'zel. Vous aussi.

Oboje jednak wiedzieli, że łut szczęścia im nie wystarczy.

nie potrafiliby dokładnie przewidzieć i co rzeczywiście pragnęłyby dostać. Te z nich, które robiły wrażenie szczęśliwych - okazały się szalone, 32 Casanova zakochany natomiast smutek pozostałych był zbyt zaraźliwy, by choćby przez chwilę mógł go znieść jakikolwiek inteligentny mężczyzna. Obcować z owymi kobietami można było jedynie wtedy, gdy miało się w sercu ów szczególny rodzaj zdecydowanej brutalności bądź gdy pijaństwo otwierało otchłań, w której wszystkie zmysły ulegały stepieniu. Przyjmując ofertę Pembroke'a, okazał się głupcem. Podobne sprawy należało zawsze załatwiać po swojemu.

Zdecydował się na ogłoszenie.

„Drugie bądź trzecie piętro domu, umeblowane, wynajmę młodej damie władającej biegle angielskim i francuskim, bez prawa przyjmowania gości za dnia ani w nocy”.

Jarba przetłumaczył te słowa i wypisał wielkimi literami na karcie, która wkrótce znalazła się w oknie salonu. Parę dni później, 5 lipca 1763 roku, można było ją także przeczytać w „Gazetteer and London Daily Advertiser”.

W pierwszym tygodniu od chwili ukazania się ogłoszenia zjawiły się dziewięćdziesiąt dwie kobiety: zbiegłe od mężów żony, kurtyzany, istoty dotknięte szaleństwem oraz świeżo przybyłe z okolicznych hrabstw na wozach z sianem dziewczęta, które - jakimś cudownym zrzędzeniem losu - nie wpadły jeszcze w łapy ulicznych rajfurów bądź łowców kobiet z domów publicznych. Casanova, w obecności Jarby oraz pani Feaver - swej leciwej zarządzającej - przeprowadzał z nimi wszystkimi rozmowy w jadalni. Zadawał im pytania jedynie po francusku, eliminując w ten sposób większość z przybyłych. Inne odrzucił, gdy okazały się zbyt bezwstydne bądź zbyt nieśmiałe. Najbardziej podobały mu się te, które wykazywały największą przemyślność w próbach oszukania go - on sam dobrze wiedział, jak ciężko grać określoną rolę, budując swe życie jedynie na słowach; jednak żadna z nich nie była stworzeniem, które miał na myśli. Wkrótce to, co z początku zdało mu się tak wspaniałym pomysłem - zaczęło go nużyć. Na dźwięk dzwonka u drzwi z gardła wrywał mu się jęk, a gdy kobiety wkraczały do pokoju, unikał ich wzroku. Kiedy w końcu szeroka rzeka chętnych zmieniła się w cienki strumyczek, by

ostatecznie wyschnąć zupełnie - odetchnął z ulgą.

- Mam wrażenie - rzekł do Jarby pewnego wieczoru, gdy służący zabawiał go, wyczarowując na ścianie salonu bestiariusz cieni, posługując się tylko własnymi dłońmi i płomieniem świecy - że tym ogłoszeniem wystawiłem się jedynie na pośmiewisko. Jestem pewien, że całe miasto natrzęsa się ze mnie. Czy nie sądzisz, iż powinienem był wybrać pierwszą, która się do mnie zgłosiła?

- A może tę, która dopiero się zjawi? - odparł sługa, przekrzywiając głowę w stronę uchylonego okna, zza którego - unoszony falą powietrza letniej nocy - dobiegł ich odgłos lekkich kroków, zmierzających ku frontowym drzwiom.

Miała około dwudziestu lat i odziana była w różową, jedwabną suknię. Włosy - własne, o najjaśniejszym, najbledszym odcieniu słomkowej żółci, nosiła zaplecione w warkocze i podpięte luźno na czubku głowy za pomocą białego pomponu z piór. Cerę miała wyjątkowo bladą, tak jak i oczy - bladoszare na tle bladego błękitu. Na pierwszy rzut oka trudno ją było dostrzec; należało spojrzeć uważnie, a potem dobrze wysilić wzrok. Prawdę powiedziawszy, nie można było spuścić z niej oczu. Jarba wniósł miskę pomarańczy - obrała jedną z nich bardzo wprawnie; spod jej palców zwieszała się nieprzerwana spirala pomarańczowo-białej skórki. Oświadczyła, że nie może zapłacić więcej niż dwa szylingi tygodniowo, Casanova zaś odparł, że właśnie taką cenę chciałby uzyskać za wynajem.

- W niedzielę - powiedziała - chadzam do kaplicy ambasadora Bawarii. - Po czym dodała: - Prosiłabym także, panie, abyś nikomu mnie nie przedstawiał.

Zapłaciła za tydzień z góry i zbierała się już do odejścia, gdy kawaler spytał:

- Czy od czasu do czasu zechcesz, pani, zjeść ze mną obiad? Nie znoszę spożywania posiłków w samotności. A ty, pani, zaoszczędzisz w ten sposób na wydatkach.

Wprowadziła się wkrótce. Miała niewiele ruchomości: tuzin sukien, szachy z kości słoniowej (grała w nie po mistrzowsku, dawała kawalerowi mata w czterech ruchach); tom Milтона po angielsku, Ariosta po włosku oraz „Charaktery” La Bruyere’a po francusku. Nosiła imię Pauline, była Portugalką. Opowieść o kolejach jej życia zajęła im kilka dni, obfitowała bowiem w niezliczone perypetie, roiała się od

okrutnych wujów, utraconych fortun oraz burz morskich. Casanova - pochylając głowę w geście wyrozumiałego ojca czy może duchownego - wysłuchiwał cierpliwie owych zwierzeń, w szczególności zaś historii jej romansu z księciem A., który odwiedzał ją codziennie w domu jej ojca, z niejasnych przyczyn podając się za handlarza koronkami. To wspomnienie sprawiło, że Pauline spłonęła rumieńcem, Casanova jednak rozumiał ją doskonale. Należała do kategorii zdrowych histeryczek, znajdujących przyjemność w kreowaniu zgorzognionych świadków utraty swej cnoty. Jej siostry były wszystkie wzorowymi zakonnkami i żyły w stanie afektowanej ekstazy. Ona sama zapewne czułaby się świetnie w murach klasztoru, we włosienicy, ze świętym Janem od Krzyża unoszącym się nocą nad jej posłaniem.

Czytał jej ustępy z Ariosta o przygodach Ricciardetta i Fiodespiny i zastanawiał się, czy nie zaczyna pałać do niej uczuciem. Wmawiał sobie, że tak. Jak wiele lat upłynęło od czasu, gdy miłosne związki były dla niego czymś więcej niż jedynie grą, zachcianką, fałszywą monetą? Teraz jadali razem i prawili sobie nawzajem wyszukane komplementy. Zamówili także swe portrety u najbardziej wziętego miniaturzysty w Londynie. Zaprosili Sophie na Pali Mali i we troje odgrywali rolę przykładowej rodziny. Dziecko łatwo było przekupić, za jard wstążki i trochę pieszczot zgadzała się zwracać do Pauline „mamo”, co było niezwykle zabawne. Wspaniała przygoda. Co prawda w swych snach Casanova wciąż dźwigał na własnych barkach ciężkie wory wypełnione węglem, jednak już w porze śniadania zapominał o tych wizjach. Czemuż bowiem nie miałby się czuć szczęśliwy? Wszak Portugalka była aniołem, doskonałym w każdym calu, choć trzeba przyznać, że jej sposób jedzenia drażnił go i irytował. Brała do ust brzoskwinie, tak jakby to była hostia. Nie chciała obnażać się przed nim, krępowała ją służba. „Monsieur, stojąc przed lustrem Casanova naśladował jej ton i słowa, nawet w miłości obowiązują pewne reguły przyzwoitego zachowania”. Zanim udali się razem na mszę do kaplicy przy Warwick Street po raz drugi, historia jej życia uleciała mu już z pamięci. Zapadła w otchłań jego umysłu zupełnie nagle, niczym domek z kart tracony podmuchem wiatru. Gdy więc w czasie popołudniowych miłosnych igraszek - kiedy promienie słońca leniwie odpełzały od ich łoża niczym wiekowy służący - Pauline wspominała coś o swym

dziadku czy pewnej brazylijskiej księżniczce bądź markizie X., kiwał z powagą głową, nie mając jednak najbledszego pojęcia, o kim mówi. Nie chciało mu się też trudzić i prosić o wyjaśnienia. Niekiedy myślał, iż wolałby, żeby jej życie pobrzmiwało farsą: jej blade uśmiechy oraz pławienie się we własnym cierpieniu - wszystko to zaczynało już bowiem irytować go niepomiernie. Kto w końcu pocieszy jego samego? Czyż on nie zaznał wiele cierpienia? Czy ona wyobraża sobie, że łatwo być Casanova? W owej chwili gotów był zapłacić sto gwinei za jeden dobry wenecki dowcip. Odkrył nagle, że nie śmiał się już od tygodni. Wszystko skończyło się w sierpniu, kiedy to nadszedł list od jednej z istotnych personae dramatis jej niekończącej się opowieści wraz z czekiem na dwadzieścia milionów portugalskich reali oraz zapewnieniem, że po powrocie do Lizbony będzie mogła bez przeszkód poślubić księcia A. Martinelli, posługując się jedną z owych angielskich gazet, niezwykle użytecznych w podobnych razach, pomógł Pauline nabyć używany powóz, kawaler zaś towarzyszył podróży aż do Calais, odczuwając do niej szczere przywiązanie teraz, gdy miał świadomość, że traci ją na zawsze. W Place d'Armes, chroniąc się przed ostro siekącym, słonym deszczem, który użyczył ich oczom koniecznych łez, złożył na jej ustach ostatni pocałunek - perfekcyjny technicznie - po czym na pożegnanie pomachał chusteczką. Spodziewał się, że po odjeździe Pauline odczuje ulgę. A tymczasem, niemal natychmiast, zaczął do niej tęsknić, zaczął tęsknić także do swej utraconej rozterki - że nie lubił jej tak bardzo, jak na to zasługiwała. Okazało się, że obecność dziewczyny i związane z nią dylematy stanowiły swoistą rozrywkę dla jego umysłu; teraz zmuszony był wrócić do punktu wyjścia. Mógł jedynie siedzieć, z rozmazanym przez deszcz makijażem, w oczekiwaniu na kolejny spektakl.

W tawernie na portowym nabrzeżu pił przez godzinę, po czym wszedł na statek niesiony do Dover falą nocnego przyływu. Podczas owej przeprawy, za którą zapłacił pięć soldów, puścił się pod kocami w radosne płasy z córką kapitana okrętu. Wyjawiała mu, że ma piętnaście lat i że odczuwa już znużenie życiem na morzu.

- A więc listy, signore, których nie ważyłeś się spalić, nie zostały napisane przez

twoją Portugalkę?

Casanova potrząsnął głową. Najwyraźniej ten z trybików mechanizmu ludzkiego ciała, który był odpowiedzialny za rejestrowanie upływającego czasu, przestał nagle funkcjonować w jego mózgu. Czyżby zapadł w sen? Kobieta będąca jego gościem siedziała naprzeciwko niego, tak więc gdy na nią spojrział, ogarniał jednocześnie wzrokiem stół, drzwi, kominek oraz okno. Po chwili zrozumiał, że rzeczywiście musiał przez czas jakiś drzemać, ponieważ w palenisku płonął teraz ogień, niepodsypany papierem, lecz polanami drewna, a na stole - wreszcie opróżnionym z niezliczonych szpargałów - płonęła świeca długości i grubości dziecięcego ramienia, napełniająca komnatę kosztownym, eklezyjastycznym aromatem przedniej jakości wosku.

- Signora, musi pani wybaczyć staremu człowiekowi...

Czy podała mu swe imię? Czy ją znał? Krój jej sukni wydawał się nieco staroświecki, a welon, kończący się tuż poniżej linii jej oczu, wyglądał na najprawdziwszy, wenecki zendale. Może więc ta kobieta była jego krajanką, banitką - jak i on. Próbował w myślach określić jej wiek. Dwadzieścia pięć lat? Czterdzieści? Nie należała do przeciętnych kobiet, to pewne. Czyżby to ona była ową księżną, która podarowała mu Finette, gdy dokonał żywota biedny Melampus?

- Autorka owych listów, signora, wysłała nienawiść do płci męskiej z mlekiem matki. Dzień, w którym ją spotkałem - Casanova się uśmiechnął - uważam za najbardziej przeklęty w moim życiu. Był wrzesień, signora. Właśnie nadeszły pierwsze chłodne wieczory i Jarba o zmierzchu rozpalał ogień. Po odejściu Pauline pozwalałem, by czas upływał mi na nieróbstwie, rzadko opuszczałem progi mego domu dla celów innych niż by zaczerpnąć świeżego powietrza w parku bądź wypić filiżankę czekolady z Martinellim. Ach, gdyby człek mógł zadowolić się podobnym trybem życia, iluż nieszczęść mógłby uniknąć! Ja niestety wkrótce, niczym znudzone dziecko, zacząłem odczuwać potrzebę zakosztowania nowych doznań, nowych przygód i w takim właśnie nastroju zostałem zatrzymany na ulicy przez niejakiego Malingana, oficera flandryjskiego, któremu onegdaj okazałem pomoc w Aixla-Chapelle. Jestem pewien, signora, że zdołałaś zauważyć, iż przywiązanie bywa

zazwyczaj okazywane silniej przez jedną stronę niż przez drugą, a relacje wzajemne nie są równe. Nie dbałem o owego Malingana w żaden sposób, on jednak żywił wobec mnie wiele sentymentu. Uprzednio, przy wielu okazjach, prosił mnie, bym zechciał zjeść z nim obiad, lecz ja za każdym razem znajdowałem odpowiednią wymówkę, by nie skorzystać z zaproszenia. Owego dnia jednak, znudzony obcowaniem jedynie z samym sobą, wyraziłem wreszcie zgodę i tak następnego wieczoru przyszedłem do jego domu. Obecni tam goście, w większości - podobnie jak i ja - obcokrajowcy pełni pretensji do świata, nie należeli do ludzi bywałych, nie potrafili błyszczeć w towarzystwie. Tak więc gdy tylko skończyliśmy posiłek, postanowiłem wyjść; lecz kiedy podniosłem się od stołu, spostrzegłem, że Malingan rozmawia przy drzwiach z młodą kobietą. Ona, wyczuwając na sobie moje spojrzenie, zwróciła ku mnie twarz w uśmiechu. Signora, w całym świecie niewiele można spotkać podobnych uśmiechów i w tym momencie wiedziałem już, że nie opuszczę progów tego domu, póki nie poznam imienia owej piękności. Gdy jednak podchodziłem ku niej, nabrałem nagle pewności, że już ją kiedyś spotkałem...

5

Pozwól, pani, że przedstawię - odezwał się Malingan. - Monsieur Cas...

- Seingalt - przerwał mu gwałtownie. - Kawaler de Seingalt. Nie trzeba jednak nas sobie przedstawiać, ponieważ już kiedyś mieliśmy okazję się spotkać. Czyż nie, mam'zel?

- W rzeczy samej, monsieur. W Paryżu. Posadziłeś mnie, panie, sobie na kolanach, po czym, okazując swą uprzejmość, pocałowałeś.

- A więc, pani, musiałaś być w owym czasie dzieckiem. Inaczej bowiem nie poważyłbym się na podobną poufałość.

- Miałam lat trzynaście.

- A teraz?

- Osiemnaście.

- Dzieckiem już więc, pani, nie jesteś.
- Nie, monsieur.
- Pochlebia mi, mam'zel, że zachowałeś mnie w swej pamięci.

Roześmiała się. Jakżeby mogła zapomnieć słynnego...

- Jakiego imienia używasz obecnie, monsieur?
- Seingalt. Mężczyzna może posiadać kilka imion, mam'zel.
- Podobnie jak kobieta - odparła, rozpościerając powoli wachlarz.
- W rzeczy samej. Przypominam sobie, że w Paryżu nosiłaś, pani, nazwisko

Boulaimdliers. Czy może brzmiało ono Augspurgher?

- Augspurgher to nazwisko mej matki.
- Czy także przebywa w Londynie? Jakże się miewa?
- Miewa się jak najlepiej, monsieur.
- A pani ciotki?
- One także.
- Czy mogę spytać, gdzie się panie zatrzymałyście?
- Mamy dom przy Denmark Street, nieopodal kościoła Świętego Egidiusza.

Czyżbyś, kawalerze, miał zamiar nas odwiedzić?

- Czy mam, mam'zel, uznać te słowa za zaproszenie?

Malingan już jakiś czas temu pozostawił ich samym sobie. Casanova spojrział na dziewczynę pełnymi blasku, orzechowymi oczami.

- Doszło do mnie - odezwała się Charpillon - żeś to ty, panie, był owym dżentelmenem, który umieścił pewien anons w swym oknie.

- Tak, i nie wstydzę się tego.
- Drogo jednak, jak słyszałam, kosztował cię ów żart, monsieur.
- To nieprawda.
- Czy pokoje są znów wolne? Bardzo chętnie wynajęłabym je teraz dla siebie.
- Czy twa matka pochwaliłaby ten zamiar, pani?
- Zapewne nie, monsieur. Ja jednak chętnie ukarała bym autora owej notatki.
- Nie popełnił przecież żadnej zbrodni.
- Obraził moją płęć, monsieur. Zakpił z nas, kobiet.

- Mam'zel, zapewniam panią, że daleki jestem od podobnego zamiaru. Musisz, pani, pamiętać, że byłem obcy w tym mieście. I zamierzałem zachować ten stan rzeczy najdłużej, jak to możliwe. Powiedzże mi jednak, w jaki sposób zamierzałaś ukarać... tego nieszczęsnego autora?

- Rozkochałabym go w sobie, by potem zadawać mu cierpienia.

- Twój plan jest odrażający, mam'zel! I czy doprawdy aż tak pewna jesteś swych wdzięków?

- Czy znasz, panie, powiedzenie: „Niektóre psy lubią, by je kąsać”?

- Słyszałem je już kiedyś, jednak nigdy z ust tak młodych i pięknych. By ratować honor ludzi mego rodzaju, chciałbym udowodnić, że się mylisz, pani.

- A jaki jest ten twój „rodzaj”, monsieur?

- A twój, pani?

Wybuchnęła śmiechem.

- Możesz odkryć to sam, monsieur, jeśli tylko jesteś dostatecznie bystry.

Teraz uśmiechali się oboje z pewnym napięciem, jak dwoje nieznanym, którzy nieoczekiwanie znaleźli się na krawędzi intymności, lub jak przyjaciele, którzy nie40 Casanova zakochany małże wyrządzili sobie przykrość. Casanova wyjął z klapy swego żakietu krwistoczerwoną różę, ściętą przez niego własnoręcznie tego ranka w ogrodzie domu przy Pali Mali.

- Dopelnieniem piękna - stwierdził, starannie usu wając z łodygi kolce - może być jedynie inne piękno. Proszę, pani...

Wzięła od niego kwiat i obróciła w dłoni obciążonej rękawiczką.

- Monsieur - odparła - mam wrażenie, że znam cię od urodzenia.

6

Augspurger!

Wracając do domu, wykrzyknął to nazwisko w głos, po czym wydał z siebie zduszony śmiech, tak że sprzedawca małży i chłopak od piekarza, pogrążeni w

rozmowie na skraju Great Sheer Lane, obejrzeni się, patrząc nań z ukosa. No i co z tego? Przecież poznał właśnie porywającą, młodą kobietę, piękność nieco nieokiełznaną. Czyż nie rozmawiali już ze sobą niemal jak para kochanków? I czy na dodatek matka owej dziewczyny nie była mu dłużna sześć tysięcy franków?

Gdy tylko znalazł się w domu, zaczął przerzucać papiery, które trzymał w dużym, zielonym skórzanym neseserze i po kilku minutach poszukiwań natknął się na weksel, zwinięty w rulon, pokryty bezduszną, prawniczą łaciną i opatrzony pieczęcią tak grubą, jak solidna podeszwa męskiego sztybletu. Dług zaciągnięto cztery lata temu w Paryżu: sprawa dotyczyła pewnej ilości biżuterii oraz łajdackiego genuieńczyka o nazwisku Bolome. Teraz wystarczyło jedynie, by przysiągł przed magistratem, że rachunek ten jest autentyczny, i cała rodzina natychmiast znalazłaby się w więzieniu!

Mając świadomość, że Augspurgherowie tego świata zawsze siedzą na spakowanych kufrach, aby w każdej chwili móc w pośpiechu opuścić aktualne miejsce zamieszkania, zapowiedział swą wizytę na następne popołudnie. Obawiał się, że w innym wypadku zostanie dom pusty bądź zajęty już przez zupełnie inną, Bogu ducha winną rodzinę. Denmark Street znajdowała się nieopodal Pali Mali, jednak zmierzając tam, Casanova dwukrotnie się zagubił w płataninie podwórzy i ścieżek wokół Soho Square. W pewnym momencie nawet, zupełnie dla siebie nieoczekiwanie, znalazł się znów na placu, wyszedłszy nań jednak z innego kierunku. Do miejsca przeznaczenia dotarł o piątej. Dom stał przy wąskiej uliczce, częściowo pograżony w cieniu, częściowo zaś skąpany w promieniach zachodzącego słońca.

W salonie od frontu cmoknął powietrze ponad dłonią madame Augspurgher.

- Świat jest taki mały, monsieur... kawalerze.

- W rzeczy samej, madame. Nie większy od zwyczajnej kulki do gry.

Usiedli. Rozmawiali po francusku, a nad paleniskiem bulgotał imbryk.

Dotrzymały im towarzystwa dwie ciotki Charpillon, chude niewiasty o spiczastych głowach, siedzące tuż obok siebie przy stole niczym bliźniaczy strażnicy przed drzwiami do krainy śmierci na egipskim, ściennym malowidle. Jedna z nich zdjęła z szyi kluczyk i otworzyła nim puszkę z herbatą. Ich służąca, niemal dziecko

jeszcze - bez wdzięku, robiąca wrażenie istoty ogarniętej szaleństwem - wniosła zastawę oraz cukier. Zmrok zaczął napierać na okienne szyby. W pokoju tłukła się osa. Zapewne wyczuła cukier, jak stwierdziła matka Charpillon, pytając w chwilę potem, czy Londyn przypadł kawalerowi do gustu. Czy nie wydaje się miastem zbyt zadymionym? Jak długo monsieur zamierza tu pozostać? Doprawdy aż tak długo? A więc, wyraziła nadzieję, będzie ich częstym gościem.

Casanova gładził rękaw swego żakietu - żakietu kremowego koloru, zdobionego srebrnym haftem, wyobrażającym wijące się liście winorośli. Urwał wystającą nitkę, Prowadząc jednocześnie nic nieznaczącą rozmowę z tymi kobietami, od czasu do czasu odpowiadając na pytanie którejś z ciotek czy matki, a nawet zwracając się niekiedy - z czystej grzeczności - do babki wprowadzonej do pokoju przez służącą i usadowionej na jednym z krzeseł tak, że jej stopy dyndały kilka centymetrów nad podłogą. Przez cały czas obserwował także świadectwa kruchości finansowej tego kobiecego domu; zwrócił uwagę, jak starannie Ciotka Numer Jeden odmierza ilość herbaty, którą wrzuca do dzbanka; jak pilnie Ciotka Numer Dwa odlicza bryłki węgla wkładane przez służącą szczypcami do kominka; niby wszystko wokół było w dobrym tonie, ale jednocześnie w jakiś sposób niepokazne, łącznie z samymi kobietami, wszystkie one bowiem - z wyjątkiem Charpillon - robiły wrażenie osób cierpiących głód przez tydzień bądź dwa z rzędu dla zapewnienia młodej nimfie, oddanej pod ich opiekę, pewnej dozy luksusu.

Wkrótce też na stole zjawily się karty. Zagrali w wista. Casanova, zwrócony plecami do drzwi, przegrywał z wdziękiem. W rzeczy samej gotów był przegrywać o wiele poważniejsze sumy - chociaż oczywiście stawki były nieznaczące, grali o drobniaki - żeby tylko móc siedzieć przy stole naprzeciw Charpillon i obserwować jej pierś unoszącą się niczym morska fala czy blask jej oczu uwydatniony światłem świec. Gdy skończyli robra, a pensy i szylingi zostały rozdzielone pomiędzy wygranych, spostrzegł nagłą wymianę spojrzeń ponad stołem. Odwrócił się i zobaczył trzech mężczyzn, wszystkich uzbrojonych, stojących w drzwiach do salonu. Jednego z nich rozpoznał natychmiast: był to niejaki Ange Goudar, zawodowy hazardzista znany także jako „Chiński szpieg”, pod tym bowiem pseudonimem

opisywał w gazetach towarzyskie skandale. Dwaj pozostali mężczyźni, o wyglądzie zabijaków - a może sprzedawczyków, zawsze chętnych do pełnienia funkcji usłużnych świadków - zostali mu przedstawieni jako Rostaing i Cauman.

Kawaler z wolna podniósł się z krzesła i skłonił na powitanie. Od jak dawna ci mężczyźni przebywali w pokoju, zabawiając się podsłuchiowaniem? Ich obecność nie wydawała się dziełem przypadku. Bez wątpienia ściągnęła ich tu matka Charpillon, gdy tylko się dowiedziała, że dawny wierzyciel depta jej po piętach. Kawaler usiadł ponownie, pociągnął nosem, udając obojętność, chociaż czuł, że na policzki wystąpiły mu czerwone plamy, zdradzające gniew. 43 Tak te nędzne wszy, te rynsztokowe gadziny mają czelność eo zastraszać? Był też wściekły na samego siebie, że pozwolił kobietom uśpić swą czujność. Czyżby dawne przygody niczego go nie nauczyły? Czyżby nie miał okazji przekonać się już wielokrotnie, jak postępują ludzie pokroju pań Augspurger? Wsypał do swojej filiżanki z zimną herbatą sporo kosztownego cukru, po czym przetasował karty.

- Może zagramy partyjkę pikiety? Czy goście pań zechcą się do nas przyłączyć? Jedynie Charpillon miała dość taktu, by wyglądać na zawstydzoną.

7

Nie poszedł prosto do domu, ale przechadzał się po mieście w zamyśleniu, mijając oświetlone sklepy i tawerny. Ta wizyta go wzburzyła, zasiała w jego sercu niepokój. Miał wrażenie, że choć powinien czuć się panem sytuacji, przegrywał w tych otwierających partię ruchach. To było bardzo... szczególne. Żałował, że nie miał przy sobie Martinellego czy Jarby.

Zatrzymał się na chwilę, by popatrzeć na sunący ulicą kondukt żałobny. Karawan przybrano białymi pióropuszcami na znak, że ciało spoczywające na nim należało do dziewicy. Kobieta idąca obok przybranej udrapowaną materią trumny spojrzała nań nagle tak gniewnym wzrokiem, iż przestraszył się, że za chwilę zacznie

wykrzykiwać pod jego adresem obelgi, zaraz jednak spostrzegł, że na każdego spogląda równie wrogo, zapewne żaloba i ból odebrały jej rozum. Miał ochotę pocieszyć ją jakoś, jednak procesja - wzbudzająca szmer zamieszania, przechodzący po chwili w westchnienie ulgi - skręciła majestatycznie w jedną z bocznych ulic. Jej powolny krok był ostatnim, zbyt kownym darem dla istoty śpiącej snem wiekiustym w centrum pochodu.. Casanova rozejrzał się wokół. Spostrzegł, że znajduje się tuż obok kościoła Świętej Anny. Wszedł do jego wnętrza, ukląkł przy jednej z ławek z tyłu nawy i zaczął półgłosem odmawiać spieszny pacierz. Niebo, piekło; uniwersalizm zapachu wypełniającego kościoły. Nieba w żaden sposób nie potrafił sobie wyobrazić. Wiedział jedynie, że tam nie miałby większych szans na spotkanie kogokolwiek z ludzi mu znajomych. Natomiast gdy chodzi o piekło, gdzie umieściłby go Dante? Czy może w drugim kręgu, do którego wtrąca się wszystkich oddających się za życia grzechowi rozpusty, by bezlitośnie smagał ich przeraźliwie wyjący wichry? A może spadłby jeszcze niżej, do ostatniego kręgu, położonego nawet głębiej niż las samobójców, zaludnionego rajfurami, uwodzicielami, wróżbitami i hipokrytami? W pewnym momencie swego życia był bowiem każdym z nich. Niekiedy Casanova wyobrażał sobie, że znajdzie się w piekle stworzonym tylko dla niego - sądził, że właśnie tak powinno być ono urządzone, zindywidualizowane i dopasowane do grzesznika niczym ubranie szyte na miarę - gdzie w trzęsących powozach będzie włókł się od miasta do miasta, prznosił z wynajmowanego taniego pokoju do pałacu i z powrotem, tułał, uganiał za kobietami, gonił za pieniędzmi; nigdy nie zazna spokoju, nigdy nie zatrzyma się w pędzie, nigdy nie wyciągnie znużonych nóg pod stołem, by oznajmić: „Tu jest mój dom”. Zostanie skazany na wieczność wypełnioną jedynie partyjkami faraona, lubieżnymi eskapadami, starymi, rozpustnymi kobietami, zazdrosnymi mężami, robactwem i niezaspokojonymi siostrami.

Oparł czoło na wydzielającym gorzki zapach drewnie, które wysłuchało już tak wielu modlitw. Nie przywykł jeszcze do Londynu. To miasto wciąż go zaskakiwało, kazało często odwracać głowę w czasie wędrówek, szokowało swą niezwykłością. Psy, a nawet gołębie zdawały się wyczuwać, że nie należy do tego miejsca. Reguły

obowiązujące tutaj - jak przestrzegał go Martinelli - były zupełnie inne niż w pozostałych zakątkach świata, tak więc należało bez przerwy mieć się na baczności i nieustannie szczerzyć zęby w uśmiechu, niczym nieszczęsna, pozbawiona rozumu istota. Jeżeli miarą oceny narodu miałyby być ilość sprzeczności panujących w owym społeczeństwie, wówczas powinien natychmiast poważnie ostrzec swego ministra - Anglia była wszechpotężna! Nie dalej jak wczoraj, w dro 45 dze do domu Malingana natknął się na grupę mężczyzn, dostatnio odzianych, stojących wokół leżącego na ziemi boksera ze skręconym karkiem, o twarzy zredukowanej do krwistego steku. Nikomu nie wolno było pomóc temu nieszczęśnikowi, ponieważ dwaj osobnicy z owej grupy - jowialni i pełni animuszu w swych ciepłych płaszczach - założyli się, czy człek ów przeżyje, nie pozwalali więc na żadną interwencję, która mogłaby wpłynąć na wynik zakładu. A działo się to w mieście, gdzie, gdy ktoś potraktował batem własnego konia na ulicy, zewsząd zrywały się głosy świętego oburzenia przeciwko tak niechrześcijańskiemu postępowaniu. Wszyscy obywatele mogli pozwalać sobie tutaj na krytykowanie rządu w sposób, jaki w Wenecji niewątpliwie zaprowadziłby każdego z nich do więzienia, a jednocześnie w żadnym innym kraju Europy arystokracja nie miała tak wielkiej władzy, jak w Anglii. Obcokrajowcy byli tu znienawidzeni, a nagonka na Żydów przybierała formy ostrzejsze nawet niż w krajach niemieckich - tymczasem zaś Londyn pełen był uchodźców z najrozmaitszych zakątków świata, którzy wiedli dostatni żywot, trudniąc się wszelkiego rodzaju interesami. Casanova sam nawiązał znajomość z wieloma Anglikami, traktującymi go niezwykle uprzejmie, jednak nie potrafił odgadnąć, co czują doń w głębi serca lub co mówią o nim przy stole podczas obiadu, w zaciszu własnego domu.

Podniósł wzrok. Stary ksiądz, powłócząc nogami, zmierzał nawą w jego stronę. Biała głowa duchownego zdawała się unosić w powietrzu ponad czernią jego habitu. Casanova przeżegnał się, powstał z kolan i ciężkim krokiem ruszył w mrok nocy.

Gdy znalazł się w sypialni, pchnął okiennice i wyjrzał ‘na zewnątrz. Jakiś dżentelmen i jego dama, a może dama należąca do kogoś zupełnie innego, nadchodzili od strony gmachu Royal Opera House, znajdującego się na 46 Casanova zakochany rogu Haymarket. Przed nimi szedł pacholik z płonąca pochodnią. Było jeszcze zbyt wcześnie, by na ulicach pojawili się ludzie najchętniej przemykający w mrokach nocy.

Kawaler cichutko wygwizdywał przez zęby melodyjki. Piosenki ludowe, drobne przyśpiewki, których w dzieciństwie nauczyła go matka, a może raczej # biorąc pod uwagę fakt, że wizyty Zanetty miały częstotliwość opadów śniegu w Salerno # Bettina, młodsza siostra doktora Gozziego, która lubiła mu śpiewać i która w Padwie, gdy miał lat jedenaście, obudziła w nim podczas kąpieli praojca Adama, a później zaraziła go ospą, tak że przez tydzień jego twarz przypominała wrzące mleko. Ową szczególną pamiątkę jej miłości # znaki po chorobie # nosił do dziś na twarzy jako fizyczne ucieleśnienie ich związku; płytkie, szare blizny, które pokrywał pudrem, a mimo to nigdy nie mógł ich całkowicie ukryć.

Rozebrał się, włożył nocną koszulę, skarpety i szlafmycę, potem zaś zdmuchnął świecę i naciągnął na siebie prześcieradła.

Charpillon zjawiała się w gęstej ciemności nad jego łóżem niczym smuga dymu. Jej kasztanowe włosy - zadziwiająco długie i gęste, jej błękitne oczy # tęskne i błyszczące, jej dłonie # białe i pulchne tak apetycznie, że chciało się zatopić w nich zęby. Delikatny rumieniec pokrywał jej skórę, jakby spędzała noce rozłożona nago na łożu usłanym płatkami róż, niczym kartagińska księżniczka. I te uszy! Maleńkie, różowosrebrne sakiewki... Przez chwilę włosy zdawały się falować wokół jej głowy tak, jakby leżała w wodzie twarzą w dół, a Casanova spoglądał na nią z perspektywy stworzenia tkwiącego na dnie. Balansował teraz pomiędzy jawą a snem i po chwili miraż znikł sprzed jego oczu. Wkrótce też kawaler rozbudził się zupełnie. Wsparł się na łokciu i zaczął pilnie łowić uchem odgłosy nocy.

Z drugiej strony ulicy dobiegł go dźwięk otwieranego okna, a po chwili głos mężczyzny, wołającego coś wyraźnie, acz dla kawalera niezrozumiale. Była to

pojedyncza, krótka fraza, rozlewająca się dźwięcznym echem po mieście pogrążonym we śnie - niczym garść monet padających na bruk. Casanova zastanawiał się, czy ktoś odpowie na ów zew, ale nie doszedł go żaden inny ludzki głos - jedynie po chwili usłyszał stukot na powrót zamykanego okna.

Gdy się zbudził, już była w jego domu. Nie jako zjawa, lecz istota z krwi i kości, pełna energii, tryskająca śmiechem. Kiedy uniósł powieki, w drzwiach do jego komnaty stał Jarba, którego oczy zdradzały mądrość stuletniego starca.

- Przyszłam na śniadanie - oznajmiła Charpillon. - Z jedną z ciotek. Żeby omówić pewien interes. Czy obudziłeś się już, monsieur?

Jej oddech musnął mu twarz, niosąc ze sobą aromat kawy i młodości.

- Zdaje mi się - odparł Casanova - że śnię jeszcze.

Chwycił ją za nadgarstek i pociągnął w dół. Najlepiej załatwić to od razu, Jarba może popatrzeć. Prawdę powiedziawszy, może nawet przyłączyć się do nich, jeśli ma ochotę. Jednak Charpillon, nie przestając się uśmiechać, wykazała nieoczekiwane umiejętności i giętkość ruchów doskonałego szermierza: wywinęła się z uchwytu i uderzyła kawalera w nos kantem swego wachlarza - nie dość mocno, by złamać nos bądź wachlarz, z dostateczną jednak siłą, by Casanovie oczy zaszczyły łzami.

- Malora! Czyś oszalała?

- Jedynie z głodu, monsieur. Czy masz, panie, jajka? Zimne mięsa? Owoce?

Jarba przyniósł czystą chusteczkę z szuflady i kawaler wytarł nią oczy.

- Zajmij się naszym gościem, Jarba. Daj jej wszystko, czego zapragnie. Jaja żółwie, mięso z dzika, duszone granaty. Na co zdałoby się bogactwo, gdyby nie można było dać młodej damie tego, co raczy zażyczyć sobie na śniadanie?

Gdy Charpillon wyszła wraz z Jarbą, Casanova zawołał za nimi:

- Cóż to za interes, który powinniśmy omówić?

Później zaś wstał z łóżka i powlókł się ku umywalni, mamrocząc do siebie: „I tak dobrze wiem, o co chodzi”. Nabrał gorącej wody w nieupięścinione o tej porze pozbawione wyrazu dłonie i przyłożył je do twarzy.

Stół w salonie nakryto do śniadania i pojawiły się na nim smakołyki. Obie

kobiety były rzeczywiście głodne, tak że widelec do tostów szybko rozgrzał się do czerwoności. Wciąż w dezabilu - jakież to bowiem dżentelmen ubierał się przed śniadaniem, a właściwie przed południem? - Casanova zachwycał się w duchu błyszczącymi od masła palcami Charpillon i tym, jak zlizywała okruszki ze swych warg. Gdy skończyli już posiłek, pochylił się ku niej, by serwetą zetrzeć odrobinę tłuszczu z jej brody. Dziewczyna zaś zwróciła twarzyczkę ku niemu w bardzo wdzięcznym geście.

- Teraz - ozwał się - możemy porozmawiać. Tylko szczerze, proszę.

- Drogi kawalerze de Seingalt - zagaiła Ciotka Numer Jeden. - Chciałabym omówić z tobą - biorąc pod uwagę fakt, że jesteśmy już przyjaciółmi, zresztą od bardzo dawna, czyż nie, Marie? - sprawę pewnego niezwykle eliksiru, który postanowiłyśmy nazwać balsamem życia. Być może słyszałeś już o nim, monsieur. Mogę zapewnić cię, panie, że wszędzie, dokąd dotarła jego sława, uważa się go za prawdziwy cud. Moje siostry i ja poznałyśmy jego recepturę wiele lat temu i żyłyśmy bardzo wygodnie z jego wytwarzania we Franche-Comte. Ma on niezwykle delikatny smak, a siłę uzdrawiania tak wielką, iż nawet lekarze ubolewali nad faktem, iż nie można go mieć w ilościach odpowiadających zapotrzebowaniu. - Tu ciotka przerwała i posłała Casanovie uśmiech. Machnął ręką w geście zachęcającym ją do kontynuowania tematu. - Jedynym problemem, monsieur, jest konieczność zakupu wielu kosztownych składników: galaretki różanej, szafranu, sproszkowanego rogu, suszonych koników morskich, żeby wymienić tylko kilka z nich. Kawaler nie wyobraża sobie nawet, jak wielu ingrediencji wymaga owa mikstura. Do tego dochodzą jeszcze butelki, korki, naklejki... to bardzo poważne wydatki, monsieur.

- Wyobrażam to sobie doskonale, madame. Chciał bym jednak wiedzieć, jaka dokładnie suma wchodzi tu taj w grę?

- Pańska bezpośredniość pochlebia nam, monsieur, czyż nie, Marie? Nie może pan jednak oczekiwać od kobiety, że zdoła dokładnie ocenić koszt podobnego przedsięwzięcia. Myślę jednak, iż inwestycja rzędu stu gwinei powinna pokryć wszelkie wydatki.

- Pozwól pani, że spytam, kto jest waszym finansowym doradcą?

- Jest nim dżentelmen, dobrze panu znany, monsieur: kawaler Ange Goudar.

- Goudar? Och, oczywiście. Kto powierza swoje sprawy Goudarowi, może spać spokojnie. Tak więc gdybym postanowił zainwestować w ów interes i wy rozpoczęły byście wytwarzanie balsamu - waszego eliksiru - bez wątpienia wszyscy wkrótce stalibyśmy się niewyobrażalnie bogaci. Czy dobrze pojąłem, madame?

Ciotka delikatnie skubała fałdy swej spódnicy. Na jej twarzy malował się dziwny wyraz potulności, nadający jej niemal dziewczęcy wygląd.

- Oznajmię mą decyzję dziś wieczorem - powiedział Casanova i zwrócił się w stronę Charpillon. - Pani siostrzenicy, jeśli zechce mnie tu odwiedzić.

Ciotka uśmiechnęła się lekko.

- Przyślę ją do pana, monsieur. Robię przecież to wszystko z myślą o jej przyszłości.

- Ja także, madame.

Po czym całe towarzystwo podniosło się z miejsc.

9

Charpillon wróciła po zmroku. Casanova obserwował ją chwili, gdy płaciła tragarzom. Czubkiem głowy sięgała im zaledwie do połowy piersi. Mimo że nie przebyli dalekiej drogi, a pasażerka była lekka, lektykarze parowali niczym zgonione bydło. Charpillon włożyła im monety w dłonie, po czym zwróciła się w stronę domu i latarni wywieszanej przez Jarbę nad frontowymi drzwiami. Gdy wchodziła na schody, rzuciła okiem ku oknu i Casanova cofnął się w głąb pokoju. Za jego plecami, przy stole ustawionym pośrodku salonu, czterech mężczyzn grało w karty. Byli to spryciarze z międzynarodowego półświatka, od których towarzystwa, nawet w Londynie, Casanova nie umiał się całkowicie uwolnić. Wszyscy ci ludzie uczestniczyli razem z nim w orgiastycznych bachanaliach bądź dzielili z nim więzienną celę czy przegrywali doń stawki przy stołach do faraona. Należeli do frantów pożywiających się zawsze kosztem innych. Tak samo jak u wielu im

podobnych - stąd do Taszkientu - tkwiły w nich rudymenty owych uroczych oszustów, żartownisiów, z którymi pospołu przemierzał za młodu świat. Trudno jednak było ich teraz rozpoznać w owych giętkich, cynicznych osobnikach o fatalnej cerze i lojalności jadowitych węży. Ich jedyną wartością była ponura zawziętość.

Jarba zaanonsował Charpillon. Gdy wkroczyła do pokoju, mężczyźni przerwali grę, odsunęli do tyłu krzesła, powstali i skłonili się szarmancko. Miała na sobie suknię z mieniającego się jedwabiu, czepek przystrojony białym piórem oraz długi, czerwony płaszcz zwany kapucynem z racji swego wielkiego kaptura. Zgromadzeni w pokoju mężczyźni wodzili po niej wzrokiem; Casanova miał ochotę tupać nogami i porozbijać porcelanowe figurynki na ich głowach, chociaż wiedział, że w przypadku tych tutaj działa odruch, na który nic nie mogą poradzić. Jej natura wyzwalała w mężczyznach pierwotne instynkty. Charpillon była tym typem dziewczyny, tym typem piękności, która zmusza bogów, by przybierali postać łabędzi.

- Moja droga Marie.

- Kawalerze.

Ujął jej dłoń i ucałował, muskając delikatnie skórę czubkiem języka.

- Przejdź ze mną do sąsiedniego pokoju, omówimy tam interesy twojej ciotki.

Wszystko już przygotowałem.

Gdy zamykał za sobą drzwi, usłyszał głos jednego z graczy, mówiącego: „Interesy ciotki! Nigdy wcześniej nie słyszałem, by ktoś nazywał to w taki sposób”.

Kiedy znaleźli się sam na sam u wejścia do pokoju, Casanova - kiwając w duchu z aprobatą głową - zlustrował scenerię, jaką zaaranżował na to popołudnie. Jedyne światło w pokoju pochodziło od ognia płonącego w palenisku oraz świec ustawionych w dwuramiennym kandelabrze na gzymsie kominka. Okiennice zamknięto, zasłaniając widok na niewielki ogród. Na jednym z delikatnych angielskich stolików o nóżkach jak u wyścigowego charta stała butelka szampana i dwa wysmukłe kieliszki z zielonkawego szkła. Korek lekko odbił się od wnętrza jego dłoni (Casanova pamiętał, że gdy robił to po raz pierwszy, korek wystrzelił i niczym kula ugodził jego wybranek w środek czoła), wino odetchnęło, a sznureczek srebrzystych bąbelków zmienił się po chwili w kieliszkach w czyste złoto. Upili

delikatnie po łyku; na ustach Charpillon pojawił się wymuszony uśmiech. Lepka, zdradzająca pożądanie rosa zaczęła pokrywać czubki jego palców.

Na stole, tuż przy butelce, leżały papiery - pokaźny ich plik - a także rożek z inkaustem oraz laseczka karmazynowego wosku do pieczęci. Na arkuszu znajdującym się na wierzchu Casanova wypisał: „Balsam życia”, wyraźnym charakterem pisma, którego wyuczył się jeszcze jako młody chłopak w kantorach prawniczych Giovanniego Manzoni w Wenecji. Poniżej przepisał kilka ustępów z wczorajszego wydania „Whitehall Evening Post”. Tekst ten, dla jego nierozumiejących obcego języka oczu wyglądał dość solidnie, chociaż - kawaler nie miał co do tego złudzeń - mógł być opisem jakiejś skandalicznej historii czy też zawierać porady dobrego wydawcy na temat, jak uniknąć influency - nowej choroby, która dotarła tu z Italii. Casanova był jednak przekonany, że Charpillon, ze swą znajomością kuchennej łaciny i kilku słów w potocznej niemczyźnie, będzie równie niezdolna do pojęcia treści owego zapisu, jak on sam, tym bardziej że półmrok panujący w pomieszczeniu nie zachęcał do pilniejszych studiów. Kawaler uporządkował papiery, pozwoliwszy jej rzucić na nie okiem, tak by dostrzegła jego podpis złożony dużymi literami u dołu ostatniego arkusza, po czym chwycił ją za nadgarstki i pociągnął w stronę gniazdka uwitego z poduszek na sofie. Ale nie bardzo wiedział, od czego zacząć. Sięgnął po dłoń Marie i przeniósł - jednak nie za gwałtownie - z jej kolana na swoje, po czym pochylił się i ucałował delikatną skórę w rozkosznym zagłębieniu tuż poniżej ucha.

Tolerowała owe karesy przez chwilę, po czym strząsnęła go z siebie i podeszła do kominka z twarzą pociemniałą od rumieńca, którego wymowy nie potrafił zinterpretować. Skromność? Gniew? Pożądanie? Przez kolejne pół minuty żadne z nich nie wypowiedziało ani słowa. Marie postanowiła przybrać pewną pozę; jego obowiązkiem było ją uszanować. Cisza zalegająca pokój pozwoliła mu dosłyszeć nieznaczny szelest - szmer kart tasowanych w przyległym pokoju.

W końcu ona rzekła:

- Mam nadzieję, monsieur, że zechcesz usatysfakcjonować mą ciotkę.
- Miałem nadzieję, Marie - cóż innego bowiem mógł powiedzieć w tej sytuacji?

- że najpierw usatysfakcjonujemy siebie nawzajem.

- Monsieur?

- Zapewniam, moja droga, że nie będzie ci to przykre.

- Obawiam się, monsieur...

- Obawiasz się?

- Że zaszło poważne nieporozumienie.

- Ja nie mam najmniejszych wątpliwości, Marie, że w przypadku twej ciotki o nieporozumieniu nie może być mowy.

- Monsieur, siostrzenica często bywa zbyt niewinna, by przejrzeć zamiary ciotek.

- Jakże rozkoszną byłaby mi ta myśl, gdybym mógł w nią uwierzyć.

- Często ciotki znają życie z najdziwniejszych stron.

- A twoje ciotki w szczególności, Marie. Jestem pewien, że świetnie zdajesz sobie sprawę, iż winne mi są - tak zresztą jak i twoja matka - pewną sumę pieniędzy. Dokładnie sześć tysięcy franków. Dwieście pięćdziesiąt funtów w złocie. Mam na górze weksle na tę sumę, opatrzone ich podpisami.

Charpillon wpatrywała się w ogień. Jedną dłoń oparła na gzymsie kominka, palcem drugiej zaś kreśliła kółeczka na drewnianej półce nad paleniskiem. W końcu powiedziała:

- Monsieur, to nie ma nic wspólnego ze sprawą.

- Ze „sprawą”? _ pieniędzmi na balsam, monsieur. _ pieniądze, Marie, gwinee, o które prosi twoja ciotka, są zapłatą za ciebie. Mają być one... ‘

- Prezentem?

- Tak właśnie. Wręczonym za określoną przysługę oczywiście.

- Prezentami obdarowuje się z własnej woli albo nie daje ich wcale.

- Marie, obdarowuje się tych, którzy czynią nas szczęśliwymi.

- Powinieneś, panie, czuć się zaszczycony i szczęśliwy zarazem, że masz oto sposobność wsparcia rodziny biednych kobiet.

W blasku ognia wyglądała niemal szlachetnie; niczym Joanna d'Arc bohatersko stojąca przeciw Anglikom pod Rouen. Czyżby fałszywie ją osądzał? W rzeczy samej

niemal nic o niej nie wiedział ponad to, że była młoda, niepokojąco ładna i że jej matka była jego dłużniczką. Czy jej obecny opór, cięte odpowiedzi, niechęć do zaangażowania się w tę grę - do odegrania roli, którą wyraźnie przeznaczył jej los - były sztuczkami wyrafinowanej kokietki czy skromnością młodej kobiety, zmuszonej nagle do przyjmowania niepożądanych zalotów? Casanova porzucił na moment swą pozę i w geście znużenia zaczął masować palcami skronie. Jakże chciałby zdjąć teraz perukę i porządnie podrapać się w głowę. Jakiś element w jego planach, owych tak kunsztownych kalkulacjach, niespodziewanie sromotnie go zawiódł. Coś drobnego, acz niezmiernie istotnego gdzieś mu umknęło.

- Moja droga...

- Kawalerze?

- Ja...

Wiedział, że musi z nią porozmawiać, by ukoić jej umysł, nim zacznie pieścić ciało, jednak tym razem, nieoczekiwanie, słowa go zawiódły. Dźwięczały mu w uszach, ale z jakiegoś powodu nie był w stanie wypowiedzieć żadnej z owych subtelnych fraz, sentencji skrzących się dowcipem, żadnego z pochlebstw. Odniósł nagle wrażenie, że wszystkie słowa, odbijające się teraz echem w jego umyśle, zostaną wkrótce jedynymi, jakie kiedykolwiek zdoła wypowiedzieć w przyszłości. Zasoby jego języka zaczęły się wyczerpywać: gdy już będzie musiał powtórzyć swe ostatnie „uwielbiam cię”, ostatnie „usiądź tu, moja droga”, ostatnie „wybacz mi”, pozostanie jedynie cisza, zawładnie nim impotencja słowa, śmierć. Ukojenie? Dyszał ciężko niczym pływak. Jeśli zużywanie słów popycha człowieka w stronę grobu, trudno. Powiedział coś do niej, po prostu otworzył usta i wymówił jakieś sylaby. W taktykę ową zaangażował jednak tylko część swego umysłu. Pozostała część podsuwała jego wyobraźni obrazy, w których widział - jakby z lotu ptaka - setki Casanovów, pędzących przez życie, co dnia usuwających z nosa czy brwi kolejny biały włos, niosących w sercach pewność, że przekroczyli już zenit swego życia, i że teraz czeka ich jedynie jakieś dwadzieścia, może trzydzieści lat bycia Casanova; nużące, niechętne odgrywanie tego, co już było.

Gdy podniósł się z sofy, zatrzeszczało mu w kolanach. Podeszedł do Marie. Gdy

był już blisko, odwróciła się w jego stronę. Miał nadzieję, że widok dziewczyny rysów odpędzi od niego fatalny nastrój, jednak twarz Charpillon była teraz szokująco pozbawiona wszelkich cech indywidualnych - stała się nagle czystą, białą matrycą wszystkich innych twarzy jego kobiet: Bettiny, Henrietty, Morphy, Theresy, Manon, Zoe, Victorii, Etsuko, Milagros, Ludwiki, Augusty, Pauline, Catariny, Juliette... Czy to pogrążanie się świata w anonimowości świadczyło o dopadającej go niemocy, o starości? Czyżby ogarniała go postępująca ślepotą? Gdzieś w głębi serca poczuł panikę.

Charpillon zaś, patrząc nań z ukosa, spytała:

- Pieniądze, monsieur?

Machnął dłonią, jakby chciał odegnąć od siebie jej słowa niczym chmurę natrętnych owadów.

- Porozmawiamy o tym innym razem. W następnym tygodniu, a może jeszcze później...

Wypadł na korytarz i przycisnął czoło do chłodnych trałek poręczy. Kilka minut później, bezszelestnie niczym Ariel, pojawił się przy nim Jarba.

- Pozbądź się ich, Jarba. Wyprowadź ich wszystkich. A potem przynieś mi wina do salonu.

- Signore?

- Nie pytaj, Jarba. O nic nie pytaj.

10

Wszyscy wyszli, udali się do domów, gdziekolwiek je mieli. Kawaler odwrócił karty, leżące na stole: walet kier, królowa pik, król trefl. W pokoju panował zaduch i Casanova podniósł okno. Nadciągała mgła, przy-pełzała znad rzeki, wodziła swymi koronkowymi palcami po wąskich londyńskich ulicach; okręcała się wokół drewnianych słupów ustawionych na skraju chodników, wciskała do kominów.

Westchnął ciężko. Był zbyt niespokojny, by położyć się do łóżka, a nie miał już ochoty na więcej wina. Od chwili gdy Charpillon opuściła jego progi, wypił do końca szampana, po czym jeszcze opróżnił dwie butelki lafite (Anglicy posiadali aż nazbyt wiele doskonałego bordeaux). Miał świadomość, że dużo wypił. Czuł, jak wino przesącza się do jego krwi, jednak tym razem nie ogarniała go owa radość i lekkość bytu, które zazwyczaj zapewniał mu gronowy trunek.

Zasunął okno, zamknął okiennice...

W parku, otulone srebrzystym całunem mgły, pary kopulowały niemal jawnie: mężczyźni napinali się i parli, kobiety zaś wydawały z siebie grzecznościowe ochy i achy. Problem z seksem, rozważał w myślach Casanova, polegał na tym, że każdemu zdawało się, iż wie, jak go uprawiać. Nikomu nie powstałaby w głowie podobna myśl, gdyby chodziło o poezję czy wydmuchiwanie szkła. Nie obchodziłoby go to wiele, gdyby nie przekonanie, że większość mężczyzn - a także kobiet - dokonywała tego aktu, wychodząc z błędnego założenia, że tak po prostu należy czynić. W rzeczywistości jednak seks nie interesował ich szczególnie i nie mieli w tym kierunku ani odrobiny talentu. Nawet on, choć - gdy miał dobry dzień - potrafił wniknąć w umysł kobiety równie sprawnie, jak w jej ciało; choć znał szczegóły ludzkiej anatomii jak najlepszy z rzeźbiarzy - studiował mapy przedstawiające gęszcz splotów nerwowych, strumienie krwi, lekko pofałdowane sawanny skóry; choć potrafił piśszczotami wydobyć z najwstydlivszej istoty pełen bukiet jej tajemnych pragnień - nawet on uważał się w tej dziedzinie jedynie za nowicjusza. Spośród zauważonych wszystkich par tylko jedna go zachwyciła: młodzi dionizjanie, jeszcze niemal dzieci, którzy wili się w mlecznym powietrzu i zaciskali zęby dzwoniące z rozkoszy. Zatrzymał się, by chwilę na nich popatrzeć, wystraszyła go jednak krowa, która jakimś cudem wydostała się z mleczarni. Jej kopyta oblepiała wczesna rosa. Casanova słyszał pohukiwanie sów i dojrzał przemykającego lisa. Czy były tu także wilki? A niedźwiedzie?

Poprzez park dotarł do Horse Guards Parade. W kilku oknach błyszcząły światła - dość jasne, by przeniknąć poprzez zasłony mgły. Kilku spóźnionych przechodniów

spieszyło do domu w szczelnie zapiętych płaszczach, jednak - z powodu późnej pory - ze szpadami na wierzchu bądź z potężnymi dębowymi łagami w dłoniach. Casanova minął Plantation Office, przeszedł wzdłuż wysokiego, ceglanego muru broniącego dostępu do prywatnych ogrodów, i dotarł do Whitehall Stairs. U stóp schodów pojedyncza łódź wiosłowa cięła falę przyływu. Zanim jednak kawaler zdołał zwrócić na siebie uwagę jej właściciela, wielki człowiek-cień przepchnął się przed niego, zdecydowanym krokiem zszedł nad brzeg i już miał ulokować się na ławce, gdy Casanova krzyknął za nim:

- Monsieur! Ja również chciałbym wsiąść do tej łodzi. I nie dbam o to, dokąd zmierza.

Wioślarz wybałuszył oczy; człowiek-cień odwrócił głowę. Przez kilka sekund trwali tak dziwnie zwrócenii do siebie, jakby za chwilę mieli odśpiewać trio z „Il mondo bella luna” Galupiego. Po chwili jednak człowiek-cień, upewniwszy wyraźnie właściciela łodzi, że ów cudzoziemiec nie zagraża w żaden sposób ich życiu, zwrócił się do Casanovy poprawną francuszczyzną, z typową jednak dla Anglika pogardą dla akcentu innego niż obowiązujący w jego rodzimym języku.

- Udaję się tą łodzią aż do Tempie Stairs. Jeżeli to panu odpowiada, nie mam nic przeciwko pańskiemu towarzystwu.

Kawaler skłonił się grzecznie. Na tym świecie, dzięki Bogu, wciąż jeszcze istniała wspaniała Republika Dżentelmenów. Gdy upadnie, na ziemi pozostaną jedynie barbarzyńcy. I kobiety.

- Monsieur - odparł - ta wspaniałomyślność wobec obcokrajowca to wielka łaskawość z pana strony. Nie wiem, panie, co prawda, dokąd zmierzasz. Pewien jednak jestem, że uznam to miejsce za zachwycające. Chciałbym po prostu spędzić jakoś kilka nużących godzin nocnych, ponieważ popadłem dzisiaj w dziwny nastrój. Nad rzeką panował chłód. By się rozgrzać, człowiek-cień wziął z rąk właściciela łodzi wiosło. Posługiwał się nim wprawnie, wykazując przy tym solidną tężyznę fizyczną. Płynęli wzdłuż nabrzeża starego Londynu, mijając zbutwiałe drewniane pale oraz zacumowane przy kei statki z masztami ginącymi gdzieś we mgle. Za ich plecami latarnie z Westminster Bridge rzucały nikielne blaski światła na wodę.

Casanova, siedząc przy sterze, podciągnął nogi, zamknął oczy i wsłuchiwał się w mowę rzeki, która - swymi szmerami, bulgotami, długimi, płynnymi dźwiękami - przypominała nieco gawędy weneckich kanałów, choć brak jej było owego - tak typowego dla tamtych - intymnego pogłosu. Czy kiedykolwiek jeszcze dane mu będzie ujrzeć dom swego dzieciństwa? Czy inkwizytorzy - surowi starcy, których jedynym uczuciem była racja stanu - kiedykolwiek dojrzeją do tego, by zdjąć z jego ramion brzemię wygnania? On sam marzył niekiedy, iż wślizguje się potajemnie do starego rodzinnego miasta i zaszywa się w nim, wiodąc cichy żywot, by nie zwracać niczyjej uwagi. W rzeczywistości zdawał sobie jednak sprawę, że każdy rajfur, każdy confidante dowiedziałby się o jego przyjeździe najdalej po trzech godzinach, po upływie kolejnej godziny - zostałby aresztowany. I nieważne, co by uczynił, jak bardzo by się zmienił. W tajemnych rejestrach przy jego nazwisku zawsze już będzie widniało haniebne piętno, którego nikt i nic nie zdoła wymazać. Casanova nigdy nie miał zapomnieć widoku stołka, wytrącanego spod stóp skazanych na powieszenie, który pokazał mu Cavalli, więzienny dozorca, gdy prowadził go schodami do celi pod Pałacem Dożów w roku 1755. Raz udało mu się stamtąd zbiec. Mało prawdopodobne jednak, by taka szansa była mu dana po raz drugi.

Gdy przybili do Temple Stairs, Casanova - zdecydowany rozproszyć ponure myśli wędrówką po tajemniczych ulicach tego miasta - chciał się pożegnać, jednak człowiek-cień zatrzymał go, pytając, czy nie zechciałby spędzić z nim trochę czasu w którymś z miejscowych zajazdów, takim jak na przykład Pod Czarnym Lwem, do którego szybko można było dotrzeć, idąc na skróty przez Temple. Nie chcąc odpłacać nieznajomemu za uprzejmość odmową, i jednocześnie ciekaw, co mogłaby przynieść ta nowa koneksja, kawaler przyjął zaproszenie. Ruszyli więc rażnym krokiem nieoświetlonymi alejkami - obaj zbudowani tak potężnie, że każdy rzezimieszek musiałby się zastanowić dwa razy, nim odważyłby się ich zaczepić. Mimo wszechogarniających ciemności człowiek-cień szedł krokiem niezwykle pewnym, nie pozostawiając żadnej wątpliwości, iż zdolny byłby pokonać tę trasę z zawiązanymi oczami.

W zajazdzie Pod Czarnym Lwem kilku zapóźnionych gości siedziało z fajkami

w dłoniach nad szklaneczkami. Powietrze wewnątrz pulsowało rozkosznym ciepłem bijącym od ognia buzującego na kominku, przed którym ogar o trzech łapach przewalał się i drapał, rzucając czujne spojrzenia w stronę nowo przybyłych. Chłopiec usługujący gościom zaprowadził ich do stolika w rogu i Casanova - wdzięczny za nieoczekiwane wybawienie od kolejnej nocy wypełnionej zmaganiem z ponurą skłonnością do pławienia się we własnym, wysublimowanym poczuciu nieszczęścia - posunął się nawet do zamówienia szklaneczki mocnego piwa - napoju, którego zazwyczaj nie był w stanie przełknąć. Człowiek-cień, wyłoniwszy się teraz ze spowijających go mroków, okazał się równie cielesny i namacalny, jak stodoła czy pobijak. Głosem potężnym i donośnym zażądał lemoniady.

- Teraz już nie pijam nic mocniejszego, monsieur - Nic mocniejszego od herbaty. Za czasów mej młodości piłem za dwóch. Niewielu wówczas było takich, którzy zdołaliby dotrzymać mi kroku - przepijając do mnie kubek w kubek, butelka w butelkę.

- Doprawdy, monsieur?

Kawaler zlustrował wzrokiem swego nowego kompaniona - człowieka mniej więcej dwadzieścia lat od niego starszego, odzianego w brązowy zakiet z tkaniny, która, choć miejscami postrzępiona, a gdzieniegdzie nawet porządnie przetarta, wyglądała na równie mocną i solidną, jak żaglowe płótno. Podobnie jego peruka, choć nadpalona po bokach - zapewne z powodu zbyt bliskiego trzymania świecy przy czytaniu - wydawała się niezniszczalna. Ten niezwykle jegomość rozsiadł się wygodnie, balansując ciałem na tylnych nogach krzesła i wydając z siebie od czasu do czasu niby-gwizdy, klaskał językiem o podniebienie, nieustannie wodząc oczami po sali niczym zawodowy bokser.

Przedstawiwszy się sobie nawzajem, mężczyźni przystąpili do rozmowy. Każdy z nich popisował się epigramem, grą słów, cytatem z Horacego. Kawaler poczynął sobie dzielnie, mimo że lekturą mógł się zazwyczaj zajmować jedynie w trzęsących powozach, przeraźliwie dusznych bądź nieludzko wyiębionych, przenoszących go z jednego krańca Europy w drugi. I jeszcze wtedy, gdy rozciągnął się leniwie na otomanie w jakimś palazzo, kartkując Homera czy Monteskiusza, z omdlałymi członkami po kilku godzinach cielesnych, zmysłowych zmagania z panią domu.

Najwięcej nauczył się wszakże, prowadząc z ludźmi niezliczone rozmowy; często też Pochlebiał sobie myślą, że niewielu jest takich, którzy wymienili więcej słów z większą liczbą osób niż on. Wiele z zasłyszanych sentencji - w zasadzie gros z nich - nie miało żadnej wartości, jego umysł jednak wykazywał niezwykłą zdolność oddzielania plew od ziaren mądrości; miliony rozmów złożyły się więc przez te lata na całkiem pokaźną sumę wiedzy.

Teologia, historia, geometria euklidesowa, architektura palladiańska. Poezja, renty, polityka. Szybko okazało się, że jego rozmówca nie władał szpadą, lecz maczugą czy też potężnym kilofem. Mózg Casanovy parował, jego ciało pod koszulą zalewał pot. Jegomość siedzący naprzeciwko potrafił natychmiast wyczuć i obnażyć każdą czczą przechwałkę, każde kłamstwo, słowo bez pokrycia. Zdawało się, że tamten rzeczywiście wie wszystko, tak że w końcu Casanova, rozważający już od jakiegoś czasu możliwość posunięcia się do sztuczki jeszcze z lat dzieciństwa - wywołania spektakularnego krwotoku z nosa na zawołanie, został wybawiony od zdemaskowania (jako kto? jako co?) li tylko dzięki słabości pęcherza swego rozmówcy. Wspólnie więc wyszli z gospody i razem stanęli pod ścianą na Water Lane.

- Ostatnio - stwierdził człowiek-cień (przed minutą jeszcze gromiący poglądy idealistycznych filozofów i ubolewający nad zanikiem sztuki pisania kazań) - szczam niczym koń. Mój przyjaciel, doktor Levett, twierdzi, że to z powodu nerek.

- Jeśli pozwolisz, panie - wtrącił Casanova (tryskając na mur piwem opuszczającym jego pęcherz w ilości, która - w porównaniu z ilością płynu wydalaną przez jego towarzysza - wydawała się ledwie cieniutkim strumyczkiem) - dostarczę ci medykamentu na tę dolegliwość, który - o ile mi wiadomo - jeszcze nigdy nie zawiódł.

Kawaler oczywiście nie dysponował podobnym remedium, chciał jednak za wszelką cenę podtrzymać tę przypadkową znajomość. Nie utracił jeszcze całkowicie wiary w przeznaczenie, w opatrność, w dar losu - pochodzący z niebios czy też będący jedynie szczęśliwym zbiegiem czysto prozaicznych wypadków - i wierzył w nieoczekiwaną przychylność fortuny. Czy w niesieniu pociechy innym nie mógłby

przypadkiem znaleźć pociechy dla siebie? Czy coś z konkretności, solidności tego człowieka nie mogłoby przylgnąć i do niego? Gdy jednak ktoś twierdzi, że dysponuje medykamentem, musi zawsze głosić jego niezawodność.

Ramię w ramię skierowali się z powrotem nad rzekę, wędrując wśród ociekających wilgocią murów, łowiąc niekiedy uchem - dochodzące z przodu bądź z tyłu - odgłosy powłóczących kroków czy szczekanie psów. Właściciel łodzi natychmiast pojawił się na zawołanie człowieka-cienia, Casanova zręcznie wskoczył do niej i stał z ramionami wyciągniętymi w geście pożegnania i wzrokiem utkwionym w swego nowego przyjaciela do czasu, aż wdarła się pomiędzy nich mgła tak gęsta, że zniknęli sobie z oczu.

Na Pali Mali, przed udaniem się na spoczynek, Casanova chwycił w dłoń zaostrzone pióro i umoczywszy je w inkauscie, zanotował:

Spotkałem tego wieczoru, ostatniego dnia września 1763 roku, pana Samiwella Johnisona, zajmującego pokoje przy Inner Tempie Lane pod numerem pierwszym, będącego prawdziwym klejnotem tego narodu”.

Zwilżonymi palcami zgasił świecę i z głębokim westchnieniem opadł plecami na poduszki. Już niemal zdołał pogрузić się we śnie - przygody minionego dnia przekształciły się w jego głowie w obłok bezładnych myśli, w dziwne wizje - kiedy usłyszał ponownie tajemnicze nawoływanie swego sąsiada. Czemu nigdy nikt mu nie odpowiadał? Było w owym krzyku tyle przejmującej samotności. Biedaczysko. Jarba wiedziałby, co oznaczają jego słowa. Kochany Jarba...

Za parawanem - starym rupieciem z wypaczonego drewna i zetlałego jedwabiu - starzec siedział na solidnym nocniku. Teraz zmuszony był siadać na nim jak kobieta, nawet gdy wołała go drobna potrzeba. Jakiś zator w pęcherzu sprawiał, że ów niegdyś poniekąd przyjemny akt oddawania moczu stał się dlań obecnie istną torturą, cierpieniem, jakiego nie byłaby w stanie zadać nawet inkwizycja. Casanova spojrział w dół na skurczony, purpurowy gruzel, będący jego męskością. Jego męskością! To coś pomiędzy udami przypominało mu kawałek świńskiego jelita, które mała Angela Calori przykleiła do swojej pieczarki całe wieki temu, w Mediolanie, by mogła

pracować w teatrze - oszukując tego starego głupca, klechę, który sprawdzał cnotę aktorek. Casanova jednak nie zdołała zwieść! Kochana dziewczyna... nieżyjąca już dziewczyna. to zadziwiające, jak dobrze można pamiętać wydarzenia sprzed pięćdziesięciu lat, a jak trudno przypomnieć sobie z kim się rozmawiało minionego dnia.

- Wybacz mi, proszę, signora! Nie zabawię tu długo... - wykrzyknął Casanova.

- Powiedz mi, kawalerze, czy Charpillon była piękniejsza od twojej Portugalki?

Piękniejsza od Henrietty czy Manon?

- Opowiadałem ci, pani, o Henriecie?

- Oczywiście.

- Zanim Henrietta pozostawiła mnie samego w Genewie, w pokoju hotelowym wydrapała na szybie swym pierścieniem...

- Tu oublieras aussi Henriette.

- Ach, więc rzeczywiście ci o niej opowiadałem. Jednak to, co napisała, nie miało się sprawdzić. Nigdy jej nie zapomniałem. Grała na wiolonczeli, miała krótkie włosy. Uwielbiałem ją, ale kazała mi przysiąc, że nigdy nie będę jej szukać i że jeśli spotkam ją kiedyś przypadkiem, przejdę obok niej obojętnie, jakbyśmy byli sobie obcy. Żaden mężczyzna nie śmiałyby żądać czegoś takiego, signora. Gdy to usłyszałem, oniemiałem. Przeraziłem się niepomiernie.

Casanova zacisnął bezzębne dziąsła i wyduł wąż strużkę różowej wody ze swego dużego, obwisłego ciała. Zajęczał; nie potrafił się opanować. Finette zajrzała za parawan. On skinął głową i uśmiechnął się - uśmiechnął się na myśl, że ostatnią miłością jego życia jest foksterierka.

- Jeżeli chodzi o Charpillon - odezwał się, wstrzymując oddech - jak to napisano w Pieśni nad pieśniami? „Piękna jak księżyc, promienna jak słońce, groźna jak hufce waleczne” [Pnp 6,10 - cyt. za: Pismo Święte, Nowy przekład, Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne, Warszawa 1990.]

- W takim razie - stwierdziła odwiedzająca go dama - żal mi jej. Ciężko być tak piękną i młodą, bo przecież ona mogła być twoją córką, signore.

- Eee tam! Rozkoszowała się swą władzą, świadomością, że mężczyźni muszą

zwracać ku niej oczy. Nawet starcy, sypiający już tylko z książeczką do nabożeństwa, nie mogli się powstrzymać, aby nie wlepić w nią wzroku. Uliczne psy biegały za nią niczym oszalali oblubieńcy. A ty, pani, możesz oszczędzić sobie tego współczucia, jako że ona sama nie miała go więcej niż święty Just czy Tallien.

- A jednak ty, panie, nie mogłeś się zmusić, aby spalić jej listy.

Casanova opadł na krzesło. Finette chwilowo go opuściła, by rozłożyć się przed kominkiem, a tymczasem jego gość, owa dama, siedząc w pozie przesadnie skromnej naprzeciwko, tuż na wyciągnięcie ręki, uśmiechała się doń wąskimi ustami. I w tym momencie, patrząc na kredowobiały cień twarzy zasłoniętej woalem, Casanova nabrał pewności, że gdyby dotknął jej skóry, okazałaby się zimna jak trawa o poranku, a może nawet tak zimna, jak ziemia, na której rosła.

- Jestem pewna, signore, że wkrótce pańska młoda przyjaciółka złożyła panu ponowną wizytę.

Czy była to jedna z szeregu kolejnych przygód, czy też już przygoda ostatnia? Spojrzał na świecę i zauważył, jak gwałtownie wysoki płomień wgrzyza się w knot.

- Nie, signora, Charpillon nie przyszła do mnie. Wy słała natomiast swego ambasadora...

Kawaler, w szlafroku i welwetowym fezie, siedział przed kominkiem na Pali Mali, a obok niego, na stoliku, stała filiżanka czekolady. Na kolanach trzymał rozłożony pierwszy tom słynnego słownika Johnsona, który przyniósł mu Jarba ze składu księgarskiego Payne'a, mieszczącego się przy Paternoster Row. Jakże piękne zawierał słowa! Nawet jeśli nie rozumiało się znaczenia, z przyjemnością można je było głośno wypowiadać w przytulnym zaciszu własnego pokoju. Były dziwną, obcą muzyką, radującą ucho swym brzmieniem i pobudzającą wyobraźnię.

Z owego błogiego stanu wyrwał go dźwięk dzwonka do drzwi. Gdy usiłował

zdecydować, czy jest w domu, czy go nie ma, usłyszał kobiecy głos, uprzejmy, acz boleściwy, który natychmiast rozpoznał. Ulubiona ciotka Charpillon. Niebawem wkroczyła do pokoju, podrzucając głową i uśmiechając się jak pewna znana mu kiedyś przeorysza, która bogatym paniąkom, za sowitą opłatą, spędzała pudy.

- Madame...

Casanova podniósł się, ujął na moment jej dłoń, po czym ruchem ręki wskazał krzesło po przeciwnej stronie kominka. Posłał panią Feaver po jeszcze jedną filiżankę czekolady. Ciotka pociągała nosem i pocierała jego czubek. Cierpiała na przeziębienie, a gdy kichała, grzechotały jej wszystkie kości.

Zanim podano czekoladę, rozmawiali o pogodzie: o tym, że zrobiło się chłodniej, nieco wilgotniej, i że, no cóż, monsieur, jest niemal jak w zimie; a to taka mokra pora roku w tym kraju. Casanova doradził, by na swe dolegliwości wypijała co rano szklaneczkę sherry z połową gałki muszkatołowej; oznajmił jej, że gałkę można także utrzcć, a potem palić w fajeczce, jeśli wolałaby taki sposób jej przyjmowania.

- Jakież pan uprzejmy, monsieur, jakże uczony.

Obiecała, że gdy tylko wróci do domu, przyśle służącą po muszkat, chociaż musi jednocześnie uprzedzić kawalera, że ta wredna dziewczyna nieustannie kradnie. A co gorsza, ma adoratora, fryzjera, proszę sobie wyobrazić, bardzo młodego i nierozgarniętego, chociaż z drugiej strony, monsieur musi się zgodzić, że to naturalne, by dziewczyna, nawet brzydka i nie za czysta, miała konkurenta, n'est-ce pas?

Pani Feaver wniosła czekoladę, przyrządzoną wedle polecenia Casanovy - mocną i tak gęstą, że można by w niej bez mała sadzić róże. Kawaler poczekał grzecznie, aż ciotka przytknie parujący brzeg filiżanki do ust. Gdy upiła nieco płynu, odezwała się nagle:

- Nie zapytał mnie pan jeszcze o Marie, monsieur.

Jej głos się zmienił: nabrał nagle żwawego, zalotnego tonu.

- Czemuż to, madame, miałbym pytać o twą siostrzenicę? Przecież prawie się nie znamy.

Ciotka pogroziła mu wachlarzem i wybuchnęła śmiechem, zakrywając

natychmiast usta dłonią, by zasłonić szare, spróchniałe pieńki zębów.

- Mój drogi kawalerze, jeśli pana wówczas uraziła...

- Zapewniam panią, że mnie nie uraziła. Jakże mogła by to uczynić? Nie uraziła mnie w najmniejszym stopniu.

- Monsieur nawet nie wyobraża sobie, jaką ulgę sprawił mi tymi słowami. Marie jest taka młoda. Młodzi lu dzie zaś nie zawsze są w stanie pojąć, co dla nich najlepsze. Ale to łagodna dziewczyna, posłuszna moim radom. Znam jej wszystkie najsekretniejsze myśli, wiem przeto, że poczesne w nich miejsce znajduje pewien dżentelmen.

Casanova pilnie wpatrywał się we własne dłonie. Miał świadomość, iż puls zaczął mu bić zwawszym rytmem, był jednak zdecydowany nie okazywać choćby cienia entuzjazmu. Tej szczególnej sztuki nauczyły go lata spędzone przy hazardowych stołach. Rzekł więc jedynie:

- Jeśli zechce, może mnie odwiedzić. Nie zawieram mych drzwi przed żadnym gościem, czego ty, pani, jesteś najlepszym przykładem.

- Czy to jednak przystoi, monsieur? Żyjemy w tak cynicznych czasach.

- Co zatem sugerujesz, pani?

- Może pan, kawalerze, zechciałby przyjść na Denmark Street? Doprawdy, czemuż nie dzisiejszego popołudnia? Już ja przypilnuję, by Marie była w domu.

- Czy rada mnie zobaczy?

- Jestem tego pewna.

- A co z naszymi wspólnymi interesami?

- Przygotowałam dla pana, monsieur, buteleczkę balsamu. Na próbę.

- Może nigdy nie będę go potrzebował.

Wzruszyła ramionami, teraz już w pełni zadowolona z siebie, sprawiając wrażenie osoby przekonanej, że złowiła go w sieć - osoby, która od samego początku była pewna swej wygranej.

- W takim razie, madame, sądzę, że dojdziemy do po rozumienia zadowalającego obie strony.

Wzruszyła ramionami, teraz już w pełni zadowolona z siebie, sprawiając

wrażenie osoby przekonanej, że złowiła go w sieć - osoby; która od samego początku była pewna swej wygranej.

- Balsam ten ma wiele cudownych właściwości, tak więc monsieur zapewne znajdzie dla niego jakieś zastosowanie.

- W takim razie sędzę madame, że dojdziemy do porozumienia zadawalającego obie strony.

- Czekamy więc na pana dziś po południu, monsieur. O czwartej?

12

Kiedy wyszła i gdy jej odór rozpląnął się już w powietrzu, Casanova siedział przez godzinę, upojony stanem błędnego oczekiwania. Zażyczył sobie na lunch zupę, ozory i jajka, a następnie kazał Jarbie przygotować wodę na kąpiel. Gdy z niej wyszedł, błyszczący niczym wielka, gotowana langusta, wtarł w pierś olejek bergamotowy, po czym wdział szlafrok i w tym stroju czekał na przybycie Cosimo, balwierza. Ów zjawił się spóźniony dziesięć minut wprost od poprzedniego klienta z St James Square. Wbiegł po schodach i zziębnięty wpadł do pokoju, już od progu rozpoczynając swą zwykłą paplaninę i wyciągając ręczniki, pasy do ostrzenia brzytwy oraz słoiki pełne rozmaitych maści. Zawiązawszy fartuch, zaczął golić twarz kawalera, odginając wszystkie fałdki, wszystkie delikatne obwisłości i małe poduszcзки, odkrywając w ten sposób każdy, mikroskopijny nawet włoszek i pozbywając się go natychmiast jednym pociągnięciem jęzora brzytwy. Potem zaś zajął się przygotowaniem peruki - natłuścił ją, upudrował, a następnie ufryzował gorącymi szczypcami. Ten człowiek był prawdziwym artystą: gdy skończył swą pracę, peruka, założona na skórzany model głowy, pyszniła się niczym przecudny ptak.

Kawaler wybrał teraz strój na wieczór. Wdział koszulę z mnóstwem koronek przy mankietach, dwurzędową kamizelkę podbijaną różowym jedwabiem i obramowaną pasamonem tej samej barwy, obcisłe, jedwabne spodnie oraz szafirowy,

długi zakiet z wysokim kołnierzem. Na jednym złotym łańcuszku zawiesił zegarek, na drugim - pieczęcie. Wsunął włoskie buty wysadzone półszlachetnymi kamieniami zakupione u braci Piovasco w Rzymie. Jarba podał mu pas do szpady. Casanova wsunął go przez łożę, po czym włożył perukę i starannie obejrzał się lustrze. Iluż mężczyzn w Londynie mogło mieć nadzieję na ujście podobnego obrazu w zwierciadle? Podszedł bliżej, by dotknąć chłodnych palców swego odbicia. Bez wątplenia jego uroda była bardziej zniewalająca teraz niż wtedy, gdy miał lat dwadzieścia czy trzydzieści, a jednak nie miał ochoty oglądać zbyt długo w lustrze swych oczu, w ich spojrzeniu bowiem kryło się tyleż samo pożądania, co niepewności. Czy dziś będzie patronować mu Wenus, czy może bożek szyderstwa Momus?

Na Denmark Street, gdy zegary wybijały czwartą, powitała go Ciotka Numer Jeden. Zaraz też, położywszy palec na ustach, chwyciła go za ramię i powiodła korytarzem, mijając drzwi do salonu, gdzie pozostałe kobiety - z wyjątkiem Charpillon - zajęte były wyszywaniem jakiejś tkaniny. Praca ta pochłaniała babkę, matkę, Ciotkę Numer Dwa, a nawet służącą. Rzuciły mu przelotne spojrzenie, trzymając pomiędzy zębami kolorowe pasma wełny, z naparstkami na palcach i takim wyrazem na twarzach jakby on, czy kto inny, zawsze składał im wizyty o tej porze. Nie odezwały się ani słowem; zajmowały się jedynie swym szyciem.

Ciotka Numer Jeden tymczasem pogoniła go na schody, napominając jednocześnie szeptem, by nie podnosił głosu, nie stąpał tak ciężko i nie pozwalał pochwie swej szpady wystukiwać głośniego arpeggio na tralkach poręczy.

- Czy jesteś, pani, pewna, że ona oczekuje mej wizyty? - spytał.

Nie był szczególnie zaskoczony zachowaniem tej kobiety. Poznał już zapewne wszystkie możliwe sposoby podsuwania mężczyźnie młodych dziewcząt, chciał jednak wiedzieć, jakie dokładnie reguły obowiązywały w tym domu.

Ciotka machnęła ręką w jego stronę, dając mu niejako do zrozumienia, że to pytanie jest zbyt trywialne, by na nie odpowiadać, po czym raz jeszcze położyła palec na ustach. Stali teraz przed drzwiami na podeście drugiego piętra. Ciotka zaledwie je

uchyliła, wystarczająco szeroko jednak, by wepchnąć go do środka - po czym zamknęła drzwi.

Wydawało mu się, że znalazł się w buduarze Charpillon - po chwili nabrał nawet pewności. Ujrzał tam bowiem płaszcz, który miała na sobie, gdy zjawiała się na Pali Mali; na lustrze toaletki z kolei zauważył wiszące francuskie koraliki - te same, które błyszczały na jej szyi w domu Malingana; przy łóżku zaś dojrzał maleńkie trzewiki naszywane błękitną satyną - jeden stojący, drugi przewrócony na bok. Pochylił się, podniósł je, ocenił uważnie stopień zdarcia obcasów, przyjrzał się płytkim wgłębieniom w środku, wyciśniętym przez jej stopy i rysie na lewym pantofelku, powstałej zapewne przy zaczepieniu nogą o stopień powozu lub może spowodowanej przez niezdarne partnera w trakcie jakichś pasterskich pługów. Powąchał je; chętnie założyłby je na własne stopy, gdyby nie były dwa razy większe od jej stóp.

Odgarnął róg kapy na łóżku, poklepał zagłówek, zdjął z niego włos i obejrzał pod światło, trzymając w taki sposób, że błyszczał i zwijał się niczym żywy. Podeszedł do toaletki i dojrzał tam kłaczek wełny umazany czerwoną barwiczką, którego musiała użyć dzisiejszego ranka bądź wczorajszego wieczoru do wytarcia warg. Wsunął kłaczek do kieszeni zakietu, po czym pootwierał szuflady i przebierał delikatnie palcami po szpilkach i wstążkach, pudełkach pełnych koralików, tanich pierścionków i muszelek. Nie znalazł tam nic kompromitującego - żadnych fallicznych w kształcie przedmiotów ze skóry, żadnych podejrzanie wyglądających pigulek. Ani śladu sekretne pamiętnika, miłosnych listów czy zakazanej lektury. Jedyne książką w pokoju - spoczywającą na mięciutkim gniazdku jej ubrań maleńkich rozmiarów - była jakaś powieść i kawaler właśnie zasiadł z nią w rękę, czekając na pojawienie się Charpillon, gdy dobiegł go nieokreślony dźwięk, jakby nucenie rozmarzonym głosem, dochodzące z - tak! właśnie stamtąd! - zza drzwi po przeciwnej stronie pokoju, które wziął za drzwi do wbudowanej w mur szafy bądź garderoby. Casanova odłożył książkę, podeszedł do drzwi, przyłożył do nich ucho i już miał zapukać, gdy jego dłoń jakoś sama opadła na mosiężną klamkę; niczym widmo wśliznął się do środka.

Z początku nic nie mógł dostrzec. Stał w ciepłej, wonnej chmurze, z której

wnętrza - z kremowych zaświetłów dobywał się plusk i kapanie wody. Łagodny, rozleniwiony głos rzekł nagle:

- Podaj mi ręcznik, ciociu kochana...

Podszedł na palcach. Najpierw ujrzał jej włosy, jedyną rzecz w tym świecie o wyrazistym kolorze - poza oczywiście błękitami, które miał na sobie. Charpillon zwrócona była do niego plecami, a jej głowa spoczywała na masie kasztanowych loków. Świece, przyklejone swym własnym woskiem do drewnianego obramowania balii, oświetlały boginię. Jej piersi falowały niczym lilie unoszone w rzucającej złociste odbłyski wodzie. Jedno mleczne kolano i udo wyłoniło się ponad powierzchnię, a pokrywająca je skóra parowała gorącem. Dziewczyna wygięła plecy, pogłaskała szyję i rozkosznie westchnęła.

- Ciociu, gdzie mój ręcznik?

Kusiło go, by podszyć się pod ciotkę i przedłużyć tę grę. Wyciągnąłby w jej stronę niewidzialny ręcznik, ona udawałaby, że ma w oczach pełno mydła... Ach! Amory w kąpeli zawsze go zachwycaly. Para wirująca wokół, pryskająca woda, zmysłowe gorąco, błyszczące, śliskie od wody i mydła członki. Bez wątplenia winę za to ponosiła Bettina Gozzi, ale cóż to były za cudowne wspomnienia, jakże apetyczne...

- Szpiegu!

Wyskoczyła w górę nie jak bogini, ale jak zwierzę spłoszone u wodopoju. Szybko, niezdarnie wygramoliła się z balii, przewracając i gasząc świece - z wyjątkiem jednej - ociekającą z ciała wodą.

- Marie?

- Czy to ma być ta pańska włoska rycerskość? To?

Odwróciła się doń plecami, wypluwając słowa przez ramię niczym twarde pestki czereśni.

- Nie jestem Włochem, Marie, lecz Wenecjaninem. dowiedz mi jednak, czemu ukrywasz nagle przede mną swe wdzięki, chociaż przed chwilą tak ochoczo je obnażałaś?

- Jesteś, panie, szalony! Szalony i zepsuty! Żądam, byś natychmiast stąd

wyszedł.

- Och, moja mała Charpillon, jakże udatną jesteś aktorką. Ta skromność, choć nieco spóźniona, przydaje ci uroku, jednak nie posuwaj się za daleko. Pozwól, że cię wytrę, zanim złapie cię chłód. Popatrz, już drzysz.

Cofała się przed nim cały czas, starając się, by rozdzielała ich balia.

- Jeszcze jeden krok, monsieur, a zacznę wrzeszczeć tak głośno, że cała ulica zleci się pod nasze drzwi. Ostrzegano mnie, żeś jest niebezpiecznym człowiekiem. Powinnam była w to uwierzyć.

- Ależ, moja droga, to ciotka, twoja ukochana ciotka wpuściła mnie tutaj.

- Kłamstwo! Wierutne kłamstwo!

Wyglądała na szczerze przerażoną, a zarazem rozgniewaną. Kawaler się zawahał. Uroda tej dziewczyny była niemal nie do zniesienia, mimo to jednak - choć jej piękność opętała jego zmysły - umysł podsunął mu na chwilę obraz jego samego, siedzącego na Pali Mali, czytającego czy też udającego, że czyta, ze stopami w samych pończochach, wyciągniętymi w stronę ciepłego ognia. Rozejrzał się wokół, jakby zamierzał wyjść, po czym nagle przykleknął na skraju balii.

- Czy tego właśnie chciałaś? Dobrze więc... Będę twym pokornym suplikantem. Podejdz, będę całował twe stopy. Będę twym niewolnikiem.

- Czemu mnie tak nienawidzisz, monsieur?

Zdołała już pochwycić ręcznik i teraz, zaciskając na nim obie dłonie, trzymała go przy szyi. Nie była to jednak zbyt duża zasłona.

- Nienawidzę? Marie, ja nie mogę jeść, nie mogę spać - wciąż myślę tylko o tobie. Jestem twoim niewolnikiem, twoim...

- To kolejne wierutne kłamstwo! - Tupnęła nogą jak dziecko. - Dżentelmen, jeśli szanuje kobietę, nie traktuje jej w podobny sposób. Nie podkrada się do niej chyłkiem, nie obraża jej czci i godności. Jeżeli przyszedłeś tu, by mnie zgwałcić - to proszę bardzo. Chciałabym tylko, byś zaraz potem mnie zabił.

- Zgwałcić? Za jakiego bierzesz mnie potwora? Czy wiesz, do kogo mówisz? Czy sądzisz, że ja biorę kobiety przemocą?

Letnia woda zaczęła przesiąkać przez jedwab spodni Casanova jał odnosić

wrażenie, że wygląda śmiesznie. A nawet groteskowo.

- Monsieur - odezwała się, szukając schronienia w ciemnościach zalegających kącie pomieszczenia - nie wiem, co o tym sądzić. Jestem zbyt przerażona, by myśleć.

Czy to pułapka? Czyżby te nędzne łotry - Rostaing i Cauman - czekały się na dole, czekając na najłżejszy sygnał, by wpaść tutaj ze strażą? Czy już nikomu nie można ufać? Jej oczy błyszczały dziwnie, ale czy to za sprawą łez, czy też wody z mydłem - nie umiał odgadnąć. Teraz nadszedł czas na jakieś zdecydowane działanie, ale gdy sięgnął w głąb siebie, znalazł jedynie rozdrażnienie.

- Jak sądzisz, czemu mnie tu wpuszczono? - spytał głosem dziwnie podniesionym. - Czy doprawdy chcesz mi wmówić, że nic nie wiedziałaś o mej dzisiejszej wizycie? Nie wiedziałaś, iż jestem w pokoju? Nie próbowałaś celowo rozpaść mnie swą nagością?

- Monsieur - odrzekła mu na to - spędziłeś zbyt wiele czasu wśród ludzi zdeprawowanych. To skaziło twe myśli.

Czemuż nie potrafił odczuwać wobec niej silniejszego gniewu? Czemu nie wpadł w morderczy szal? Gdyby tylko mógł nabrać całkowitej, kojącej pewności, że wszystko to jest rzeczywiście farsą, podstępным oszustwem, kpina, wówczas nie wahałby się posunąć wobec niej do użycia siły - Zakneblowałby ją rękami, a potem zamknął jej usta okrągłą sumką pieniędzy albo nawet uderzył kilka razy o podłogę jej głową. Każdy rozsądny człowiek usprawiedliwiłby jego postępowanie. Dlaczego więc wciąż klęczał? Oto, zdecydował, obracając na swym palcu pierścień z brylantem, kolejny owoc owych czarnych nasion, które tkwiły w nim od czasów Monachium.

Spomiędzy zaciśniętych zębów wysyczał, bardziej do siebie niż do dziewczyny:

- To niemożliwe.

- Precz, monsieur!

Nagle zapanował taki bezruch, jakby zębate koła czasu, rdzewiejące w wilgoci tego pomieszczenia, zatrzymały się, pozostawiając ich w zawieszeniu. Bezruch; chociaż niezupełnie, gdyż jednocześnie ogarnęło go dziwne uczucie, iż się roztopia, i jeżeli postoi tu jeszcze trochę dłużej, pozostanie zeń jedynie błyszcząca, tłustawa

plama błękitu na posadzce.

Stojąc w drzwiach - jeszcze nie całkiem na zewnątrz, ale już i nie wewnątrz pomieszczenia - spojrzał na nią oczami tak pełnymi wrogości, iż zdawały się miotać ognie przebijające przez obłok pary.

- Następnym razem, gdy się spotkamy... - zaczął. - Następnym razem...

Marie jednak wytrzymała ów gniewny wzrok; ognie w jego oczach zgasły, a groźby uwięzły mu w gardle niczym kłęb kasztanowych włosów. Gdyby został tam choćby minutę dłużej, musiałyby zwymiotować.

Ciotka Numer Jeden czekała nań u podnóża schodów.

- Herbaty, monsieur? Szklaneczkę wina? Nie? Jest pan całkowicie pewien? W takim razie proszę, oto balsam.

Wcisnęła mu w dłoń małą, zakorkowaną butelkę. Wpatrywał się w nią głupim wzrokiem przez moment, po czym wyjął z portfela banknot stu funtów. Ciotka całkiem bezczelnie czekała na swą zapłatę, na szylingi; znalazł je w kieszeni - garść srebrnych monet, z których kilka upadło i potoczyło się z brzękiem po wytartych, kamiennych płytach holu. Gdyby ta kobieta zażyczyła sobie teraz nagle jego butów, zdjąłby je i oddał natychmiast. Ruszył przed siebie. Materiał spodni przyklejał mu się do kolan w miejscu owalnych, mokrych plam. Tymczasem w salonie kobiety nadal pochłonięte były swoją pracą.

Przez całą noc - obawiając się, że wpadnie w miękką niczym futro otchłań snu, a wizje i majaki obstąpią go natychmiast jak zgłodniałe stado wilków - Casanova siedział przy stole w jadalni i popijając kawę, usiłował rozwikłać swe problemy zgodnie z regułami prawdopodobieństwa. Gdy nadszedł świt, odsłaniając jedne po drugich, niespiesznie - niczym wprawny licytator - kształty, przedmioty, tajemnicze faktury świata, kawaler, z poszarzałą twarzą, porzucił swe kalkulacje i podszedł do okna. Wiedział, że człowiek nie starzeje się łagodnie i równomiernie - tak samo w

każdej godzinie, każdego dnia - lecz gwałtownymi, niekontrolowanymi skokami. Miał świadomość, iż tej nocy przeżył taki paroksyzm i tym samym zbliżył się - został brutalnie popchnięty - do sfer, gdzie przebywali teraz wszyscy jego przodkowie, owa nieokrzesa hałastrą. Trochę później zaś, ledwo żywy ze zmęczenia, usiłował zbagatelizować swe lęki. Świat nie jest taki zły, przekonywał samego siebie, Jarbę, otaczające go ściany, ogień trzaskający w kominku. Trzeba myśleć perspektywicznie, patrzeć na wszystko z dystansem. Po cóż zaprzętać sobie głowę nieistotnymi problemami, jęczeć i narzekać, jakby cierpiało się na ból zębów? Po cóż zabawiać się myślami zatruwającymi duszę?

Ba!

Prawdę powiedziawszy, mnóstwo o wiele urodziwszych dziewcząt można było spotkać w parku co dnia. Miłych dziewcząt. Cnotliwych, a nie sprzedajnych. Tak więc teraz zacznie wszystko od nowa. Każdy przecież może to uczynić. W mieście takim jak Londyn nietrudno będzie uniknąć jej towarzystwa. Uświadomiwszy sobie tę prawdę, poczuł nagle absurdalne zadowolenie z samego siebie, zachwyty dla - godnej prawdziwego mężczyzny - siły własnej woli; gdy tylko dopełnił aktu wyrzeczenia się owej dziewczyny - dzień zaczął się układać pomyślnie. Co prawda w pewnym momencie, po południu, mniej więcej o tej porze, gdy Anglicy oddawali się swej bezdusznej ceremonii picia herbaty, uświadomił sobie nagle, że - wstrząsany dziwnymi dreszczami, odurzony jak po mocnym trunku - znajduje się na ulicy zupełnie sobie nieznanej.

Wkrótce jednak stan ów przeminął.

Następnego dnia zaś poczuł się lepiej. Minął tydzień, a potem dwa tygodnie. Świat wydawał się nagle podejrzanie normalny - kawaler przeżywał okres niezwykłego spokoju, niczym żołnierz w czasie chwilowego zawieszenia broni, szykujący się na spotkanie z tym, co nieuniknione.

- Nazywam się - oznajmiał, gdy tylko udało mu się przejrzeć w powierzchnię dość gładkiej, by odbiła jego oblicze - nazywam się Casanova!

Prezentacja owa nie miała już jednak tej magicznej siły co przedtem. To szczególne zaklęcie zdawało się tracić swą moc.

Płynęli w górę rzeki: słownikarz Johnson, Casanova, Jarba oraz Francis Barber, osiemnastoletni sługa Johnsona, syn niewolnika z plantacji na Jamajce, ofiarowany leksykografowi w prezencie przez pana Richarda Bathhursta w 1752 roku. Wieczór był przepiękny - chłodny, lecz nadzwyczaj przyjemny. Łódź dryfowała w srebrzystym korytarzu ostatnich blasków dziennego światła. Casanova i Johnson prowadzili wyszukaną konwersację, a gdy dopłynęli do doków Wapping, kawaler miał sposobność przyjrzeć się angielskiej flocie - imponującej swym ogromem. Zdołał nawet zapamiętać nazwy kilku okrętów, by uraczyć francuskiego ministra czymś więcej ponad garść osobistych wrażeń dotyczących sposobu życia i bycia Anglików.

Wysiedli w Vauxhall, zapłacili za wstęp do ogrodów, po czym rozsiedli się pod drzewami, których konary udekorowano papierowymi lampionami, rozsiewającymi na ścieżkach nierówne, geometryczne wzory kolorowego światła. W cienistych zakątkach mężczyźni i kobiety - często w maskach zakrywających twarze - gawędzili, płasali, gonili za sobą nawzajem niczym szczęśliwe duchy Elizjum. Powietrze wypełniała muzyka, podrywająca stopy niby podskórny prąd rzeki, więc przy chińskim pawilonie Casanova ruszył do tańca, zachęcany dobrodusznymi gestami człowieka-cienia, wykrzykującego, że on sam jest już teraz zbyt stary na takie harce, jednak w czasach młodości - przysięgam na Boga, monsieur! - w jedną noc potrafił zedrzeć dwie pary pantofli.

Menuet polonez, a potem kilka wiejskich tańców; mężczyźni podrzucali ciałami niczym aktorzy pantomimy odgrywający konie, kobiety zaś podrygiwały lekko jak opadające liście. Gdy skoczne dźwięki umilkły, muzycy złożyli ukłon ze swych miejsc, tancerze natomiast chwycili się pod boki i dysząc wpatrywali się we własne dłonie i stopy, jakby chcieli sprawdzić, czy wciąż jeszcze do nich należą. Casanova dostrzegł w pobliżu fontannę, tryskającą w górę przy pniu topoli. Pochylił się, nabrał

wody w dłonie i zaczął pić. Chwilę później zaś, gdy wycierał z ust kropelki wody, zobaczył ją - Charpillon - kroczącą pod rękę z Ange Goudarem. Teraz nie miał już najmniejszej możliwości uniknięcia spotkania z nimi, nie mógł wycofać się w jedną z bocznych alejek. Marie szła dokładnie na wprost niego, uśmiechając się słodko, opanowana, sprawiająca wrażenie dobrze ułożonej panienki. Wsunął rękę do kieszeni i poczuł chłód małego weneckiego nożyka do upuszczania krwi. Tego przedstawienia nie należało jednak traktować jak tragedii - było bowiem jedynie teatrem marionetek lub, co najwyżej, marną komedią.

- Kawalerze! Cóż za urocza niespodzianka!

- Mam'zel. Goudar.

- Mam wrażenie, monsieur, że wiek cały upłynął od naszego ostatniego spotkania.

- A mnie, mam'zel, zdało się, że od tego czasu minęła zaledwie godzina.

Nogi wrosły mu w zwirowaną ścieżkę. Szykował się do słownego starcia z Charpillon, do wzajemnego obrzucania się wyzwiskami, ta jednak nie zamierzała z nim walczyć. Przekomarzała się jedynie i to okazując mu tak ostentacyjną sympatię, że w żaden sposób nie mógł znaleźć powodu do obrazy. Nazwała go „niedźwiedziem”, pięknym niedźwiedziem, najpiękniejszym niedźwiedziem na świecie, po czym zaraz odwróciła się w stronę człowieka-cienia. Czy monsieur Niedźwiedź nie zechciałby przedstawić jej swemu przyjacielowi? 76 Casanova zakochany

Casanova nie śmiał spojrzeć jej w oczy, więc gdy mówił, zwracał się do czubka jej nosa, do brody lub do ucha, ale to samo już wystarczyło, by czuł miękkie łaskotanie w żołądku. A gdy wielki logofil trącił nosem dłoń Marie niczym wół wachający świeżo rozkwitłą białą różę, gdy nie mógł się oderwać od jej ręki, wpijając się w nią ustami z tak naiwną i idiotyczną lubieżnością, kawaler - ogarnięty furia i głęboko zażenowany - odwrócił się i wbił wzrok w podium dla muzyków.

- Umieram z głodu! - oznajmiła nagle Charpillon, powodowana owym niezwykłym darem młodości: apetytem, którego nie mogły ograniczyć żadne zewnętrzne okoliczności.

- My jednak już stąd odjeżdżamy - odparł Casanova.

- Ale przecież dopiero co przyjechaliśmy! - zaproponował Johnson, głosem na tyle donośnym, by wszyscy zgromadzeni w ogrodach zdołali go usłyszeć. - Nie chcesz chyba, panie, byśmy ponownie wypływali na rzekę, mając żołądki napełnione jedynie powietrzem?

Przeszli przez arkady - Goudar z upodobaniem uśmiechał się nieprzerwanie, jakby obserwował scenę z Goldoniego - i zajęli gabinet, w którym unosił się taki zapach, jakby ostatnio służył on do czegoś więcej niż tylko do delektowania się jadłem! Wyczuwało się tutaj woń rui, ciężki aromat cielesnego spełnienia, a na obrusie widać jeszcze było odcisk kobiecych pleców przypominający w swym kształcie wiolonczelę. Casanova, idący kilka kroków przed całym towarzystwem, szybko wygładził materię, jak gdyby przedstawiała obraz jego wzburzonego umysłu. Gdy dotknął tkaniny ruchem jakże przypominającym pieszczotę, zdało mu się, że część rozkoszy przeżytej tu niedawno przez parę obcych mu ludzi udziela się i jemu. Kiedy wszyscy zasiedli już wokół stołu, kawaler poczuł, że zaczyna zachodzić w nim zmiana: miał wrażenie, że w jego trzewikach stopy twardnieją mu w kopyta, z podbródka zaczyna wyrastać szorstka, kręcona broda, w oczach zaś gwałtownie zapalają się czarne węgle. Czemuż ludzie powiadają: „To tylko żądza”, gdy tymczasem jest to stan straszliwej gorączki, pragnienia tak nagłego, że umysł przestaje zwracać uwagę na wszelkie uwarunkowania, odrzucając jakiegokolwiek wcześniejsze postanowienia... Cospetto! Na filozofowanie, na piękne, wzniosłe myśli przyjdzie czas wtedy, gdy wypadną mu już wszystkie zęby, a oddech w piersi będzie przypominał świst wrzącej w imbryku wody. Musi zdobyć tę dziewczynę, musi ją mieć! Nieważne, ile miałoby go to kosztować, jak wiele pieniędzy, jak wiele upokorzeń i obrzydzenia do samego siebie. Wyciągnął rękę pod stołem. Charpillon wpatrzona była w bestiariusz cieni wyczarowywany przez Jarbę na ścianie gabinetu. Dłoń kawalera powędrowała w górę po jej nodze, odchylając warstwy materii: fartuszek, sukni, halki, żeby w końcu dotrzeć do

pończoszki,

podwiązki,

skóry, palącej niczym czoło dziecięcia trawionego gorączką, a zimnej niczym srebra spoczywające w szufladzie.

Zjawili się służący o przebiegłym spojrzeniu. Wnieśli butelki i szklanki, po czym, balansując talerzami i nożami, nakryli sprawnie do stołu z wyrazem wyższości na twarzach. Charpillon gwałtownie zacisnęła kolana na dłoni kawalera. Rozległ się trzask. Casanova zbladł i zagryzł wargi do krwi, a jego palce bezwładnie wysunęły się spod jej sukni. Gdybyż to była jego druga ręka - wówczas Charpillon nadziałaby się na brylant!

Wniesiono jedzenie: półmiski ostryg, cieniutkie niczym opłatek plasterki szynki, ciasta. Charpillon bez trudu unikała jego wzroku. Poprosiła Johnsona, by obejrzał uważnie niewielki siniak na jej ramieniu i ten mężczyzna, który zdawał się tak opanowany, osadzony w rzeczywistości, którego kawaler podziwiał za to, że sprawiał wrażenie człowieka niedającego się wtrącić w rynsztek życia przez byle lekki powiew - zachowywał się teraz jak ktoś zupełnie inny - jak jakiś Don Juan czy też Casanova!

- Kirke... - wykrztusił ze złością, niezdolny dłużej się powstrzymać, głośniejsz jednak, niż zamierzał.

- Czyś rzekł coś, monsieur? - spytał Goudar.

- Ani słowa. Proszę mi wybaczyć, nie czuję się najlepiej.

Wyszedł z gabinetu, uciekł od błazeńskich cieni. Teraz w parku znacznie się już ochłodziło. Casanova przyjrzał się uważnie swej dłoni i masując kłykcie, przechadzał się sztywnym krokiem przed arkadami, niezdolny, by tu pozostać, niezdolny też, by odejść. W końcu wyszła i ona. Nie musiał się odwracać, rozpoznawał bowiem jej kroki równie pewnie, jak barwę jej głosu.

- Czy monsieur źle się czuje?

On stał przez chwilę w milczeniu, wpatrując się w jądro ciemności skrywające ten tandetny park uciech, jakby miał za moment ujrzeć siebie samego wyłaniającego się z gęstwy krzewów: mężczyznę o wyrafinowanej pozie, doskonale opanowanego, wykazującego najwyższe umiejętności w obchodzeniu się z krnąbrnymi panienkami. Ktoś kiedyś - czyż nie Bragadin? - powiedział mu, przed wielu laty, że każda myśl

zawiera w sobie ziarno sprzeczności, a każda ludzka namiętność jest czystym paradoksem. Własne uczucia do Charpillon wydawały się tak rozdarte, tak w oczywisty sposób sprzeczne, że zakrawały niemal na szaleństwo. Czegóż bowiem tak naprawdę od niej chciał? Tego, oczywiście, ale czego poza tym? Aby pomogła mu zapomnieć czy też by pomogła mu zachować pamięć? Wyobraził sobie nagle, że istnieje jakiś świat równoległy, w którym on po prostu od niej odchodzi, z wolna, triumfująco oddala się w stronę rzeki. Wiedział jednak, że w tym świecie, na dobre czy złe, zostanie przy niej. Zwrócił się więc w jej stronę, podszedł bliżej i zaczął błagać najczystsza francuszczyzną, by poszła z nim gdzieś w jakiś najciemniejszy zakątek tego ogrodu i okazała mu litość. Zaklinał ją na wszystko:

- Uczyń mnie szczęśliwym, Marie. Zmiłuj się. Bądź...

- Uczynię cię szczęśliwym, monsieur. Możesz być tego pewien.

Przez chwilę nie docierał doń sens jej słów. Drzewa zdawały się teraz wsłuchiwać w ich rozmowę, nachylały ku nim swe pnie i konary.

- Mogę...?

- Oczywiście. Ale nie tutaj. Nie w ten sposób. Nie jesteśmy złoczyńcami, monsieur. Nie musimy się ukrywać przed innymi.

- Powiedz - wyszeptał, z trudem wyduszając słowa przez zaciśnięte gardło. - Gdzie? Kiedy?

- Uczynię cię szczęśliwym, gdy ty uszczęśliwisz mnie, panie. Czyż nie tak powinno to wyglądać? Musisz mnie odwiedzać. I musisz być miły.

- Przysięgnij. Przysięgnij, Marie, że nie igrasz ze mną.

- Nie igram.

- Na pewno?

- Na pewno.

- A więc na znak naszej zgody... - wyciągnął ku niej ramiona, z zamkniętymi oczami, w gwałtownym, młodzieńczym porywie, na jaki nie pozwalał sobie od czasów Nanetty i Marty Savorgnan, kiedy to podobny gest wydawał się zapewne czarujący. Ale jego ramiona zagarnęły jedynie powietrze, a usta natknęły się tylko na nikłą woń perfum znaczącą jej nieobecność.

W drodze do domu Johnson perorował na temat ostatniego przekładu Tassa, opatrzonego przezeń przedmową i sprezentowanego królowej. Casanova z trudem powstrzymywał się, by nie wepchnąć go do rzeki, jakby jego głos był płomieniem, który mogła ugasić jedynie woda. Pożegnali się jednak jak przyjaciele, serdecznie ściskając sobie dłonie, zadowoleni z otaczającej ich ciemności.

- Odwiedź mnie, panie! - zawołał człowiek-cień, gdy niosąca go łódź odbijała od Westminster Stairs.

Kawaler uśmiechnął się zmęczonym uśmiechem, pomachał dłonią, po czym, przecinając park w towarzystwie Jarby, skierował się spiesznie w stronę domu. Doprawdy, coś takiego w końcu może się stać dla mężczyzny religią.

15

Kawaler Goudar przybył, by się z panem zobaczyć, monsieur.

Casanova otworzył oczy i zamrugał gwałtownie z powodu ostrego światła. A więc najwyraźniej spotkało go to znowu: niewyproszony cud kolejnego ranka.

- Czy powiedział, czego chce?

- Jedynie tyle, że nie zabawi długo.

- Ha!

Casanova umył się, upudrował twarz i jak zwykle studiował przez pewien czas swe odbicie w lustrze. To przecież oczywiste, tłumaczył sobie, starannie, pod odpowiednim kątem nasuwając fez na głowę, że z biegiem lat człowiek powinien oswajać się coraz bardziej z widokiem własnej fizjonomii. A tymczasem odnosił wrażenie, że w jego przypadku zachodzi proces odwrotny, że twarz wyzierająca ze zwierciadła podczas tych porannych, jednoosobowych audiencji - twarz świętego, deprawatora dzieci - stawała się z dnia na dzień bardziej mu obca i dziwnie tajemnicza.

Na dole Goudar dał miechami w ogień, wprawiając płomienie liżące węgle w radosny taniec. Przywitali się; usta gościa wykrzywił przy tym ironiczny uśmieszek,

Casanova zaś uniósł brew. Jarba wniósł widelec do tostów i chleb.

- To największy wkład Anglii w rozwój sztuki kulinarnej świata - skomentował Goudar, nadziewając na szpikulec kromkę pieczywa posmarowanego masłem.

Usiedli i zjedli tosty. Goudar zaczął opowiadać o życiu w mieście, racząc kawalera plotkami tak świeżymi i tak zabawnymi, że Casanova w końcu musiał okazać swe zainteresowanie. Nic, jak się zdawało, w tej wielkiej metropolii nie mogło się uchować przed okiem i uchem Goudara, jego inteligencją i przebiegłością węża. W końcu w sposób oczywisty - gdyż nie ulegało wątpliwości, że do tego właśnie przybyły zmierzał od samego początku wizyty - rozmowa zeszła na temat Charpillon.

- Czy kochasz ją, panie? - spytał gość.

- Kocham? - Kawaler strzelił delikatnie palcami w goście odrzucającym podobną niedorzeczność. - Jak można kochać kobietę podobnego pokroju?

Goudar - który dzisiejszego ranka wydał się Casanovie niższy, drobniejszy i jeszcze bardziej niepokojąco nienaganny w wyglądzie niż zazwyczaj - strzepnął okruszek ze stołu. Casanova śledził wzrokiem trajektorię lotu tej drobiny, czekając, aż opadła na dywan, po czym dodał, jakby jego poczynania nieznacznie zaprzeczały jego słowom:

- Jeżeli nawet kiedyś cokolwiek do niej czułem, poszedłem po rozum do głowy. Zapewniam cię, panie.

- A więc, monsieur, nie jesteś już nią zainteresowany?

- Pogardzam nią.

- Czyli wszystko w porządku.

- Tak.

- Nie masz więc, panie, zamiaru jej odwiedzić, chociaż o ile mi wiadomo, w Vauxhall zapraszała cię do złożenia wizyty?

- Mam wrażenie, że odwiedziłem ją już co najmniej o raz za dużo.

- I gdyby teraz stanęła pod twymi drzwiami, odesłałbyś ją?

- Oczywiście.

- Jeżeli więc powiedziałbym ci, że jest teraz tu, przed domem, stęskniona twego

towarzystwa...

- Przed domem? - Casanova wychylił się w kierunku okna, po czym zagryzł wargę, uświadomiwszy sobie własny błąd.

- Obawiam się, drogi przyjacielu - ozwał się tamten, dotykając lekko jego uda - że wciąż jeszcze trawi cię gorączka. Jeśli więc pozwolisz, będę ci medykiem.

- Gdybyś ty miał być moim konsyliarzem, Goudar, za pewne nie pożyłbym długo.

- Jesteś niesprawiedliwy, monsieur. Ja jednak i tak zamierzam ci pomóc, w pewnym sensie bowiem jesteśmy do siebie podobni. Nie patrz, panie, z takim przerażeniem. Wiem, co o mnie sądzisz. Nie dbasz o mnie, ponieważ wywodzimy się z tej samej rasy, a ty nie masz ochoty patrzeć na kopię własnej osoby. Ale, monsieur, świat jest wystarczająco duży i dostatecznie zaludniony frywolnymi kobietami oraz bogatymi głupcami, aby starczyło dla nas obu. I kto wie, może pewnego dnia będziesz potrzebował mojej pomocy...

- Jeśli potrzebowałbym twej pomocy, Goudar, oznaczałoby to, że doprawdy przyszły na mnie wyjątkowo straszne terminy.

- Nikt z nas, drogi Seingalt, nie jest w stanie przewidzieć, jak w przyszłości potoczą się sprawy. Żaden człowiek nie jest tak potężny, by nie można go obalić. Dziś, panie, masz wszystko, czego pożądasz - niemal wszystko - ale czy tak samo będzie za rok? A za pięć czy za dwadzieścia pięć lat? Czy przyszedliśmy na świat z tymi jedwabiami na grzbiecie? Nie, monsieur, zdobyliśmy to wszystko własnym sprytem. Odnieśliśmy sukces, bo nie obawialiśmy się ryzyka i wiedzieliśmy, jak dać innym to, czego pragną najbardziej. Wybacz mi, panie, ale ja dobrze wiem, że za ten uroczy dom i piękne szaty zapłaciłeś pieniędzmi wyłudzonymi od pewnej naiwnej wdowy, którą omamiłeś obietnicą nieśmiertelności. Jak tego dokonałeś? Czyż ponoć nie zapłodniłeś jej w tak cudowny sposób, że wydała na świat swą reinkarnowaną postać? Któż inny, prócz ciebie, mistrzu, mógł skonstruować plan tak przemyślny! Jakże uszczęśliwiona musiała się czuć owa dama, jakże lekko przyszło jej się zegnać ze swą fortuną!

- Wciąż ma wystarczające fundusze, by kupić pięciu Goudarów - odparł

Casanova, zmieszany nieco, że gość zdołał rozszyfrować jego sposoby działania.

- Cóż - ciągnął tamten - nie będziemy teraz roztrząsać przypadku madame D'Urfe. Wspomniałem o tym jedynie dlatego, by pokazać ci, panie, że mówimy i robimy tylko to, co musimy. Nie obawiamy się skalania rąk. Rozumiemy reguły każdej gry, każdego rozdania i znamy się na pieniądzach lepiej od wszystkich bankierów. Mamy styl. Pogardzamy jedynie nudą i tchórzostwem...

- A czy lubimy za to siebie samych?

- Oczywiście.

- A jeśli nie?

Goudar podniósł srebrną łyżkę i zaczął polerować ją poduszczką kciuka.

- Jeśli nie lubimy siebie, monsieur, wówczas jesteśmy zgubieni, albowiem człowiek, który nie lubi sam siebie, pełen jest wątpliwości i wahań. My zaś żyjemy i utrzymujemy się na powierzchni tylko dzięki temu, że wydajemy się wiarygodni. Gdy tancerka na linie zawaha się - spada. Gdy szermierza ogarną wątpliwości - umiera. Powinniśmy się więc wystrzegać i lękać zwątpienia o wiele bardziej niż skrytobójczego sztyletu.

Casanova opadł na oparcie swego fotela; jakżeż wspaniałe meble potrafią robić ci Anglicy!

- Może to i racja, Goudar - rzekł po chwili. - A jeśli chodzi o to, czy jesteśmy tacy sami... Wystarczy rzec, że ja grywam o wiele wyższe stawki i bywam w lepszym towarzystwie.

- Chociaż teraz siedzisz tu ze mną i całkiem nieźle się bawisz, o ile się nie mylę.

- Czasem trzeba dzielić posiłek z diabłem, Goudar. Powiedzże mi jednak, jaki jest prawdziwy cel twojej dzisiejszej wizyty?

- Już ci go wyjawilem, monsieur. Przybyłem, by być twym medykiem, uleczyć cię z tej krnąbrnej pannicy.

- Najwyraźniej pozostajesz z nią w świetnej komitywie. Powiedziałem ci jednak, że zamierzam trzymać się od niej z daleka.

- Ja mam plan lepszy. Nasyć się nią wpierw, panie. Gdy zaspokoisz swe pragnienia, będziesz znów wolnym człowiekiem.

- Samo dotarcie do stołu nie oznacza jeszcze, że człek zdoła się pożywić.

Gdybyż to było takie proste...

- Ależ to najprostsze pod słońcem. Nie znasz jej, panie, tak dobrze jak ja. Czy wiesz o tym, że była metresą Morosiniego, ambasadora Portugalii? Ja sam zaaranżowałem ten związek.

- Byłeś rajfurem?

- Jedyne posłańcem.

- A od czasów Morosiniego?

- Z jej usług korzystało kilku dżentelmenów, żaden jednak nie uczynił jej swą oficjalną metresą.

- To w pełni zrozumiałe.

- Niemniej faktem jest, monsieur, że ty jesteś bogaty, a ona - biedna. I cóż ma do zaoferowania? Nic ponad swą urodę. A cóż ma do zaoferowania jej matka? Nic ponad swą córkę. Charpillon jest jedynym kapitałem tej rodziny, wciąż całkiem pokaznym, chociaż z każdym rokiem jego wartość będzie maleć. Doświadczone kobiety, które potrafią konserwować swą urodę, mogą, co prawda, żądać niezłej sumki jeszcze przez kilka ładnych lat, gdy przeminie ich pierwsza młodość, nadchodzi bowiem taki moment, że mężczyzna chętnie zabawi się rozmową z kobietą, za której towarzystwo zapłacił, a dojrzałe są lepszymi rozmówczyniami. Jednak to młodość jest owym kwiatem, który każdy z nas pragnie posiadać w swym ogrodzie - młodość i piękno perfekcyjnie się dopełniające. Kwiat to precudny, jednak żywot jego jest krótki. Madame Augspurgher wie o tym świetnie i dlatego musi roztropnie wybrać najlepszy moment. Nie może sprzedać córki zbyt tanio, nie może jednak także zażądać ceny zbyt wygórowanej, bo dziewczyna nie będzie się już liczyć na rynku. Dlatego musimy postępować z nimi podług reguł ściśle handlowych. Upoważnij mnie, panie, bym przedstawił im twą ofertę, a przysłużę ci się, jak przysłużyłem się Morosiniemu. Wówczas cała sprawa zajęła mi jedynie trzy dni...

- Czy Morosini hojnie cię wynagrodził? Na jakąż zgodziłeś się prowizję?

- Taką oto...

Goudar wyjął z wewnętrznej kieszeni swego płaszcza jakiś dokument i pokazał

go Casanovie.

- Spójrz, monsieur. Podpisane przez matkę dziewczyny oświadczenie, że będę miał prawo do spędzenia z nią nocy tuż po wyjeździe Jego Ekscelencji.

- Naturalnie cię okpiły?

- Oczywiście. Dziewczyna wciąż jest nieletnia, więc nie mogłem oddać sprawy do sądu.

- A mimo to chcesz nadal prowadzić z nimi interesy?

- Powinienem był zażądać mej zapłaty przed oddaniem Marie ambasadorowi.

- A więc to, czego nie zdobyłeś przy Morosinim, chcesz uzyskać za nią sprawą?

Dziękuję ci, obawiam się jednak, że nie miałbym już na tę dziewczynę ochoty, gdy by przeszła przez twoje ręce.

- W tym wypadku gotów jestem zrzec się prowizji.

- Jakoś nie potrafię w to uwierzyć.

- Choć może wydawać się to dziwne, chciałbym, monsieur, wyświadczyć ci przysługę.

- To wysoce podejrzane!

- Możesz mi, panie, nie wierzyć, jak jednak byłbym ci w stanie zagrozić?

- Dobrze więc. Jaką cenę powinienem zaoferować?

- Sto gwinei załatwi sprawę, jak sądzę.

- Mogła dostać te pieniądze, gdy przyszła tu po raz pierwszy.

- To ambitne kobiety. Poza tym zawsze lepiej układać się ze starszymi niewiastami. Z nimi można rozmawiać bez mała jak z mężczyznami.

- Przedstawisz im więc moją ofertę?

- Natychmiast, gdy mi pozwolisz, panie.

- Idź więc.

Zapadło milczenie.

- Tak?

- Jest jeszcze jedna sprawa - mówiąc to, Goudar podniósł się z miejsca, podszedł do okna i skinął ręką do kogoś na zewnątrz. - Pewne zabezpieczenie na wypadek, gdyby panna nadal była krnąbrna...

Chwilę później otworzyły się drzwi salonu. Wszedł Jarba, a za nim Cauman i Rostaing, niosący między sobą coś w rodzaju fotela. Ustawili go na środku, po czym wyszczerzyli do siebie zęby w uśmiechu - niczym dwie cmentarne hieny.

- To - ozwał się Goudar - wykonano dla pewnego dżentelmena, który w ogóle nie zamierzał płacić.

Casanova, przeszedłszy po dywanie, by zbadać rzecz z bliska, odezwał się, gładząc niedbale skórzane poręcze:

- Podejrzewam, że to coś wyjątkowo makabrycznego.

- Z pewnością jej nie zrani - oświadczył Goudar. - Wystarczy jednak, byś posadził ją, panie, na tym krześle, a już ci się nie wywinie. Popatrz.

Usiadł i natychmiast jego dłonie i stopy zostały przytwierdzone do mebla metalowymi obręczami, które wyskoczyły z drewna tak błyskawicznie, że nie sposób było się wymknąć z potrzasku. Obejmy na stopach rozwarły mu nogi i w tym samym momencie wyskoczyła z siedzenia ostatnia sprężyna, wypychając miednicę siedzącego w przód - wyglądało to, jakby za chwilę Goudar miał odbyć poród.

- Miałem rację - oznajmił Casanova, gdy Rostaing uwolnił jego gościa z fotela. - Muszę jednak przyznać, że to genialne.

- Wykonano go na wzór urządzenia znajdującego się w domu madame Gourdan przy rue des Deux Portes - wyjaśnił Goudar. - Jeżeli chciałbyś, by ten fotel stał się twą własnością, panie, musisz zdecydować się natychmiast, gdyż na sąsiedniej ulicy mieszka człowiek, który...

- Naturalnie - odparł Casanova. - Sądzę też, że wiem, jakiej żądasz ceny.

Cauman roześmiał się gromko, napinając przy tym mięśnie szyi, na której, w jasnym świetle, wyraźnie się zaznaczyła bielejąca siateczka szram po licznych cięciach.

Zaopatrzył się w gotówkę, sprzedając kilka czarnych pereł, pospekulował na Międzynarodowej Giełdzie Kwiatowej, po czym udał się na drugą stronę miasta, na Inner Temple Lane, gdzie - choć już dawno minęło południe - zastał Johnsona jeszcze w łóżku. Francis Barber poprowadził gościa przez salonik i jadalnię do pokoju służącego najwyraźniej rozmaitym celom i wykorzystywanego przy najróżniejszych okazjach, gdzie mężczyzna i kobieta, oboje w średnim wieku, siedzieli przy stole na krzesłach o prostych, surowych oparciach. Robili wrażenie mechanicznych lalek, których sprężyny nie zostały odpowiednio nakręcone. Mężczyzna, odziany w długi żakiet barwy brudnoszarej, z którego przetarte nitki sterczały gęsto niczym futro podstarzałego szczura, przedstawił się jako doktor Levett. Mówił po francusku równie płynnie, jak Casanova, który natychmiast jął się dopytywać, gdzie też dobry doktor nauczył się tak biegle władać tym językiem.

- Monsieur - odparł Levett - w mej młodości pracowałem jako posługacz w Hotel Dieu w Paryżu. Tam też zaznajomiłem się z kilkoma doskonałymi medykami, praktykującymi w owej wielkiej instytucji. Byli tak wspaniałomyślni, że wtajemniczyli mnie w arкана sztuki, którą teraz pokornie uprawiam pośród biedoty tego miasta. Dama, którą tu, panie, widzisz, to panna Williams. Ojciec jej, pan Zachariasz Williams z Walii opracował sposoby umożliwiające żeglarzom odczytywanie długości geograficznej na morzu.

- Madame - rzekł Casanova, zamiatając powietrze swym kapeluszem - jestem zaszczycony, iż mogę poznać córkę tak znamienitego filozofa.

Kobieta odwróciła się w stronę, skąd dochodził głos przybyłego oraz lekki wietrzyk wywołany ruchem nakrycia głowy kawalera. Jej niebieskie oczy przesłaniała mgła ślepoty. Zdawało się, że nadśluchuje jakichś dźwięków mających nadejść z wielkiej odległości - na przykład odgłosu zamykania drzwi na Fetter Lane.

Casanova usiadł, Jarba zaś podszedł do okna. Chmury, potężne niczym katedry, o typowej dla Anglii szarości, dryfowały ku rzece. Doktor Levett, który - jak się okazało - sypiał w ubraniu - i to od lat w tym samym, zdrapywał cierpliwie paznokciem kciuka jakąś uporczywą plamę ze spodni. Najwyraźniej ani on, ani panna Williams nie potrafili zdobyć się na żadną formę konwersacji ponad tę, jaką już

zaprezentowali, i teraz oboje pograżyli się we własnych myślach, jak gdyby byli jedynymi żywymi istotami w tym pokoju.

Kawaler natomiast zastanawiał się, czy kiedykolwiek poczuje się swobodnie wśród Anglików, którzy - pomimo swych pieniędzy i wspaniałych okrętów wojennych - byli rasą niechlujną i melancholijną, zdegenerowaną przez deszcz, swą ponurą religię i, być może, brak zupy w jadłospisie. Przebieglejsi niż Francuzi, mniej przyjemni, lecz bardziej interesujący od Holendrów, bardziej zdradzieccy niż Hiszpanie, bardziej uparci od Niemców, bardziej rozpolitykowani niż Włosi... Cóż myśleć o takich ludziach?

Z górnego piętra dobiegł ich nagle skrzyp i tupot. Minutę później zjawił się Johnson, wielki niczym łódź progowa, z niewielką peruczką koloru łajna na głowie. Doktor Levett natychmiast obudził się do życia i zakręcił pracowicie wokół swego patrona. Nappełnił szybko dzbanek wodą z imbryka, który już od pewnego czasu parował na żelaznym łańcuszku nad trójnogiem. Johnson powitał swego gościa, po czym usiadł ciężko, ssąc usta, gdy tymczasem Levett podał dzbanek pannie Williams, ta zaś zajęła się rozlewaniem herbaty - głównie zresztą na stół - po czym wkładała palce do filiżanek, by sprawdzić, czy są napęlnione. W końcu napój dotarł do pana domu, oleisty napar chłodny już teraz na tyle, by można go połknąć jednym haustem, co też Johnson uczynił, chwytając porcelanę w usta. Po chwili zaś otrząsnął się i oddał naczynie pannie Williams, która ponownie podjęła się mozolnego trudu jego napęlnienia.

Casanova i Jarba przynieśli królewskie ciasteczka, makaroniki w kolorowych bibułkach oraz hiszpańskie pomarańcze. Doktor Levett spojrział na owe specjały z nieklamany zainteresowaniem. Jarba rozdzielił ciasteczka. Czy jeszcze herbaty? Tak, kolejna porcja okazała się konieczna, aby splukać gardło po słodyczach - na zegarach w mieście w krótkich odstępach czasu wybijała godzina pierwsza - stan wielkiego logofila znacznie się poprawił i przyplływ myśli, uspionych przez pół nocy i pół dnia, znów zalał jego umysł. Oparł się kostkami dłoni o stół i zdmuchnął z blatu papiery.

- A więc, sir - rozpoczął, oddzielając biały miękisz od pomarańczowej skórki,

którą następnie kroił w maleńkie kwadraciki instrumentem bardzo przypominającym nożyk spoczywający w kieszeni Casanovy - uwielbiam uniwersytet w Salamance...

Potem zmienił temat:

- Onegdaj nachodził mnie pewien człowiek, który zajmował się składaniem wierszy...

Jeszcze później zaś oświadczył:

- Sir, usuwanie z książki jakichś fragmentów tylko dlatego, że ludzie twierdzą, iż będą one brzmieć niewiarygodnie, świadczy o małości ducha...

Uspokojony emfatycznym tonem leksykografa, sączącym się niczym balsam, Casanova zaczął nabierać nadziei, że świat w swej istocie jest trwały i solidny, i że nie trzeba się obawiać, iż on sam pewnego dnia po prostu zniknie, rozplynie się niczym poranna mgła czy nierzetelna propozycja. Owo wrażenie, iż świat drga i migocze - wrażenie, które nachodziło go od czasów Monachium, wypływało jedynie ze zmęczenia - głębokiego oczywiście - będącego jednak naturalną konsekwencją wdychania tygodniami powietrza zatrutego własną udręką, wynikiem choroby wżerającej się w jego krew i doktorów traktujących jego ciało tak, jakby było kawałkiem nadgniętego mięsa. Im człowiek stawał się starszy, tym - naturalnie - potrzebował więcej czasu, by wydobrzeć. A na dodatek teraz, gdy powinien był wypoczywać i dochodzić do siebie w jakimś zacisznym zakątku na wsi, z dala od pokus miasta, wplątał się w jedną z tych historii, od których nie można się uwolnić, chociaż w głębi serca wiadomo, że tak właśnie należałoby postąpić.

Spojrzał w dół na swe dłonie, odwrócił je wewnętrzną stroną do góry i wbił wzrok w przecinające się linie. Przybył tutaj, na tę niewielką wyspę, by się wyleczyć, zbawić, potwierdzić własną tożsamość. Co jednak próbował ocalić? Jakiś cenny element siebie, który otrzymał od przodków w spadku, jakiś romans czy też marzenie? Czy powinien tak kurczowo trzymać się własnego nazwiska i określonego stylu? W końcu będzie musiał obmyślić sposób, który pozwoli mu się wyplątać z tego bałaganu, zniszczyć chaos potęgą intelektu. Był przecież człowiekiem wieku Oświecenia, a nie jakimś ciemnym sycylijskim wieśniakiem, kulącym się ze strachu w świecie rządzonym omenami. Zwarł ręce i zamknął je niczym księgę, po czym

niepostrzeżenie, z uczuciem wstydu, skrzyżował palce i puknął w drewno stołu - na szczęście, na wszelki wypadek.

Zbierał się już do wyjścia - odpowiedział ukłonem na ukłon doktora Levetta, ujął dłoń panny Williams oferowaną mu w nieskładnym geście niewidomej - gdy wielki miłośnik słowa, zgarnawszy starannie pokrojone kwadraciki skórki pomarańczowej do kieszeni, zagadnął go nieoczekiwanie:

- Czy widziałeś się ponownie z tą dziewczyną, kawalerze? Mógłbyś ją tu czasami przyprowadzić na herbatę. Jednak nie za często. Pewien jestem bowiem, że obecna tu panna Williams nie pochwalałaby tego.

W jego oczach Casanova znów dostrzegł ów wyraz, który widział już w Vauxhall, chociaż teraz było w nim więcej ostrożności wymuszonej statecznością południowej pory.

- Czy ona wprawia cię w podziw, panie? - W głosie Casanovy pobrzmiwała nuta irytacji, rozczarowania, protekcjonalizmu...

- Tak jest, monsieur - odparł Johnson, moszcząc się na krześle. - Nie pozostaję obojętny na piękność kobiecą, choć ty, panie, możesz mniemać, że to niewłaściwe. Moja żona nie żyje już od lat jedenastu, jej doczesne szczątki pochłonęła ziemia, jej dusza zaś zapewne doświadcza Majestatu. We mnie jednak, jak we wszystkich mężczyznach, drzemie tyleż samo anioła, co i bestii. I właśnie bestia we mnie podziwiała tamtą dziewczynę w Vauxhall. Ośmielam się też zauważyć, że bestia drzemiąca w tobie, panie, nie znosi myśli o rywalu. Nie obawiaj się jednak, nie zamierzam bowiem podkraść ci owej panny, choć dysponuję w tym względzie szczególnym kunsztem.

Gdy wyszli na ulicę, Casanova wybuchnął szyderczym, iście weneckim śmiechem, ciągnącym się równie długo, jak Fleet Street.

- Powiedz mi, Jarba, cóż on takiego miał na myśli? O jakimż to mówił „kunszcie”? Magicznym pyłem, którym rzuca kobietom w oczy, by nie umykały na jego widok? Cóż to za dziwaczny, pomyłony jegomość. Powinien zdecydowanie trzymać się swych ksiąg i etymologii, a ars amatoria pozostawić tym, którzy się na niej wyznają. Czy on doprawdy mówił poważnie? Czy rzeczywiście wy obraził sobie,

że mógłby mi wykraść Charpillon?

- To - odparł Jarba - byłoby zadaniem nadzwyczaj trudnym, jako że, do tej pory, ty nie zdobyłeś jej, panie.

- Mylisz się, przyjacielu. Albowiem w tej chwili właśnie przemawiają jej do rozumu me pieniądze.

Ruszyli wzdłuż Ludgate Street, okrążyli katedrę Świętego Pawła, zatrzymali się na kawę w Child's, po czym skierowali do Blackfriars, żeby przyjrzeć się pracom nad nowym mostem; w drodze do celu Casanova trzymał nie przerywając uperfumowaną chusteczkę przy nosie, aby uchronić się od odoru rynsztoków Fleet Street.

Podobnie jak most Labely'ego w Westminster, tę konstrukcję również wznoszono od środka rzeki w kierunku brzegów, tak że świeżo ukończone stustopowe eliptyczne wygięcie łuku centralnego wynurzało się z wody jak zagubiony mamut, z szarym grzbietem rojącym się od ludzkich pcheł. Jarba wydobyl z kieszeni swą wysłużoną lunetę, rozciągnął ją na całą długość, następnie podał swemu panu, który - po drobnym zawahaniu potrzebnym na zastanowienie się, czy aby przypadkiem nie została skażona przez złe fatum ciężące na kapitanie - przytknął do oka jej mosiężne usta. Ujrzał rozmaite barwy, twarze ociekające potem, bloki kamienia z Purbeck, liny, żurawie, pale dębowe, kafary oraz dziwne maszyny wszelkiego autoramentu. W samym środku ciżby uwijających się robotników Casanova dostrzegł Mylne'a, młodego architekta, usadowionego za stołem z planami rozpostartymi niczym obrus, a także kompasem, cyrklem, piórami i liniałami rozłożonymi na kształt dziwacznych sztuców.

- Spójrz - rzekł kawaler, wręczając lunetę Jarbie - architekt pożywia się powietrzem. Gdy już całkiem je pożre, most zostanie ukończony.

Jakżeż proste, pomyślał, gdy już się oddalali z tego miejsca, musi być życie owych robotników! Praca. Sen. Powaga i godność prostego rzemiosła. Ciekawe, czy ci ludzie są świadomi własnego szczęścia?

leszcze nie upłynęła godzina od ich powrotu do domu - kawaler rozsiadł się w swym ulubionym fotelu i kroił jabłko na cząstki - gdy drzwi do salonu otwały się z aroganckim impetem. Pani Feaver została bez pardonu odepchnięta na bok i do wnętrza pokoju wtargnęła Charpillon niczym miniaturowa Amazonka. Wbiła w Casanovę spojrzenie miotające zielonkawe ognie, po czym zawołała:

- Czy to prawda, monsieur, że kazałeś kawalerowi Goudar oznajmić mej matce, iż zapłacisz jej sto gwinei za możliwość spędzenia ze mną nocy?

Tym razem nie przyszła sama, ale w towarzystwie - i jak to bywa w przypadku pięknych kobiet - przyjaciółki dość ładnej, jednak wyraźnie o klasę czy nawet dwie mniej nadobnej.

- Witaj, Marie - odrzekł Casanova nieco wytrącony z równowagi. - Być może panna...

- Lorenzi - odparła tamta, uśmiechając się głupawo.

- Lorenzi. Jakże mi miło, moja droga. Zdaje mi się, że poznałem niegdyś twoją matkę. Być może więc panna Lorenzi zechciałaby poczekać w innym pokoju, gdzie pani Feaver poda jej najwyborniejsze jadło i napoje. A tymczasem ja i ty, moja przepiękna złośnico, będziemy mogli porozmawiać jak stare dobre małżeństwo.

- Małżeństwo! - wykrzyknęła Charpillon, zwracając się w stronę przyjaciółki. - Gdybym została do tego zmuszona, wołałabym już poślubić swego fryzjera.

Casanova kiwnął na Jarbę. Miss Lorenzi, aczkolwiek z wyraźną niechęcią, dała się wyprowadzić z pokoju.

- No dobrze, Marie, porozmawiajmy jak dwoje ludzi cywilizowanych. Czy nie zechciałabyś usiąść?

Jej sylwetka, wyraźnie zaznaczająca się na tle dnia, zdawała się pulsować - pojawiała się i znikła w promieniach popołudniowego światła. Dziewczyna zawahała się, po czym przysiadła na brzeżku krzesła ustawionego przy stole do kart.

- Pozwól, że powiem ci, moja najśłodsza, jak upojną niespodzianką jest dla mnie...

- Czy wydaje ci się, monsieur, że spokojnie będę znosić te zniewagi?

- Znów mówimy o zniewagach? No, no, nie ekscytuj my się tak bardzo. Kawaler Goudar jest twym przyjacielem. Załatwił już dla ciebie podobne sprawy, czyż nie?

- Hm! - parsknęła, kwitując temat Goudara, jakby był muchą, która dostała się do ust z haustem wina.

To był prawdziwie mistrzowski popis. Kawaler nie pamiętał, by kiedykolwiek widział kogoś okazującego równie gwałtowną furję. Jednak tym razem nie dał się zastraszyć. Jeżeli jej gniew był szczery, wówczas, jak uznał, zdoła przemienić go w namiętność, do której tak dążył. Zapytał więc:

- Czy zaoferowana cena była zbyt niska? W każdej chwili gotów jestem ją powiększyć o - powiedzmy - dwadzieścia pięć gwinei.

- Wolałabym głodować.

- A więc sto pięćdziesiąt, jednak tę ofertę musisz uznać już, droga Marie, za ostateczną.

- Sądzisz, panie, że możesz targować się ze mną?

- Połowa pieniędzy z góry, połowa po fakcie. Czyż to nie uczciwy układ?

Rozejrzała się wokół za czymś, czym mogłaby weń cisnąć. Natknęła się jedynie na talię kart i rzuciła nimi w stronę Casanovy z taką siłą, że rozsypały się przed nim, tworząc migotliwą chmurę, jak przerażone gołębie, podrywające się w powietrze na placu San Maggiore na dźwięk salwy oznajmiającej południe. Z jej oczu popłynęły łzy. Podeszła do okna, zaciskając dłonie w pięści. Casanova zebrał karty z kolan i innym już teraz głosem, łagodniejszym, powiedział:

- Marie, jeżeli poczułaś się urażona, muszę cię prosić o wybaczenie. Ja chciałem jedynie przenieść całą sprawę na płaszczyznę interesu.

- Czy tak, monsieur, pojmujesz miłość? Czy właśnie w ten sposób zdobyłeś swą reputację? Wielki Casanova, którego urok kryje się w sakiewce!

- A co z twoją reputacją, Marie? A propos, jak się miewa ambasador Morosini? Nie wygląda mi on na mężczyznę, który długo wzdycha u stóp dziewczyny.

- Morosini - odparła, starannie dobierając słowa - był prawdziwym dżentelmenem.

- Sprzedała mu cię jednak twoja matka.

- Był człowiekiem honoru.

- Byłaś jego zabawką.

- Monsieur, być zabawką w rękach takiego mężczyzny - to prawdziwe szczęście dla dziewczyny.

- Na czymże to polegał jego sekret?

- Ty, panie, który myślisz jedynie o pieniądzach, nie potrafisz tego pojąć.

- Czyś dostatecznie bogata, by tak lekko pogardzać moimi pieniędzmi?

- Nie jestem na sprzedaż, monsieur. Ani dla pana, ani dla nikogo innego.

- Wszyscy jesteśmy na sprzedaż, Marie. Nawet cesarzowe i królowie są gotowi sprzedać się temu, kto zaoferuje odpowiednią cenę.

- A kto może kupić pana? I ile dokładnie musiałby wydać pieniędzy?

- Jestem starszy od ciebie, a więc moja wartość jest odpowiednio wyższa.

- Jeśli, jak twierdzisz, cena wzrasta wraz z wiekiem, zakładam, że gotów byłbyś zapłacić dwieście gwinei za możliwość posiedzenia na sofie obok mojej matki. A w przypadku mej babki - pewnie co najmniej tysiąc?

- Nie bądź śmieszna.

Po kiego diabła, zastanawiał się, patrząc na jej drżące ramiona, robi wokół tego taki raban? Interes znaczy tyle samo co miłość. Żaden mężczyzna nie sięgał po kobietę - przynajmniej w obecnie panującym osiemnastym wieku - nie dzierżąc jednocześnie w dłoni choćby najdrobniejszego, najsubtelniejszego materialnego wynagrodzenia. Któż zresztą powinien wiedzieć o tym lepiej niż Charpillon, dorastająca w takiej rodzinie? Jednakże nie chciał uchodzić za mężczyznę, który bezdusznie płaci za kobiecego afekt. Onegdaj wiele kobiet opłacało jego! Zostawiały mu sakiewki pod poduszką i stroiły go w szaty, na które sam nigdy nie mógłby sobie pozwolić. Chwaliły się nim jak cennym trofeum i wtedy, zaiste, był zdobyczą cenną - młodym mężczyzną z nieograniczonym, nieskomplikowanym apetytem na życie. A gdy chodzi o Morosiniego - wszystkim wiadomo, że wygląda jak ropucha.

Niemożliwe więc, by mógł zafascynować jakąś kobietę bardziej niż Casanova.

Podniósł się, podszedł do Marie i stanął za plecami dziewczyny, bardzo blisko - jednak jej nie dotykając. Nie widział też jej dłoni. I nagle zastanowił się, czy gdyby

Charpillon odwróciła się, dzierżąc szpilkę do kapelusza bądź parę nożyczek, które zatopiłaby mu w piersi, miałyby tak naprawdę coś przeciwko temu? Te sceny, które odgrywał tysiące razy, stojąc w tysiącach okien z tysiącami dziewcząt... Jakże chciałby niekiedy wzniesć w górę skrzyżowane palce, jak to czynią dzieci w swych zabawach, i oznajmić: Pax!

Oparł dłonie na jej ramionach. Nie drgnęła. Czuł pod palcami ciepło jej odzienia i przez kilka sekund trwali tak w tej swobodnej pozie niemal anonimowi, starszy mężczyzna i młoda kobieta. Ktoś, kto zajrzałby do środka, mógłby pomyśleć, że są parą przyjaciół, może nawet rodziną - wujem i siostrzenicą, którzy przyglądają się bez szczególnego powodu ruchowi ulicznemu.

W końcu Charpillon odwróciła się ku niemu z głębokim westchnieniem. Jej oczy wróciły do swego naturalnego koloru - głębokiego błękitu górskiego stawu.

- Monsieur, gdybyś tylko wiedział. Gdybyś wiedział...

- Co, moja gołąbko?

Zapłonila się i przeniosła wzrok z jego twarzy na szyję.

- ...jak bardzo cię uwielbiam. Od pierwszego zerknięcia na ciebie w Paryżu, gdy byłam jeszcze dziewczynką, nie dość piękną jednak, by zwrócić twoją uwagę.

- Ależ, Marie, już wtedy dostrzegłem twą niepospolitą urodę.

- Nie uwierzysz, panie, ale jesteś pierwszym mężczyzną, który ma okazję oglądać me łzy.

Nie uwierzył jej, oczywiście, niemniej i tak był zachwycony.

- Moja mała wiolinko, czemuś nie chciała dać mi dowodu swych uczuć?

Niemalże udało ci się mnie przekonać, że pogardzasz moją osobą.

- Ponieważ miałam nadzieję...

- Tak?

Teraz mówiła już bardzo cicho.

- Bo miałam nadzieję, że będziesz mnie, panie, adorować w należyty sposób.

- Należyty?

~ Tak, monsieur. Nie chcę twoich pieniędzy.

- Marie, to Goudar, to on...

~ Goudar nie ma pojęcia o miłości, monsieur.

- To fakt. Jest tylko nędznym robakiem.

- Przyjaźni się z mą matką. A ja właściwie nie rozmawiam z nim wcale.

- Oczywiście.

- Gdybyś odwiedzał mnie, panie, codziennie, choćby tylko przez dwa tygodnie, zabierał do opery, do ogrodów czy na przejażdżki za miasto, na przykład do Richmond, oddałabym ci się za darmo, z własnej woli. Z miłości.

- Czy ty mnie kochasz, Marie?

- Wciąż wątpisz we mnie, monsieur?

- Nie, moja najdroższa, tylko obwiniam się za to, że byłem takim głupcem. Ja...

Nie wierzył oczywiście w to, co mówił, nie wierzył, że w ogóle wypowiada podobne słowa, jednak ta chwila była zbyt cenna, by ją marnować na pokrętne dociekania prawdy. W ogóle nie ufał ani jednemu jej słowu, ale w tym momencie nie wyznałby tego za nic - nawet gdyby potraktowano go gorącymi szczypcami.

Charpillon patrzyła teraz na niego, słodka i omdlewająca niczym Madonna Perugina.

Wyszeptała:

- Odwiedzisz mnie więc, panie? Będziesz mnie adorował?

- Niczym Hippomenes Atalantę.

- I nie wspomnisz już o pieniądzach?

- Pieniądzach, moja najdroższa?

Spod drzwi zaczął wpływać do pokoju aromat świeżej kawy. Kucharz parzył ją sekretną metodą wynalezioną przez kawalera, w specjalny sposób przygotowując ziarna świeżo wyładowane ze statków Kompanii Wschodnio-indyjskiej. Casanova nagle zapragnął zakończyć sprawę jak najszybciej i znów mieć salon tylko dla siebie, usiąść w swym ulubionym fotelu, popijać drobnymi łyżkami czarne złoto i marzyć o...

- Czy zostaniesz, by się posilić?

- Nie, monsieur jestem na to zbyt podekscytowana.

- Oczywiście. A więc...

- Tak?

- Do...

Nie mieli sobie nic więcej do powiedzenia. Patrzył przez okno, jak oddalała się z panną Lorenzi pod rękę. Przeszły obok gospody Pod Malowanym Balkonem. Mężczyzna w czerwonym płaszczu, być może wojskowy, zdjął przed nimi kapelusz i zagał rozmowę. Dziewczęta minęły go, chichocząc. Gdy Casanova się odwrócił, Jarba właśnie kończył zbierać karty z podłogi.

18

Dni wyglądały teraz następująco: co rano Casanova i Jarba udawali się na Strand lub Ludgate Hill, by zakupić prezenty - obaj uzbrojeni, aby w razie potrzeby bronić się przed gangami zdesperowanych chłopców, małych uliczników, którzy przy każdej nadarzającej się okazji chętnie ogołociliby bogatego człowieka z jego klamerek i sprzączek - zabraliby też z ochotą i jego życie, jeżeli tylko nie groziłoby im to utratą własnego. Potem wracali na Pali Mali, gdzie wykładali prezenty na obiadowy stół. Kawaler biegł na górę zmienić płaszcz, a pani Feaver w tym czasie wbijała gęsie jajo do kryształowego kielicha, wpadał także Cosimo, balwierz, na koniec zaś Jarba gwizdnięciem przywoływał lektykę. Tuż po drugiej po południu Casanova ponownie wynurzał się z czeluści domu, pachnący i odświeżony, wsiadał do obskurnego pudła z zawilgoconej skóry - w którym zawsze śmierdziało tak, jakby ostatni pasażer czekał bez ustanku przez całą drogę od Piekła Herring Street aż do parku - i płynął ponad londyńskim brukiem na Denmark Street, gdzie panie Augspurgher, co dzień odgrywające tę samą drobną farsę - udające niezwykle zdziwienie, że znowu zechciał się zjawić - uwalniały go od podarków, sadowiły przy niewielkim ogniu i raczyły wyważonymi pochlebstwami.

Popołudnia przeznaczali na wyprawy. Byli w Greenwich obejrzyć nowy szpital; w Old Bailey, by przyjrzeć się procesowi kobiety oskarżonej o kradzież w sklepie (i skazanej na śmierć, jako że wartość towaru przekroczyła sumę pięciu szylingów); w teatrze w Covent Garden na „Artakserksesie” - tym razem w towarzystwie

słownikarza Johnsona i jego zapalczego przyjaciela, młodego Szkota o twarzy przypominającej bulwę tulipana, który usiłował w czasie pantomimy przekazać Charpillon liścik. Pojechali obejrzeć ring walki kogutów za Szarą Gospodą, gdzie podziwiali lorda Pembroke i jego zbrojne w ostrogi ptaki; poszli też do katedry Świętego Pawła, by wysłuchać modnego kaznodziei, oraz za pięć szylingów wynajęli przewodnika, który szeptem wymienił im nazwiska i fortuny spoczywającej tu socjety. Pojechali do Richmond, do pałacu St James, więzienia Newgate...

Przez dwa tygodnie rozbijali się po mieście, szastali pieniędzmi, zabawiali się szaleńczo, jak gdyby już nazajutrz miała nadejść zaraza. Nawet babka Augspurgher - pomimo że została ugodzona ogryzkiem jabłka rzuconym z taniej galerii w Covent Garden - ochoczo uczestniczyła w owych eskapadach, jakby wypożyczona na jeszcze jedną chwilę świata doczesnych uciech. Przy tych też okazjach rozbielała sobie twarz pudrem i nalegała, by zakładać swe drewniane zęby, które - kiedy jadła - klekotały w galopującym rytmie niczym kastaniety. Jednak pomimo oferowanych brosz, zastaw śniadaniowych, sztuk tkanin barwionych hiszpańskim indygo jedyne, co Casanova otrzymywał w zamian za swą brawurową samczą rozrzutność, był szeroki repertuar uśmiechów Charpillon i - od czasu do czasu - jej dłoń podsunięta do ucałowania na oczach całej rodziny.

Tak się przedstawiał stan owej bałamutnej gry, gdy kawaler, wychodząc pewnego wieczoru z domu przy Denmark Street stwierdził, że gdyby miał spędzić kolejny dzień na bieganiu po teatrach i sklepach, których właściciele pałali nienawiścią do cudzoziemców, mógłby wpaść w szal i zrobić użytek ze swego weneckiego sztyleciku. Spytał madame Augspurgher, w obecności jej córki, kiedy to nastąpi: „Kiedy, madame, mogę oczekiwać tej nocy rozkoszy?”. Po długich wahaniach, chwilach udawanego zakłopotania i chichotów został zaproszony na kolację następnego wieczoru, po której - jeżeli wyrazi takie życzenie - będzie mógł zostać gościem pań Augspurgher na noc.

Nazajutrz po południu, w owym oznaczonym dniu, kawaler ocknął się z drzemki w salonie przy Pali Mali. Nie wiedział, co go zbudziło - może był to powiew wiatru, który rzucił zwiędłymi liśćmi o okno - lecz gdy otworzył oczy, duży zegar w holu

wybijał godzinę piątą. Dobiegł go też przytłumiony dźwięk kurantu z pobliskiej kawiarni. Casanova wstał, potarł dłonią twarz, po czym podszedł do okna. Wieczór, zwiastowany smugami dymu i nocnymi obłokami, nadciągał szybko ze wschodu, natomiast na zachodzie resztki promieni słońca przebijały się ukośnie pomiędzy domami, padały na park, znaczyły zakurzonymi, złocistymi pręgami ulicę. Jarby nie było w pobliżu - w całym domu panowała taka cisza, jakby uleciało z niego wszelkie życie - Casanova zapalił więc lampy własnoręcznie, po czym zabrał jedną z nich na górę do sypialni. Wszystkie jego myśli skupiały się teraz na tym, w jaki sposób osiągnąć największą rozkosz z Charpillon, jak sprawić, by ich ciała zadźwięczały równym rytmem w ekstazie, która - w miarę upływu lat - stawała się dlań coraz bardziej nieuchwytna. Z szuflady stojącej przy łóżku komody Casanova wyjął sfatygowane w podróży wydanie „Póz” Aretina z ilustracjami Giulio Romano i rozlicznymi przypisami na marginesach wykonanymi jego własną ręką. Po czym, usadowiwszy się przy oknie z książką w jednej, z lampą w drugiej dłoni, przebiegał w myślach swe od lat najbardziej ulubione pozycje: „Oblężenie Troi”, „Małpa na grzbiecie lwa”, „Kopalnie króla Salomona”, „Brylant w studni”. Na rozpoczęcie wybrał „Tańczące łabędzie”, po których - by zadośćuczynić swemu zamiłowaniu do sztuk pięknych - postanowił zaproponować Marie „Mury Jerycha” bądź „Dwóch mężczyzn weszło do domu - wyszedł tylko jeden” lub może jeszcze na dodatek - dziewczyna bowiem była młoda i zdrowa - równie interesująca: „Odyseusz przechytrzający Cyklopa”.

Wepchnął książkę z powrotem do komody, po czym zajął się poszukiwaniem „londyńskich płaszczyków”, pochewek z najwyższej jakości jagnięcych jelit, wysuszonych i dokładnie natłuszczonych - resztek z zapasu, który swego czasu nabył w Marsylii po trzy franki za sztukę. Nie ulegało wątpliwości, że stępały one doznania mężczyzny w najgorętszym momencie aktu wydzielają denerwujący zapach pieczonej baraniny, ale po La Renaud - czy była to infekcja piąta czy szósta? - poprzysiął sobie, że będzie rozważniejszy. Jeszcze jeden taki atak jak ów ostatni, a pożegna się już z tym światem. Nie życzył sobie także kolejnej malej Sophie, pomimo że szczerze lubił to dziecko. Myśląc o niej, poczuł nagle nieokreślony wstyd,

jakby stała w kącie pokoju i obserwowała go uważnie wielkimi oczami, wciąż jeszcze pełnymi oczywistej niewinności, jednak już powoli oswajając się ze światem, z ledwie maskowanym zepsuciem dorosłych; co pomyślałaby o nim, o swym papie, gdyby zobaczyła go teraz - przypominającego wystrojoną kukłę - jak nerwowo przetrząsa szuflady w poszukiwaniu... Ach, są tutaj. Wsunął dwie niewielkie przesiąknięte tłuszczem koperty do kieszonki kamizelki, zdmuchnął lampę i wyszedł z sypialni. Jeszcze za wcześnie na wizytę u pań Augspurger - będzie musiał pospacerować godzinę po parku. Nie - przecież nie można oczekiwać od dziecka, by zrozumiało coś podobnego.

Gdy przybył na Denmark Street, zastał tam już większość zaproszonych gości: wśród nich Rostainga i Caumana oraz Ange Goudara, który - jak zwykle - wydawał się rozbawiony jakimś sobie tylko znanym, skomplikowanym dowcipem. Charpillon - w prostej sukni, tonującej nieco jej urodę, bez naklejonych muszek, owych maleńkich oznak zalotności, jedynie z nikłym śladem różu na policzkach - powitała Casanovę w holu. Zaraz też rozległ się gong wzywający wszystkich do stołu. Kucharka w domu pań Augspurger była skąpa i całkowicie pozbawiona talentu, jednak tego wieczoru kawaler jadł z takim apetytem, jakby gościł bez mała w zamku markiza de Carraccioli. Zachwyciła go Charpillon objadająca się z tak wielkim entuzjazmem. Nigdy wcześniej nie widział, by jakakolwiek dziewczyna pochłaniała kawałki ryby równie żywiołowo. Natomiast starsze kobiety trajkotały jak turkawki bądź przebiegłe perliczki, skrzeczały jak kruki i wciąż napelniały kielich Casanovy winem chrzczone wodą. Goudar najprawdopodobniej zajmował się pod stołem jedną z ciotek, bo ta nie posiadała się z radości. Podano deser - coś szarego o konsystencji podeszwy. Mała służąca nie przycinała knotów świec; stała przy serwantce z oczami szeroko otwartymi, jednak najwyraźniej uśpiona.

O północy podnieśli się pierwsi goście i zaczęli wychodzić. Matka Charpillon, udając, że ponownie napelnia filiżankę Casanovy kawą, zaczęła szeptać mu do ucha. Pytała, czy nie zechciałby być tak miły i dla zachowania pozorów opuścić ich progi wraz z innymi, a potem wrócić - gdy w domu zapanuje już spokój. Kawaler skinął

głową. Prośba świadczyła, że kobieta nie wyzbyła się jeszcze wszelkich skrupułów. Poza tym o wiele bardziej uroczo będzie wśliznąć się ukradkiem do Charpillon. Podobnym przygodom powinny zawsze towarzyszyć gierki, fortele i teatralne sytuacje.

Udał więc, że się żegna, po czym przeszedł wraz z Jarbą nie dalej niż do St-Giles-in-the-Fields. Obszedł kościół dwukrotnie, a następnie wrócił na róg Denmark Street, by tkwić tam przez czas jakiś w ciemnościach. Chmury się teraz rozproszyły i księżyc - mały jak palec - błyszczał wysoko nad miastem.

- Czy chcesz, panie, bym czekał na ciebie w domu dziewczyny? - spytał Jarba.

Casanova potrząsnął przecząco głową, pochylił się i ucałował sługę prosto w usta.

- Zostaw drzwi niezaryglowane, Jarba. Nie czekaj na mnie. Życz mi dużo radości.

Wszystkie wciąż jeszcze siedziały w jadalni pogrążonej w świetle koloru spalonego masła. Służąca uprzątała ze stołu, a na jej twarzy malował się wyraz wystudiowanej tępoty, jakby w tym świecie za wszelką cenę należało unikać okazywania inteligencji. Casanova, któremu krew krążyła teraz żwawo w żyłach, mrugnął do dziewczyny, ta jednak zignorowała go całkowicie i zgasła jedną ze świec, ściskając powoli knot w palcach, po czym odwróciła się w stronę matki Charpillon.

- Gdzie to będzie, madame?

Pani Augspurgher nieznacznie wskazała na ścianę oddzielającą jadalnię od niewielkiego salonu. Charpillon stała po przeciwnej stronie pokoju i marszcząc brwi, wpatrywała się pilnie w swoje paznokcie.

- Monsieur - zwróciła się do Casanovy pani Augspuriher, robiąc dziwne gesty dłonią w powietrzu i cofając się o krok. - Kawaler Goudar wspominał coś o pewnej sumie... więc abyśmy mogli już o tym jak najszybciej zapomnieć... to taka nieprzyjemna rzecz... Jeżeliby pan był łaskaw... przed udaniem się na spoczynek?

Charpillon szybko stanęła między nimi. Zgromiła wzrokiem matkę, po czym chwyciła Casanovę za koronki jego mankietu w taki sposób, jakby były one

niezwykle delikatne bądź nie całkiem czyste - i powiodła go nieoświetlonym korytarzem do wspomnianego saloniku, gdzie na gzymsie kominka paliła się jedna jedyna w tym pokoju lampa. Meble odsunięto tu pod ściany, a łożo zaaranżowano na podłodze. Czemu znaleźli się tutaj, a nie w jej pokoju, miał już zapytać, gdy nagle owo pytanie ucichło na jego ustach. W obecnym nastroju zadowoliliby się nawet posadzką w pomywalni, jak to zresztą zdarzyło mu się czynić już nieraz w życiu.

W kominku nie płonął ogień, w pokoju panował chłód. Wyciągnął do niej ramiona. Uśmiechnęła się i wskazała na łożo. Ściągnął więc z siebie ubranie - wszystko z wyjątkiem koszuli, która miała chronić go od zimna. Wszedł na posłanie. Prześcieradła nie zostały przewietrzone, były wilgotne i gąbczaste. Casanova rozciągnął się wygodnie, wymamrotał coś o ołtarzu rozkoszy, po czym podparł się na łokciu, by popatrzeć, jak Charpillon rozwiązuje sekretne tasiemki, odpina niewidoczne haftki i ukryte guziczki swej sukni. Powoli każda sztuka jej ubioru opadała na dywan, aż w końcu ona sama stanęła naga. Jej ciało połyskiwało niczym mascar-pone, niczym świeżo ubity przecier z jabłek. Casanova mógł jednak tylko przez kilka sekund napawać się tym widokiem, przesywającym jego ciało ostrym dreszczem, chwilę później bowiem naciągnęła grubą nocną koszulę, która - sądząc po tym, jak dokładnie pochłonęła jej ciało, zakrywając od szyi po czubki palców u stóp - mogła należeć do jej babki. Charpillon wyjęła ją z szuflady komody stojącej między oknami takim gestem, jak gdyby była to rzecz najzwyklejsza w świecie, iż tego typu strój trzyma się w podobnym miejscu.

Otworzyła maleńkie drzwiczki lampki i zdmuchnęła stojącą wewnątrz świecę. Kawaler zaczął protestować. Czyżby jego oczy miały zostać pozbawione podobnej uczty?

- Nie mogę spać przy świetle, monsieur.

Spać?

Pokój zaległy ciemności. Po chwili Casanova poczuł, że Charpillon wślizguje się na posłanie. Przez krótką chwilę wsłuchiwał się w jej rytmiczny oddech, czekając, aż dotrze doń ciepło jej ciała. Potem przysunął się bliżej, wyciągnął ramiona. Dotknął szorstkiej wełny ogrzanej pulsującą pod nią krwią i giętkiego, zaokrąglonego

ramienia. Jakżeż była cicha! Jakże nieruchoma! Niczym dziecko przycupnięte gdzieś w ukryciu podczas zabawy w chowanego.

Wyszeptał jej imię. Nie mógł się zorientować, w jakiej leży pozycji. Przysunął się jeszcze bliżej i poczuł jej kolana podciągnięte do góry. Okryte szorstką koszulą, były niczym włochate tarcze. Ramiona trzymała skrzyżowane na piersiach, a głowę opuściła nisko, dotykając brodą tułowia. Uśmiechnął się, myśląc z lubością, że to ciągle drażnienie się z nim jest zachwycające, doprawdy zachwycające.

Dotykając jej przez grubą tkaninę koszuli nocnej, zanurkował pod prześcieradła i zaczął szukać ustami kawałka odkrytego ciała, by pokryć je pocałunkami. W zapamiętaniu i z powodu ciemności głębokich niczym heban pocałował przez pomyłkę swe własne ramię. Gładkie, ostre w smaku ciało dostarczyło mu solipsystycznej przyjemności, wszakże jedyną nieosłoniętą częścią ciała Charpillon, którą zdołał odnaleźć, była dłoń - równie czuła na jego dotyk co śnięta ryba. Delikatnie próbował unieść tę dłoń. Potem zaś mniej delikatnie.

- No już dobrze - rzekł, starając się przy tym, by najłżejszy ton irytacji nie zabrzmiał w jego głosie. - Niedopuszczanie do stołu rzeczywiście zaostrza apetyt i żaden mężczyzna nie byłby w stanie docenić tego bardziej ode mnie, jednak przychodzi taki czas...

Zamilkł. Gdyby nie świadectwo własnego dotyku i nikły aromat jaśminu, byłby pewien, że znalazł się w tym Pokoju sam jeden. Spróbował przewrócić Marie na plecy - Nie dał rady. Próbował rozewrzeć jej ramiona, ciągnąc za nie tuż powyżej łokci, jednak obejmowała się tak mocno, jakby od tego zależało jej życie. Na chwilę opadł na plecy i wpatrywał się w ponure ciemności. Zaczęło go ogarniać straszliwe przeczucie. A co, jeśli...? Ależ to przecież niemożliwe. Nawet Charpillon, ba, nawet jej matka nie posunęłyby się do takiego szalbierstwa. Po prostu zapewne czeka, żeby on wypowiedział jakieś czule słowa, słowa słodkie niczym miód, którymi otworzyłby jej ramiona. A może chciała, by wziął ją siłą? Niektóre lubiły ostrą zabawę. Amazonki i Spartanki. Cieleśne złączenie tygrysów.

Usiadł, zdjął koszulę i na poważnie zabrał się do dzieła. Trudno jednak było wyrazić, jak wielką wykazywała się siłą. Jeśli tylko zdołał oderwać jedno jej ramię

od ciała, a zostawił je, by unieść drugie, natychmiast przyciskała je z powrotem do piersi, tak że przez następne kilka minut pochłaniała go ta syzyfowa praca, zmaganie z jej ciałem tak energiczne, iż zaczął zalewać się potem. Podniósł ją, rzucił na posłanie, przeciągnął na brzeg łoża. Gdybyż tylko mógł wreszcie odnaleźć rąbek nocnej koszuli Marie, byłby ją w stanie rozdziać, nagą zaś potrafiłby rozpaść swym miłosnym artyzmem, tak że dłużej nie chciałaby mu się już opierać.

Wreszcie dotarł do jej stóp (jednak w tej grze nic nie było proste). Zawinęła je w koszulę bardzo dokładnie, a jej brzegi wcisnęła wysoko pomiędzy łydki. Zaczął ciągnąć, potem zaś, doprowadzony do wściekłości, chwycił w zęby kawałek wełnianej materii i szarpał, warcząc przy tym jak brytan. Niemal wyrwał sobie szczękę, lecz w końcu materiał nagle trzasnął. Casanova z dużym przyspieszeniem poleciał do tyłu, spadł z posłania, wciąż trzymając w ustach kawałek porwanej wełny. Wypluł go, wskoczył na łożo, potrząsnął ciałem Marie, uderzył ją raz czy dwa razy. Nawet nie drgnęła. Zaczął krzyczeć, pochylił się nad nią nisko i przywarł twarzą do jedwabistych, naelektryzowanych włosów. Wymyślał jej po francusku, po włosku, a nawet w najczystszej dialekcie weneckim. W desperacji zaczął nawet wyrzucać z siebie słowa ze słownika Johnsona, które - na chybił trafił - odgrzebał w swej pamięci.

Wszystko na nic.

Wypełził z łoża, zaczął czołgać się nagi po podłodze i niechcący wyrznął głową w krzesło. W tej ciemności nietrudno było o napad hysterii. Nagle wydało mu się, że tkwi w tym pokoju od wielu dni. Pomyślał: Muszę zachować spokój. Muszę zrozumieć, co się dzieje. Opracować jakiś plan... Chwilę później wśliznął się z powrotem między prześcieradła. Pożyczył jej dobrej nocy, ziewnął i odwrócił się plecami. Niechaj trawi ją żądza! Niech padnie ofiarą własnej próżności! Przez kilka minut udawał, że śpi, a tymczasem cisza - niczym czarny śnieg - ciężko na niego napierała.

Czy miała oczy otwarte? Czy go obserwowała? A może czekała z niecierpliwością, by odwrócił twarz w jej stronę? Ukradkiem przetoczył się na drugi bok, wstrzymując oddech i wpatrując się w niewyraźny zarys Charpillon,

przypominający łagodnie wygięty brzeg nieznanej wyspy. Nie wyczuł na sobie spojrzenia, ramiona Marie nie rozwarły się, by go przyjąć. Jakkolwiek wydawało się to niemożliwe, dziewczyna najwyraźniej leżała w identycznej pozycji jak wtedy, gdy pochylił się nad nią po raz pierwszy: głowa opuszczona, kolana podciągnięte, ramiona skrzyżowane na piersi niczym rygle. Wbrew samemu sobie poczuł nagle dla niej podziw. Taka wytrwałość, taka perwersja - to było zdumiewające.

Chwycił lekko zębami jej ciało w delikatnym miejscu tuż poniżej biodra. Po raz pierwszy, od kiedy wszedł do łóża, Marie wydała z siebie jakiś dźwięk, pisk bólu czy może raczej strachu. Zachęcony, uklęknął nad nią, poszczypując i chwytając jej ciało zębami, traktując ją tak, jakby była instrumentem w rodzaju skomplikowanej harfy. Obawiał się, że naprawdę może stracić nagle kontrolę nad sobą, jednak to uczucie - wywołany cielesnym podnieceniem zawrót głowy - było zbyt silne, by je opanować. Pod palcami poczuł delikatne drżenie. Czy to drżała ona czy on, czy też oboje? Teraz nawet już nie próbował odgadywać jej myśli, stała się dlań równie obca i odległa jak Bitynia. Była idealnie skrywanym sekretem. Pokonała go. Czemu jednak nie chciał tego przyznać?

Otoczył dłońmi jej szyję. Kciuki wsunęły się pod podbródek. Poczuł nagle w stosunku do Charpillon taką czułość, jaką bogowie olimpijscy musieli odczuwać wobec śmiertelników - miał jej życie w dłoniach i mógł je zgnieść jednym ruchem, jak delikatne ptaszę. I poprzez te dłonie zaciskające się na jej gardle, poprzez pulsującą w nich krew i napięte mięśnie Casanova zaczął w końcu odbierać jakieś sygnały jej istnienia, zbierać pewną o niej wiedzę, odczuwać samotność jej piękności, codzienną udrękę posiadania władzy i braku siły, by się uwolnić. Ach, gdy tak wiła się pod nim, chwytając kurczowo jego nadgarstki, wbijając mu paznokcie w skórę, szarpiąc czarne, błyszczące włosy porastające jego przedramiona, odnajdywał ją, odnajdywał...

Giacomo!

Wyskoczył tyłem z posłania, zatoczył się i zderzył ze stolikiem, posyłając w powietrze jakiś lekki i kruchy przedmiot, który rozbił się z trzaskiem o podłogę tuż za nim. Słyszał jej krztuszenie się, odgłos z trudem wciąganego powietrza, rżenie. Jak

wiele brakowało? Minutę? Pół minuty? Zapewne jeszcze mniej. Casanova - zabójca kobiet!

Na czworakach, po omacku zaczął szukać w ciemności swej garderoby. Musiał stąd wyjść, ubrać się, uciec - jakże jednak wielki nagle zdał mu się ten pokój! Czyżby skradziono mu szaty? Teraz już wszystko było możliwe. Chciał wykrzyknąć: „Czy jest tu kto?”, bał się jednak, że usłyszy odpowiedź. Nagle jego palce natrafiły na materię spodni. Pochwycił je kurczowo, przeturlał się na plecy i gorączkowo zaczął wpychać w nogawki stopy. Włożył obie w jedną, miotał się przez chwilę, potem wszakże poruszał się już coraz słabiej, aż położył się i zamarł w bezruchu. Znalazł się nagle w oku cyklonu i teraz miał nie więcej niż pół minuty, zanim znów dopadnie go szaleństwo własnego nieszczęścia. Pół minuty trzeźwości myśli, owego nadprzyrodzonego spokoju, który pozwala człowiekowi na ocalenie bądź zadanie sobie śmierci z niezwykłym opanowaniem, robiącym tak wstrząsające wrażenie na postronnych.

Leżąc, skrzyżował ramiona na piersi niczym umarły faraon. Z serca miasta dobiegł go nagle dźwięk dzwonu wybijającego niską nutą pełną godzinę.

- Zmień się lub giń! - wyszeptał chrapliwie. - Zmień się lub giń...

Część druga

1

Bardzo wczesnie rano grupa ponad stu ludzi zebrała się Blackfriar's Steps, by się zatrudnić do pracy na ten dzień. Casanova, nadszedłszy od strony Water Lane, przyglądał się im uważnie, mrużąc oczy w szarym półmroku poranka, aż w końcu wypatrzył dwóch osobników, dobrze zbudowanych, którzy stali z tyłu grupy, spożywając na śniadanie surową cebulę. Krzyknął w ich stronę. Mężczyźni spojrzeli po sobie, potem zaś zwrócili wzrok na niego, a każdy w niedowierzającym geście wskazał palcem na siebie. Kawaler pokiwał głową, po czym się uśmiechnął. Mężczyźni podeszli, ostrożnie i nieufnie, gdyż bogaci zazwyczaj nie zaczepiali biednych, chyba że chcieli ich z czegoś ograbić.

Piętnaście minut później, wciąż dzierżąc w dłoniach cebule, niedawni robotnicy portowi oddalali się w stronę katedry, zatrzymując się przed każdą szybą, by przejrzeć się w jej powierzchni - w wyniku bowiem dzisiejszej niezwyklej transakcji przeistoczyli się w dwa dziwaczne motyle. W chwilę później Casanova i Jarba - odziani w krótkie, wytłuszczone kurty i kapelusze, które najwyraźniej zazwyczaj służyły ich poprzednim właścicielom za miejsce przechowywania lunchu lub czegoś

jeszcze gorszego - dołączyli do przesuwającej się powoli kolejki ludzi. Poprzedniego dnia kawaler eksperymentował z jednym ze swych najstarszych zakietów: kazał pani Feaver naszyć na niego niedbale kilka szmacianych łat, jednak gdy wdział na siebie ów strój, okazało się, że wygląda raczej jak arlekin niż człowiek zarabiający na chleb własnymi rękami. Dla osiągnięcia właściwego efektu potrzeba było bowiem ubrania w szczególny sposób zszarganego, obdartego na skutek wieloletniego zużycia, z brudem wżartym i zakrzepłym na powierzchni w skorupę, której nie można było spreparować w domu przy Pali Mali za pomocą odrobiny sadzy. Jedynym rozwiązaniem stało się więc nabycie towaru autentycznego. Teraz Casanova i Jarba byli już gotowi.

Majster, stojąc na ławie, wybierał ludzi do pracy wedle własnego gustu: musieli jednak być silni i potulni. Obok majstra, zakutany szalem do połowy twarzy, siedział skryba i zapisywał nazwiska zatrudnionych. W tłumie można było dostrzec Hindusów oraz odzianych w wołokowe kurtki milczących Chińczyków o oczach jak z brązu. Stali tam również mężczyźni, których skóra miała kolor dużo czarniejszy niż skóra Jarby oraz osobnicy równie niepasujący do tego miejsca, jak Casanova. Były tam także kobiety oraz dzieci.

Północno-wschodni wiatr rozwiewał po ulicy śmieci i rozpraszał resztki mroków nocy. Światło dnia, pomyślał kawaler, chłonąc wzrokiem rozwichrzony majestat świtu, jest zawsze klarowne. Wsunął dłonie do kieszeni swej świeżo nabytej kurty, grzejąc się resztkami ciepła ciała innego człowieka.

- Nazwisko? - zażądał majster.

- Jack Newhouse.

- Ręce!

- Race?

Jarba wyciągnął przed siebie swe dłonie wewnętrzną, łososiową stroną do góry; Casanova poszedł za jego przykładem. Majster obejrzał je uważnie, spostrzegł, że brak na nich odcisków, paznokcie nie są połamane, a między palcami nie ma ani śladu świerzbu. Potem przeniósł wzrok na twarze mężczyzn. Przez moment zdawało się, że ich odrzuci, ale ranek był wyjątkowo zimny, a ci dwaj; stojący teraz przed nim

- pomimo gładkości cery - zdali się dobrze zbudowani i wyraźnie silni. Mruknął więc coś pod nosem i skryba zanotował ich nazwiska; Casanova w odpowiedzi zaprezentował im swój uśmiech, niemal całkiem szczery, w głębi serca bowiem, ukrytego w piersi - której owłosienie stawało się właśnie siedliskiem robactwa odziedziczonego po zjadaczach cebuli - poczuł ów szczególny dreszczyk, tak uwielbiany przez niegrzeczne dzieci i aktorów, a odczuwany wtedy, gdy zostaje się wziętym za kogoś, kim się w istocie nie jest.

Casanova i Jarba stanęli nad samą wodą, czekając wraz z innymi na łódź, która miała ich zabrać na budowany most. Ciężkie, nisko wiszące chmury wreszcie pękły. Deszcz kapał im obu z nosów, zbierał się w małżowinach uszu. Kawaler znów poczuł się tak, jak wtedy, gdy był w wojsku. Wiosną 1744 roku miał lat dziewiętnaście i właśnie wstąpił do weneckiej armii, w której służył, nie zdobywszy żadnego stopnia, do zimy 1745. Owo wojsko - choć było absurdalną zbieraniną żółtodziobów - nauczyło go, jak przetrwać długie okresy fizycznych niedogodności. Tam też się dowiedział, że bycie przemokniętym i zmęczonym nie równa się śmierci, że wiele można przetrzymać, człowiek zaś ma zdolność przetrwania w warunkach, jakie w cywilizowanym życiu wydawałyby się nie do zniesienia. Była to lekcja, której nigdy nie miał zapomnieć.

Łódź podpłynęła do stopni i kolejna grupa robotników, przepychając się lekko, władowała się na pokład. Przewoźnik odepchnął ją od brzegu. W ustach trzymał małą fajeczkę, odwróconą brzuścem do góry, by nie na-kapał do niej deszcz. Łódź była mocno zanurzona - górny brzeg jej burty nie wystawał więcej niż na pół palca ponad siwopomarańczową, lekko sfalowaną powierzchnię rzeki. Przepłynął koło nich martwy kot ze szczurem uczepionym ogona. Za późno już teraz, pomyślał Casanova, by wysłać Jarbę do domu po parasol. Wyszli na niewielkim pomoście przymocowanym do nowego przęsła. Kawaler, pocierając zaognione otarcia na szyi od kołnierza swego nowego okrycia, ze zdumieniem chłonał wzrokiem niezwykle tempo robót. bynajmniej tutaj, wśród stosów kamienia i drewna, żurawi i pomp, nieustannie pokrzykując, by przekazać sobie istotne polecenia, ludzie robili coś pożytecznego, dokonywali czynu, który można by nawet nazwać heroicznym. Ponad

jego głową kamienny blok wielkości powozu diuka Bedford przecinał powietrze w koszu z konopnych sznurów. Poza robotnikami w ulewnym deszczu pracowało sporo niewielkich koni. Zjawił się majster wraz ze swym mopsem przy boku. Jego twarz miała w sobie coś z obwisłości psich fafli, na mordzie psa natomiast malował się wyraz czysto ludzkiej złośliwości. Wydano rozkazy i robotnicy ruszyli do pracy - powolna, szara masa, dym zbity w siwy tuman. Chwilę później wszyscy naprężyli ramiona, po czym chwycili za narzędzia.

Grupa Casanovy została przydzielona do obsługi młota wbijającego pale: do sześciuset kilogramów uśpionego żelaza, które należało podciągać z kamiennego łoża za pomocą trzydziestu lin i sześćdziesięciu ramion. Pierwsza godzina pracy była niemal przyjemnością - kawaler zachwycił się własną siłą i nawet uśmiechał do majstra, ten z kolei popatrywał nań w taki sposób, jakby już się kiedyś spotkali, w jakimś zupełnie innym życiu, w którym rozdzieliła ich poważna waśń. Jednak po upływie drugiej godziny pot zaczął szczypać go w oczy, a serce waliło w piersiach niczym dzwon okrętowy. Casanova zerknął, z wyrazem winy na twarzy, w stronę swego sługi. Jego upór, by rozpoczęli razem nowe życie, wystawił lojalność Jarby na najwyższą próbę. Nie obyło się bez prezentów, a nawet wtedy Jarba skłonny był raczej szukać na nowo szczęścia na giełdzie. Służba domowa to taki szczególny gatunek ludzi! Jednak w końcu, gdy obiecał Jarbie, że za miesiąc czy dwa na nowo przemyśli sprawę i że nie pozbędzie się - jak to początkowo w porywie entuzjazmu zamierzał uczynić - domu przy Pali Mali, Jarba wyraził zgodę na to nowe doświadczenie. Teraz, z popękanyimi ustami i płatkami zaschniętej śliny na brodzie, Casanova mrugnął do swego sługi. Po chwili jednak pomyślał, że nie był to najlepszy pomysł. Widok jego twarzy nie mógł bowiem w tej chwili dodać ducha żadnemu człowiekowi.

Po trzeciej godzinie zarządzono odpoczynek. Kawaler przeszedł chwiejnym krokiem do miejsca, gdzie nowe przesło, od strony miasta, było okładane licowym kamieniem. Deszcz ustąpił teraz miejsca słońcu o tarczy jak z topionego brązu. Londyn, zadymiona Atlantyda, budził się do kolejnego dnia. Kopuła katedry Świętego Pawła zdawała się spowita woalami błękitu o typowej dla północy

wodnistej przejrzystości. Ponad kapeluszami robotników, ponad tumanami pyłu, poprzez płataninę lin Casanova, czując lekkie ściskanie żalu w sercu, przyglądał się życiu miasta, ruchowi ulicznemu wyznaczanemu przez semaforów jedwabioń kobiecych sukien i złożonych rękojeści szpad. Patrzył na okna w budynkach z surowego kamienia, odbijające promienie słoneczne i strzegące pokojów, w których Bóg jeden wie, jak pikantne rodziły się intrygi.

Odwrócił się od owego widoku i powrócił myślami do obrazu przygniatającego go bardziej niż najcięższy żelazny młot, a mianowicie kawalera de Seingalt leżącego na podłodze na plecach - jak bezbronny robak - w ciemnym saloniku przy Denmark Street, ze łzami znaczącymi twarz niczym dwie czarne wstęgi. Ze swej drogi powrotnej do domu niewiele pamiętał - były to jedynie jakieś strzępy. Jego wspomnienia z tej nocy były jak obraz na płótnie pocięty ręką szaleńca. Na jednym kawałku - oko mężczyzny przepełnione zdumieniem, wielkie niczym jajo; na następnym - krąg oleistego światła, w którym jakaś nieszczęsna dziewczyna karmiła piersią niemowlę; na kolejnym - strażnik nocny, siwowłosy i pijany, unoszący latarnię, by popatrzeć na mężczyznę mijającego go w szaleńczym pędzie...

Każdy z nas, pomyślał Casanova ponuro, każdy z nas w pewnym momencie swego życia musi odbyć podobną podróż jak on owej nocy.

W chwili gdy pełne czucie zaczęło powracać do jego palców, zadzwieczał gong, majster wrzasnął, pies zaczął się miotać jak przestępca na końcu swego postronka i grupa ruszyła ponownie do pracy. Casanova skonstatował w myślach, że dziesięć lat temu podobny wysiłek nie byłby dlań problemem. Pięć lat temu doszedłby do siebie natychmiast. Teraz jednak ze zdziwieniem odkrywał własne ograniczenia, o których wcześniej nie miał najmniejszego pojęcia. W uszach mu szumiało, płuca zdawały się maleńkie jak sakiewka kobiety, uda drżały - jednak za każdym razem gdy młot wznosił się w powietrze, czuł się oczyszczony: rozgrzeszony z kolejnej orgii, kolejnego mdłego wieczoru pełnego szampana i oszustw, kolejnego podstępnego uwiedzenia czyjejs siostrzenicy, kolejnego kłamstwa.

Czwartą godzinę pracy najlepiej było puścić w zapomnienie - prawdę powiedziawszy, wypierał ją już z pamięci ciężki mózół piątej. Godzina szósta

pozwalala w pełni odkryć elastyczność czasu; robotnicy pogrążyli się w samotności heroicznego wysiłku i każdemu z nich się wydawało, że w tej chwili już tylko on jeden ciągnie za liny.

Następna przerwa; tym razem krótsza niż pierwsza. Mieli teraz tylko dziesięć minut, by osunąć się na ziemię, oprzeć o kamienie nowego parapetu i ponownie starannie okręcić dłonie kawałkami szmat w miejscu, gdzie lina lizała skórę. Robotnicy powyjmowali z kieszeni manierki i butelki. Jarba i Casanova przyglądali się temu w milczeniu, podczas gdy ich krew pulsowała wciąż w rytmie pracy młota, wędrując od głów do stóp i z powrotem regularnymi silnymi falami.

- Jak to się stało - spytał kawaler - że nie pomyśleliśmy o czymś do pokrzepienia?

Rozejrzał się wokół tak, jakby w pobliżu mógł bez trudu znaleźć miejsce, gdzie serwują przepiórcze jaja i gorącą czekoladę. Prawdę powiedziawszy, teraz zadowoliliby się nawet surową cebulą. Cebulą i łykiem wody.

Jakaś postać z wolna przybliżyła się do nich - twarz jej pokrywał szary pył, wielkie oczy przypominały jeziora bursztynowej żywicy na jałowej ziemi. Nie podchodząc zbyt blisko, istota owa - on? ona? - wyciągnęła w ich kierunku butelkę. Jarba podniósł się z wysiłkiem, wziął ją do ręki i powiedział kilka słów, zanim podał napój swemu panu. Casanova pociągnął łyk, zakrztusił się, wytarł wierzchem dłoni usta.

- Jarba, co to stworzenie nam przyniosło?

- Angielski gin.

- A jak na imię temu stworzeniu?

Jarba zadał stosowne pytanie. Istota odpowiedziała mu szeptem, po czym zabrała butelkę i powróciła do grupy robotników, którzy przycupnęli pod wielkim żurawiem po stronie osłoniętej od wiatru.

- Na imię jej - oznajmił Jarba - panna Rosie O'Brien.

- Ach - odrzekł kawaler, sięgając mimowolnie dłonią do miejsca, gdzie zazwyczaj mógł dotknąć koronkowego żabotu, którego postanowił już więcej nie nosić. - Musimy pomyśleć o tym, jak jej podziękować.

Po przerwie grupa Casanovy została wyznaczona do dźwigania koszy - wielkich, wiklinowych pojemników napełnionych gliną i tłuczniem. Zdecydowany, by utwierdzić wszystkich - łącznie z sobą samym - w przeświadczeniu, że jest doskonałym robotnikiem, Casanova pochwyił najcięższy i potykając się, przeniósł go sto jardów dalej, gdzie inna grupa ludzi ubijała kamienie tworzące podstawę grobli. Drugi kosz okazał się jeszcze większy od pierwszego. Kawaler schylił się po niego, po czym z trudem pociągnął w górę. Natychmiast mięśnie pleców wydały jakiś złowrogi jęk i przez moment Casanova musiał utrzymać cały ciężar jedynie czubkami swoich palców hazardzisty. W tym czasie majster nie spuszczał go z oka, pies zaś kołysał łbem na boki, wyciągając przy tym mocno szyję, jakby chciał się uwolnić od jakiegoś uciążliwego objawu psiego obłędu. Casanova ciężko ruszył naprzód. Od tyłu podeszła doń Rosie O'Brien, trzymając swój kosz w ramionach tak lekko, jakby był pełen płatków różanych lub gęsiego puchu. Mijając kawalera, odwróciła się i patrząc mu w twarz - teraz równie stężała i wyszarzała jak jej własna - odezwała się - po angielsku? po celtycku? - po to, zdawało się, by mu wyjaśnić, jak należy nieść kosze: lekko, właśnie tak, w kolebce ramion, bez zbędnego napinania mięśni.

- Och, grazie. Molto grazie.

Casanova chciał jej się skłonić, jednak poczuł natychmiast, że ciężar, który trzymał przed sobą, niebezpiecznie pociągnął go do przodu. Zdołał się uratować przed upadkiem zaledwie w ostatnim momencie. Dziewczyna wyminęła go tymczasem, opróżniła swój kosz i na chwilę zniknęła za pionowo wznoszącym się w górę tumanem zielonoszarego pyłu - niczym Dafne przemieniająca się w drzewo, gdy uciekała przed pościgiem Apolla.

Przez ostatnią godzinę pracowali przy świetle pochodni. Zmęczenie już dla nich nie istniało; każdego popychał znój pracy niczym bestia o szerokim grzbiecie; zdali się na jej rytm tak bezwolnie, że gdy zadźwięczał gong i spojrzeli w bezgwiazdne niebo - zdziwieni, otumanieni jak istoty budzące się z głębokiego letargu - ledwie byli w stanie utrzymać się na nogach. Teraz czekała ich ta sama droga co rano - tyle że w odwrotną stronę. Robotnicy stanęli w kolejce na pomoście, po czym przewoźnik

przetransportował ich przez rzekę i wysadził przy obrośniętych skorupiakami stopniach.

- Pierwszy dzień - stwierdził Casanova, gdy Jarba pomagał mu wydostać się z łodzi - jest zawsze najtrudniejszy.

- Tak - odrzekł Jarba bezbarwnym tonem, odwracając się w drugą stronę, ku zachodowi, ku oświetlonym latarniami placom, ku Pali Mali, ku domowi. Domowi?

- Drogi chłopcze - odezwał się ponownie kawaler, chwytając swego sługę pod ramię - dziś nie czeka na nas puchowe łóżce.

- W moim materacu jest jedynie końskie włosie - zauważył sucho Jarba.

- Zawsze myślałem... - Kawaler wzruszył ramionami w typowo wenecki sposób, nie wyrażający obojętności, lecz uczucia o wiele cieplejsze i bardziej skomplikowane. Robotnicy ruszyli naprzód, wykrzykując słowa pożegnania w chłodnym, nocnym powietrzu.

- Czy widziałeś tę dziewczynę? - spytał Casanova. - Tę z popsutymi zębami, która podzieliła się z nami swym napojem?

2

Spostrzegli ją w grupie ciągnącej niczym znużony krokodyl poprzez Holland Street. Dołączyli do idących, zbyt zmęczeni, by choćby się podrapać, i wlekli się w ogonie owego krokodyla, który przemierzył tymczasem Puddle Dock Hill, minął - wijąc się - Dean Court i znalazł się na tyłach katedry Świętego Pawła. Na schodach tej budowli mężczyźni z derkami na plecach prowadzili ze sobą pogawędki - podobnie jak na schodach wszystkich katedr świata. Stojące w ciemniejszych zaułkach kobiety, zeszywniałe z zimna, mamrotały rozpustne słowa do mijających je przechodniów. Nie marnowały jednak swego czasu i talentu na robotników - mieli oni swe własne ladacznice: brzydsze, biedniejsze i o wiele bardziej zniszczone życiem niż te tutaj.

Przeszli na Cheapside, minęli kościół Bow, Królewską Giełdę i weszli w

Leadenhall Street. Casanova włókł się noga za nogą, wbijając tępo wzrok we własne stopy. Gdy podniósł oczy, wydało mu się nagle, że znalazł się w otoczeniu pozbawionym jakiegoś istotnego elementu substancji świata. Owe ulice, owe budynki, wokół których unosiła się atmosfera niebezpieczeństwa i znużenia - Casanova nie widział ich nigdy przedtem w tym mieście, znał je jednak dobrze ze swych nocnych wędrówek po dzielnicach biedoty w Paryżu i Rzymie; znał też świetnie ich zapach: smród zatęchłego mułu i zgniłego sera - uniwersalny odór ubóstwa.

Gdzieś w okolicach Whitechapel krokodyl skręcił gwałtownie i zsunął się w dół po obrzydliwie brudnych schodach do piwnicznej jadłodajni. Robotnicy opadli na lawy i oparli łokcie o stoły, na których - osadzone w szyjkach butelek - płonęły, liżąc powietrze bladymi płomykami, świece z wytopionego świńskiego tłuszczu. Kobieta niebawem tuszy, o nieodgadnionym wyrazie twarzy stała w kącie sali, przy palenisku, i rozdzielala warzachwią do misek gęstawą strawę. Rachityczna dziewczynka, prawdopodobnie w wieku Sophie, o cerze równie żółtej jak płomyki świec, roznosiła miski i zbierała w zamian drobne monety, podawane jej przez robotników na otwartych dłoniach. Casanova wlepił wzrok w to, co mu przyniosła. ”o d łyżką prześlizgiwały mu się kawałki przypominające wielkością i kształtem mysz, lecz w żadnym razie nie wyglądające na jadlo - na nic, co normalny człowiek zgodziłby się spożyć. Jednak gdy kawaler podniósł wzrok, spostrzegł, że wszyscy już pochłonięci byli jedzeniem: w skupieniu, mozolnie przenosili tę breję z miski do ust. Na szczecinie męskich twarzy osiadały perelki zakrzepłego tłuszczu. Od czasu do czasu przerywali swą pracę, brali głęboki oddech, po czym znów zaczynali się pożywiać.

Po pierwszym łyku Casanova zaczął już jeść z ochotą, pomimo trudności, jakie sprawiało mu utrzymanie łyżki w spuchniętych, zakrwawionych palcach. W końcu wyskrobał swą miskę do dna, wytarł ją kawałkiem chleba i nawet przyłączył się do ogólnego chóru czkań. Zaraz też podniosły się głosy domagające się jakiegoś trunku. Kucharka otworzyła szafkę kluczykiem przytwierdzonym do łańcuszka opasującego jej niezmiernie rozłożyste biodra; dziewczynka znów zaczęła krążyć pośród ław, tym

razem przyciskając do swych maleńkich piersi pełne butelki.

Mężczyzna siedzący obok Casanovy - w średnim wieku, o pulchnych dłoniach i puciołowatej, melancholijnej twarzy rozczarowanego życiem sklepikarza - słysząc przyciszoną wymianę zdań po włosku pomiędzy kawalerem a jego sługą, odezwał się do nich w tej samej mowie i wyjawiał - rozglądając się przy tym pilnie na lewo i prawo - że jest Austriakiem o imieniu Kasper, uciekinierem ukrywającym się przed tajną policją Marii Teresy. Znał tu wszystkich. Oznajmił im, że nie będą mieli problemów ze znalezieniem łóżka na noc - na tyle nocy, ile tylko zapragną. On, Kasper - mówiąc to, poklepał się po nosie - będzie im przewodnikiem po owym złowrogim świecie ludzkiej nędzy i występku przypominającym zdradliwe trzęsawisko. Wypili z nim razem butelkę porteru. Austriak zaprawił swą porcję kilkunastoma kroplami laudanum, a potem, postukując w fiolkę z narkotykiem, oznajmił im radośnie:

- Tylko to powstrzymuje mnie jeszcze przed skokiem do rzeki!

Casanova zaczął rozglądać się za Rosie. Dostrzegł ją pogrążoną we śnie przy sąsiednim stole. Twarz - zdradzająca wyczerpanie i jakiś wewnętrzny niepokój - złożyła na twardej poduszce własnych silnych ramion. Jakże łatwo mógłby ją uratować! Pieniądze, które miał w sakiewce - ciężące mu w kieszeni niczym tajemne zaprzeczenie jego własnych intencji, drobna borsa hipokryzji; pieniądze w ilości wystarczającej, by kupić tę jadłodajnię, a pewnie wraz z nią i całą ulicę - mogłyby sprawić, że sypiałaby na prześcieradłach przedniego gatunku i chodziła od rana wystrojona dzięki mocy złota, dzięki angielskim gwineom. Lecz co potem? Miesiąc szczęścia, oszałamiającego ją uczucia ulgi, niedowierzania - i już by mu się znudziła. Porzuciłby ją więc i skazał na zdobywanie środków na życie w taki sposób, jak czyniła to Charpillon. Rosie jednak pozbawiona była piękności, tak podnoszącej wartość rynkową kobiety, oraz ochrony owych piranii, z którymi mieszkała Marie.

Gruczoły pod pachami Casanovy i w pachwinach zaczęły puchnąć od jakiejś niegroźnej, przewlekłej gorączki, która powoli ogarniała jego ciało. Nie potrzebował jednak laudanum; odurzała go sama świadomość ekstremalnych warunków, w jakich się znalazł, oraz wzruszało, w sposób nie dający się wyrazić, kanciaste piękno

otaczających go twarzy - twarzy znawców prawdziwego życia, którzy widzieli i doświadczyli więcej, niż można by oczekiwać od istot ludzkich. Nie było wśród nich ani jednej osoby niedotkniętej urazem oka czy innym kalectwem, jakąś bardziej lub mniej rzucającą się w oczy deformacją. Stanowili śmietankę warstwy nieszczęśników zamieszkujących wyspę, byli solą tej ziemi - szczęśliwcami, którzy zdołali przetrwać, porzuciwszy manufaktury lub ochronki dla podrzutków. Ich jedyną spuścizną stanowiło ubóstwo. Możliwość przebywania wśród podobnych ludzi była dla niego zaszczytem. Miało się ochotę oddać im hołd, uwiecznić na płótnie bądź w strofach sławiących ludzką wytrwałość i upór.

Kawaler potarł powieki. Łzy napłynęły mu nagle do oczu; czuł się przyjemnie wyobcowany. Jakaś kobieta wdrapała się na stół i rozpoczęła płasy, podczas gdy mężczyźni, zebrani w półkole u jej stóp, zaczęli śpiewać, wystukując rytm kuflami. Cóż lord Pembroke - ze swym trzykrotnym goleniem w ciągu dnia i walczącymi kogutami, z całą tą łatwością, z jaką wszystko przychodziło mu w życiu - mógł wiedzieć o takich prostych przyjemnościach, o szczególnym braterstwie istot, które nie miały nic poza sobą nawzajem?

- Czy ty także się ukrywasz, signore? - spytał Kasper, przysuwając twarz tuż do twarzy Casanovy. - Możesz zwierzyć mi się, panie. Ja twych sekretów nigdy nie wyjawię nikomu.

3

Rudera z łózkami do wynajęcia znajdowała się przy Petticoat Lane - uliczce oświetlonej jedynie rozpalonym na jej środku ogniskiem, otoczonym ciasno przez tych, których nie stać było na zapłacenie dwóch pensów za miejsce na materacu pod dachem. Oni też - bez większej wiary w powodzenie - usiłowali teraz wyżebrać kilka miedziaków od mijających ich przechodniów.

W bramie kamienicy stara kobieta - jej właścicielka - mając w obstawie osiłka w marynarskich spodniach i płaszczu ukradzionym tak niedawno, że jeszcze wydzieliał

woń wieczornego przyjęcia przy Hanover Square - pobierała opłatę za noclegi i wsuwała monety do wełnianej pończochy tłumiącej brzęk metalu. Wewnątrz zaczął Casanovę dusić kloaczny smród dochodzący od połyskliwej kałuży u stóp schodów. Kawaler, przyciskając dłoń zwiniętą w pięść do ust i chwytając drugą ręką za skraj płaszcza Jarby, zaczął wspinać się po schodach, pełen obaw, że w każdej chwili trzeszczące drewno może zapaść się pod jego stopami. Zewsząd w tym domu - jak się zdawało, pozbawionym drzwi - rozlegały się odgłosy niespokojnego snu udręczonych biedaków, zakłócanie niekiedy samotnymi barytonami pijaczyn, wrzawą jakiegoś sporu czy kwileniem głodnych niemowląt.

Na trzecim piętrze - czwartym? piątym? - robotnicy weszli do pomieszczenia na tyłach budynku. Na licznie rozłożonych tu materacach, z których niemal każdy był podarty i ukazywał wypełniającą go słomę - porozkładali się jak leci, nie bacząc na pleć i utykając między sobą szmaciane tobołki z całym dobytkiem. Latarnia, powieszona na gwoździu na kominku zabitym deskami, dawała 121 dziwnie smoliste światło. Jarba i Casanova skierowali się w stronę najmniej zatłoczonego posłania, po czym ułożyli się pod kocem, w powietrzu przepelnionym odorem ludzkich ciał. Wszyscy spoczywający na tym samym materacu - a wśród nich także, jak się okazało, ich Austriak - poruszyli się, jednak żaden nie ocknął się ze snu.

Leżąc na plecach i wpatrując się w popękany tynk sufitu, kawaler zaczął rozmyślać o pewnej nocy sprzed z górą dwudziestu lat. Wówczas to przemierzał gościńce i drogi Marche z owym farbowanym franciszkaninem, Staffano. Nieopodal Serravalle zatrzymali się pewnego razu na noc w domu licznej wieśniaczej rodziny. Gdy obaj spali, pod-kradły się do nich dwie staruchy, silne i śmierdzące niczym wyrosnięte capy i zażądały pieniędzy, grożąc, że obiją ich młode ciała tak, że odpadną od kości. Jakaż wtedy wywiązała się walka! Staffano wymachiwał swym kosturem, a baby darły się wniebogłosy, usiłując uniknąć razów...

Na to wspomnienie piersią Casanovy wstrząsnął bezgłośny, pełen znużenia śmiech. Porco dio, to dopiero były czasy! Z Serravalle zawlókł swój młody cień do Rzymu - do pantofla papieża i maleńkich satynowych trzewiczków Lucrezii i jej siostry Angeliki; do kardynała Colonny, który zatrudnił go do pisania listów

miłosnych; a także do altanek Tivoli i Frascati, gdzie teraz też zapewne jakiś młodzian jemu podobny i jakaś dziewczyna karmili się nawzajem arbuzem, który barwił ich usta na czerwono, nadając wargom smak niemal dziecięcej słodczy.

Czyż nie powinien był pozostać w Rzymie? Czy wyjeżdżając stamtąd, nie popełnił poważnego błędu? Jakżeż piękne chwile przeżył w owym mieście! Ten niepowtarzalny blask światła i aromat władzy, którym się przenikało, przebywając w otoczeniu możliwych tego świata - za-Pach szczególnie, przypominający woń pachnidła bardzo, bardzo kosztownej kurtyzany. Pragnienie, by ów czas powrócił, było jednak teraz li tylko nędznym ujadaniem kundla pod bramą przeszłości.

Goudar miał, oczywiście, rację (oby morskie bestie wyssały przez nos jego mózg!); oni obaj - ze swym sprytem, inteligencją, długimi, zgrabnymi nogami i gotowością wkraczania w obszary, od których innym skromność i nieśmiałość kazały się trzymać z daleka - byli tworamii tej samej rasy. Casanova zawsze podejrzewał, że Goudar nie miał żadnych przodków; że zrodził się samoistnie z zatechłego powietrza jakiegoś taniego pokoju wynajętego na godziny. On sam też nie mógł się poszczycić odpowiednim pochodzeniem; w jego życiu istniała co prawda kobieta, którą od biedy można by nazwać matką, lecz jeśli chodzi o ojca - równie dobrze mógł być nim doża, jak szatan czy po prostu jakiś mangiamarroni odwiedzający teatr, w którym tańczyła Zanetta. Tak więc, pozbawieni genealogii wyznaczającej człowiekowi jego miejsce w życiu - określającej, kim jest i do czego powinien dążyć - musieli wykreować się sami. W przypadku Goudara eksperyment ten można było uznać - w najlepszym razie - jedynie za sukces połowiczny. Ta kreatura o ciele mężczyzny i twarzy chytrej łasicy... Lecz gdy chodzi o niego, o Casanovę, ach!, wszystko poszło aż nazbyt gładko. Był dokładnie kimś takim, kogo odziana w jedwabie kasta chciała mieć w swym otoczeniu: zawsze giętki, prawdziwie uczynny kompan z iskrą geniuszu, który - podobnie jak wenecki kanał - wydawał się tym bardziej czarujący, im większa otaczała go aura zepsucia. No cóż, przez lata zwodziły go własne sukcesy i podziw świata, ale teraz...

Coś wgryzało się w skórę na jego udzie, jednak się nie przejmował; to uczucie nie było nachalnie gwałtowne, a poza tym robactwo - podobnie jak ludzi - można

było tolerować w pewnych okolicznościach. Jutro, pomyślał, zmobilizuje wszystkich do wyczyszczenia sali i znalezienia świeżej słomy do materaców. A może jakieś obrazy na ściany? Nowe życie, nowa tożsamość. Jack Newhouse. Człowiek z ludu.

4

Kiedy szli do pracy następnego ranka, było równie ciemno jak wtedy, kiedy kładli się do snu, a nawet zdawało się, że jeszcze większe mroki kryją ziemię, jako że o tej porze dnia mniej światła płonęło w mieście. Stróż nocny rozpałił ogień przed swą budą; w pośpiechu wyminął ich duchowny wraz z chłopcem oświetlającym mu drogę latarnią; z pobliskiej piwnicy sączyło się nikłe światło, a w jego poświacie można było dostrzec jakieś postaci uwijające się z nożami nad długimi, zakrwawionymi stołami. Robotnicy nie widzieli wyraźnie twarzy swych towarzyszy aż do chwili, gdy znaleźli się w piwnicznej jadłodajni, by posilić się tym, co zostało z wczorajszego wieczoru - ową zupą z kotła, który - niczym magiczny garniec z baśni - zdawał się nigdy nie ukazywać pustego dna.

Teraz jednak nie rozlegały się żadne śpiewy, żadne rozmowy, słyhać było jedynie odgłos pochłaniania strawy, który brzmiał tak, jakby grupa stu mężczyzn maszerowała przez podmokły teren krokiem niezbyt spiesznym, lecz jednostajnym. Czemuż to, zastanawiał się Casanova, owi ludzie nie rzucali się biegiem, na swych krzywych nogach, na dom jakiegoś bogacza, jakiegoś chciwego bankiera i jego tłustej żony, by opychać się orzeszkami pistacjowymi i wlewać w gardła doskonałą brandy - aż do upojenia? W ich sytuacji katowski sznur był niczym. Niczym też było zesłanie na plantacje czy więzienne galery. Czego więc mogli się obawiać? Problem, uznał Casanova, badając palcem stan swego zarostu, polegał na tym, że nie mieli przywódcy, a na dodatek nie mieli poczucia jedności ani własnej tożsamości. Uważali się za szczęśliwców, jeśli nie musieli umierać z braku pożywienia, jak owa kobieta, którą znaleźli nagą i zagłodzoną na Stonecutter Street zaledwie kilka dni te-fflu. Podobno dwadzieścia osób jej podobnych wywlekali z różnych ruder w miesiącu - i

to w mieście, gdzie karoca Lorda Burmistrza była tak ciężka od złota i ornamentów, że sześć wspaniałych rumaków ledwo dawało radę przeciągnąć ją po błocie.

Jeszcze zanim chwycili za sznury, plecy paliły go żywym ogniem. Mobilizował się do wysiłku wspomnieniem swej niezwyklej wytrzymałości, budzącej powszechny podziw w towarzystwie. Czy ktokolwiek zapomni o Sulzbach i partii pikiet, którą rozegrał z D'Entraigues du Pinem? Obaj spędzili przy kartach ponad czterdzieści dwie godziny, wypróżniając się do nocników przynoszonych im do stołu oraz posilając jedynie zimną zupą z krewetek drugiego dnia gry. Pojedynek skończył się dopiero wtedy, gdy D'Entraigues, pochylając się, by rzucić na sukno kolejną przegrywającą kartę, zwałił się na stół i został wyniesiony z sali przez pacholców. Nie widziano go przez następne dwie doby. Natomiast on, Casanova, potrzebował jedynie lekkiej lewatywy - zalecanej przez medyka z kasyna - oraz trzygodzinnego odpoczynku. Potem przyłączył się do towarzystwa i spożył wraz ze wszystkimi obiad. Jakież wrażenie wywarł wówczas na małej mam'zel Saxe! Cóż za szkoda, że wydarzyło się to wszystko na takim zadupiu, jak Sulzbach.

Tymczasem teraz jego ramiona były równie słabe, jak ramiona małego dziecięcia. Jedynie duma kazała mu dzierżyć liny; gdy w drugiej godzinie pracy pęcherze na jego dłoniach popękały i krew zaczęła spływać mu po palcach, uśmiechnął się tylko na ten widok, zacisnął zęby i podwoił wysiłek, zdumiony, że nawet teraz - gdy znój pracy wznosił jego charakter na wyżyny dostępne jedynie świętym, gdy z wyczerpania nie mógł nawet przełykać - robił piękne oczy do Rosie O'Brien. Podobały mu się Irlandki. Ongiś sprzedał nawet jedną z nich królowi Francji. W jakiś czas później Boucher namalował jej portret.

Stojąc przy pannie O'Brien, gdy razem napełniali kosze pod niebem barwy pieczonej wieprzowej wątróbki po południu trzeciego dnia pracy, Casanova wsunął swą wielką, owiniętą szmatami dłoń w dłoń Rosie (skórę na rękach miała twardą niczym skorupa żółwia) i zaczął wzdychać do niej równie efektownie, jak to czynił w rokokowych salonach czy wśród wymyślnie przystrzyżonych krzewów pałacowych ogrodów. Jak się okazało, nagłe wyzwolenie się z roli odgrywanej od lat nie było łatwe. Instykt brał górę nad rozumem, obezwładniał ciało. Kawaler zaczął się

wówczas zastanawiać, czy jako istota ludzka, samodzielny byt nie był równie zniewolony jak pies do obracania różną, który - gdy przypadkiem zostanie spuszczone z uwięzi - potrafił już biegać jedynie w kółko.

Piątego dnia pracy zginął człowiek. Pracował na nowej grobli - stemplował ściany, by ochronić je przed naporem rzeki. Rozległ się krzyk - może owego człowieka, a może przyjaciela, próbującego go ostrzec przed zagrożeniem, gdy nagle zauważył, że drewniany występ gwałtownie się zapada - a potem grobla zniknęła; dwa drewniane pale wykręciły jedynie dziwnego młynca w powietrzu. Robotnicy podbiegli do parapetu, wlepiając wzrok w miejsce, gdzie woda, po chwili zakotłowania, wróciła do swego leniwego biegu. Na rzekę wysłano łódź, która przedzierała się teraz wśród ponurych szczątków konstrukcji. Nie znaleźli żadnego śladu owego człowieka; dla każdego też było jasne, iż nie zdołał się ocalić, jako że żaden z robotników nie umiał pływać. Przez dziesięć minut łódź krążyła w miejscu tragicznego zdarzenia, wiosłarze starali się przebić wzrokiem łuskowatą skórę rzeki; przebijali ją też wiosłami. A potem ktoś krzyknął na nich z mostu i łódź zawróciła. Młody powstał znad swego stołu, na którym leżały rozpostarte plany przyciśnięte do blatu kamieniami. Twarz młodego architekta zdradzała lekki wstrząs - jakby właśnie ktoś niespodziewanie udzielił mu nagany. Majster przy udziale kija i psa zaczął zapędzać wszystkie grupy robotników z powrotem do pracy. Dłonie zacisnęły się na jeszcze ciepłych trzonkach narzędzi. Casanova posłyszał czyjś cichy płacz - może chłopca, a może kobiety - nie mógł jednak dostrzec, kto to był, jak gdyby ów smutek nie przynależał do jednej istoty, ale zawisł szlochem w powietrzu nad nimi wszystkimi. Tymczasem na moście wozy znów ruszyły dawnym rytmem; znad stosów zwiędłych liści spalanych w Cuppers Gardens na południowym brzegu rzeki spokojnie unosił się dym. Za-pewne zanim zapadnie zmrok, prąd zniesie ciało tamtego nieszczęśnika do Greenwich, a może nawet aż do morza. Do tego czasu jednak myśl o owym nieboszczyku zostanie już wymazana z ludzkich umysłów. Pamięć o nim, jak jego ciało, zniknie w ciemnych odmętach, uniesiona w nicość przez niewidzialne prądy. Idea strajku narodziła się w jego głowie piątego dnia pracy, podczas trzeciej godziny znoju nad żelaznym młotem.

- Ciągnij!

To były pierwsze oznaki podejrzliwości wobec towarzyszy pracy. (Czy te psie syny aby na pewno ciągną tak silnie, jak powinni? Czy ja przypadkiem nie ciągnę za dwóch? Za pół tuzina?)

Casanova wpadł w ponure zamyślenie. Wolałby, żeby Jarba nie patrzył na niego w taki sposób - nijak nie przypominało to bowiem spojrzenia służącego.

6

W niedzielę mogli odpocząć i wreszcie poczuć, że żyją. Otrzymali zapłatę późno wieczorem w sobotę, w tawernie, której właściciel miał najwyraźniej cichą spółkę z majstrem. Teraz robotnicy podnosili się niemrawo ze swych materaców, otumanieni jeszcze wczorajszym pijaństwem, i ruszali w drogę do lombardów, by wykupić jakieś szczątki rzeczy drogich ich sercu. A potem mężczyźni - w koszulach odziedziczonych po zmarłych ojcach czy od wieków nieżyjących dziadach, spranych i pieczołowicie cerowanych, tak że nabrały przejrzystej kruchości świętych relikwii - i kobiety - w kapeluszach-budkach plecionych ze słomki, która porastała łąki w Wicklow czy Connemara za czasów królowej Anny - wylewali się dziesiątkami i setkami na północne arterie miasta - na Goswell Street, Bishopsgate, Brick Lane - by baraszkować wśród ceglanych stosów, oglądać walki psów, pić i rozbijać sobie nawzajem głowy drewnianymi pałkami - tak ot, dla zabawy, bez nienawiści w sercu.

Casanova zabrał Jarbę i Kaspra do Dolly's Famous Steak House na Paternoster Row. Tam też - z twarzami 127 błyszczącymi od rdzawej wody z ulicznej pompy, pod którą się wyszorowali - zamówili wspaniałe dymiące steki z gęstym sosem cebulowym spod pieczeni i ziemniakami kraszonymi masłem oraz trzy butelki najbardziej krwistego wina w całym lokalu. Jednak Dolly, potężna jak burzowa chmura, o okazałym, nadzwyczaj wydatnym biuście, wyrzuciła ich ze swego przybytku. Nie życzyła sobie bowiem gości wnoszących w jej progi pył z budowy i robactwo z taniej noclegowni. Wyszli więc - krokiem dumnym na tyle, na ile mogli

sobie pozwolić ludzie podobnie odziani - po czym zakupili jedzenie w ciastkarni na Fleet Street, ledwo co unikając przy tym spotkania z wielkim leksykografem, który wychodził właśnie z rozmachem z tawerny Pod Mitrą, pogrążony w ożywionej dyskusji ze swym małym Szkotem. Johnson na ułamek chwili spojrział wprost w oczy Casanovy i - choć nie przerwał przemowy - wydawał się przez moment mocno skołowany, niemal natychmiast jednak ruszył zwawo ulicą pod ramię ze swym protegowanym, przeciskając się pomiędzy oddziałem straży miejskiej a wózkiem pomocnika rzeźnickiego.

W Moorfields powietrze wypełniał zapach ognisk. Usadowiwszy się pod drzewem w pobliżu zakładu dla obłąkanych, Casanova wyjawiał im swój plan. Austriak potakiwał głową z entuzjazmem, opychając się przy tym cynamonowym ciastkiem. On wiedział, co należy uczynić: przybrać sekretne nazwiska, rozpisać ulotki, wymyślić tajne hasła, posługiwać się niewidzialnym atramentem...

- Zachowajmy trzeźwość umysłu - przerwał mu kawaler.

- Oczywiście - odparł Kasper, dzieląc ostatnie ciastko z kremem na trzy nierówne porcje i pochłaniając od razu dwie z nich. - Będziemy uprzejmi. Angolicy lubią udawać, że są ludźmi niezwykle zdrowego rozsądku.

Zaczęli zastanawiać się nad stosownymi żądaniem spisywać je kawałkiem węgla drzewnego na papierze po ciastkach. Słońce tymczasem coraz bardziej wydłużało ich cienie. O zmierzchu, w tej godzinie, gdy zazwyczaj trzeba chuchnąć po raz pierwszy w palce, by ogrzać je ciepłem własnego oddechu, mieli dziewięć punktów.

1. Maksimum cztery godziny pracy dziennie przy ciągnięciu sznurów.
2. Rekompensata za uszkodzone członki.
3. Dziewięć szylingów dniówki dla dorosłych robotników.
4. Zaczny pochówek zmarłych.
5. Medykamenty dla chorych.
6. Piwo lub (na usilne naleganie Casanovy) wino w czasie porannej przerwy.
7. Zakaz bicia robotników przez pracowników Kompanii.
8. Godziwe warunki zatrudnienia dzieci poniżej lat siedmiu.

9. Zakaz odprawy pracowników bez odpowiedniej przyczyny.

Dziesiątego punktu nie mogli wymyślić.

- Czy musi ich być dziesięć? - spytał kawaler. - Czyż nie ujeliśmy już wszystkich najpilniejszych potrzeb?

- Dziesięć - orzekł Austriak - jest liczbą dużo lepszą. W innym wypadku bowiem będzie można odnieść wrażenie, że nie potrafiliśmy wymyślić punktu dziesiątego. Ośmieszmy się w ten sposób. Co o tym sądzisz, Jarba? Ty, o wiele lepiej niż my, potrafisz spojrzeć na świat oczami człowieka uciśnionego.

- Signore - odparł sługa, który usadowił się w pewnej odległości od pozostałych i spoglądał na dom dla obłąkanych rozjaśniony blaskiem zachodzącego słońca - pana plan nie jest dostatecznie krwawy. Gdyby nawoływał pan do podcięcia majstrowi gardła czy powieszenia architekta na jego własnym moście... ale jeżeli już pytacie mnie, panowie, o zdanie, powiem ci, iż te żądania doprowadzą jedynie do tego, że zostaniemy wychłostani lub wrzuceni do rzeki.

Casanova i Kasper wpatrywali się w Jarbę z nieopisanym zdumieniem.

- Nie wiem, skąd przyszły ci do głowy podobne pomysły - odezwał się w końcu kawaler. - Jednak w ten sposób podpowiedziałeś nam żądanie dziesiąte.

Zeskrobał kawałek zakrzepniętego kremu z papieru i zanotował: 129 10. Żaden robotnik nie będzie prześladowany za zgłoszenie tych jak najbardziej słusznych postulatów przedstawicielom Kompanii. - Bez wątplenia - rzekł Jarba po chwili - trzeba bę dzie wygłosić mowę. - Rzeczywiście, mowa jest konieczna - zgodził się je go pan. - Nawet kilka - dorzucił Kasper, zaciskając kolana i uśmiechając się do swoich konspiracyjnych towarzyszy. - Ludzie tego oczekują. Jarba wybuchnął śmiechem - i choć wydał z siebie dźwięk niewiele donośniejszy niż mały dzwoneczek, głos jego niósł się wielkim echem wzdłuż i wszerz Moorfields. Nawet gawrony, te parszywe ptaszyska krążące nad wierzchołkami wiązków, zdawały się śmiać razem z nim. Casanova odwrócił się plecami do swego sługi, zastanawiając się przy tym, co do diabła robi w takim miejscu jak to.

Tego wieczoru Casanova dał Rosie ciastko z koryntkami. Stali razem na rogu White Chapel i Angel Alley, śledzeni wzrokiem cicho przemykających psów i żebraków. Dziewczyna wzięła ciastko w dłoń i oglądała je ze wszystkich stron w świetle jedynej w tym kwartale latarni ulicznej. Jej oddech zdradzał senny zapach ginu. Rosie powąchała łąkość, po czym spojrzała na kawalera oczami pełnymi łez. Casanova delikatnie wyjął ciastko z rąk dziewczyny, odłamał kawałek i włożył jej do ust, przeciągając palcami po jej wargach, po zębach. Była to najdelikatniejsza, najbardziej zmysłowa rzecz, jaką zrobił od lat.

W piwnicznej jadłodajni w poniedziałek wieczorem, gdy wyczerpanie nadało twarzom robotników wyraz namaszczonej powagi, a powietrze było ciężkie od fetoru ludzkich ciał, Casanova podniósł się z ławy, wszedł na stół i zaczął klaskać w dłonie. Prześliznął się wzrokiem po otaczających go ludziach i napotkał spojrzenie właścicielki jadłodajni. Zaniemówił na chwilę, jak kiedyś, w przeszłości, gdy stawał przed inkwizytorami Republiki i dostrzegł podobny wyraz oczu. Tym razem jednak szybko się odwrócił, odchrząknął i rozpoczął przemowę - czasami zapędzając się tak bardzo, że zapominał przerwać, by pozwolić Jarbie przetłumaczyć dokładnie swe słowa.

- Przyjaciele! Ja wiem najlepiej, jacy są bogacze i jak wygląda ich życie. Nawet nie wyobrażacie sobie, jak bardzo jest ono jałowe, jak nudzi ich i męczy. Powinniście im współczuć! Każdy ich dzień wygląda dokładnie tak samo jak poprzedni - karty, teatr, obiad z jakimiś ludźmi, którzy - gdy tylko się odwrócą - zaczynają oczerniać współbiedniaków. Czemuż tak wielu z nich pozbawia się życia? Ponieważ odkrywają, że łatwiej pociągnąć za spust niż wstawać z łóżka co rano. Wolność i

bogactwa nie dają im żadnej radości. Zamknięci w murach własnych posiadłości, zazdroszczą wam, lękają się was i nienawidzą. Wiedzą, że ich życie jest puste i bezużyteczne. Natomiast wy, którzy wznosicie pomniki ludzkiej cywili zacji swymi pokrytymi pęcherzami dłońmi...

Casanova zorientował się po chwili, że Jarba najprawdopodobniej wtrąca dowcipne okruchy własnej inwencji do jego przemówienia, ponieważ wśród zgromadzonych zapanowała o wiele większa wesołość, niż oczekiwał, o wiele większa, niżby przystawała do peanu na cześć szlachetności i wysublimowania ludu pracującego. Jarba podniósł na niego wzrok:

- Oni chcieliby wiedzieć, czy zafundujesz im coś do picia, panie.

Butelki i kubki - kubki tak brudne, że normalny człowiek nie miałby odwagi przyjrzeć im się z bliska - zaczęły krążyć po sali. Robotnicy się napili. Rosie obdarzyła go uśmiechem. Teraz wszyscy mogli go posłuchać, teraz zaczęli spoglądać na niego - cudzoziemca o ostrym, orlim nosie - z należytych szacunkiem.

Casanova wyjął papier po ciastkach zza pazuchy i zaczął wymachiwać nim nad głowami zgromadzonych. Przeczytał im żądania, z operową pompą, wczuwając się w rolę - tupiąc nogami w stół, nasycając swe słowa gniewem skierowanym przeciw sam nie wiedział komu i czemu, może niesprawiedliwości, której żadna lista żądań nie była w stanie zadośćuczynić. Każdy odczytany postulat - przetłumaczony przez Jarbę - robotnicy witali wzniesieniem w górę kubków i głośnymi gwizdami. Przy szóstym już wiwatowali, przy ósmym w jadalni zapanowała równie buńczuczna atmosfera, jak w tanim szynku z piwem. Gdy skończył - kilku z najbardziej pijanych mężczyzn usadziło go sobie na ramionach i obnosiło po sali z bohaterską pieśnią na ustach.

- Wywodzę się z ludzi takich jak oni - wymamrotał pod nosem kawaler - i teraz oto do nich powróciłem.

Ta myśl głęboko nim wstrząsnęła, a jednocześnie przejęła go rozkosznym dreszczem, odczuwanym w chwili wyjawiania prawdy. W tym momencie chciał pobiec do domu lorda Pembroke i o wszystkim mu opowiedzieć. Chciał wykrzyknąć to publicznie w sądzie i zobaczyć, jak przyprószone pudrem twarze, kruche niczym porcelana z Sevres, odwracają się od niego.

Rosie wyciągnęła ręce w jego stronę. Poczul na sobie czubki jej palców - gorące niczym rozżarzone węgle.

- Jesteśmy tacy sami! - wykrzyknął. - Jesteśmy tacy sami!

Robotnicy, jakby czekając na komendę, wybiegli, niosąc go na ramionach, z impetem przez drzwi, aż walnął głową o nadproże tak silnie, że opadł do tyłu, ogłuszony, z czarnymi kołami przed oczami, gdy tymczasem gondola ramion wyjącających nieznanymi tragarzy poniosła go nędznymi, brudnymi ulicami.

9

Ocknął się z głową złożoną na piersi Jarby i uchem przyciśniętym do miejsca, gdzie biło jego serce. Usiadł, pomacał się po czole, odkrył szramę o chropawej powierzchni, po czym ostrożnie stanął na nogach i kierując się smugą światła - niczym wędrowiec korytem wyschniętej rzeki - ruszył w stronę schodów. Kilka osób - nie mógł stwierdzić jak dużo - spało tam pokotem, rozłożonych w dziwacznych pozach na drewnianych stopniach. Inni z kolei powciskali się w ciemne kąty na zakrętach schodów. Gdy Casanova przechodził obok nich, poruszali się niczym liście trącone wiatrem, a dźwięk ten sprawiał, że jego dłoń mimowolnie wędrowała ku kieszeni, w której trzymał swój mały wenecki nóż do otwierania ostryg.

Przy bramie natknął się na starą kobietę pobierającą opłatę. Skinął jej głową na powitanie. Trzymała na kolanach niemowlę, prawdopodobnie prawnuczę, z główką złożoną w geście doskonałej prostoty na wyschniętych bukłakach piersi. Stał tam także odźwierny z tęsknym uśmiechem na ustach. Spojrzał na Casanovę, zapomniawszy zmienić wyraz swej twarzy, tak że przez ułamek chwili spoglądali na siebie jak serdeczni bracia.

Na zewnątrz kawaler wypróżnił się do szerokiej, leniwej rzeki nieczystości płynącej środkiem ulicy. I właśnie zapinał spodnie, gdy zauważył wymykający się z budynku cień Rosie O'Brien. Przyciągnął jej uwagę owym dźwiękiem, który tak często przecina wenecką piazza i przemierza cieniste arkady: „Tssss!” Podeszła

bliżej, a on przyciągnął ją do swego cienia, oplótł ramionami, po czym pocałował - przywierając brudnymi ustami do jej brudnych warg.

Wyruszyli razem w podróż po złodziejskich targowiskach, po złodziejskich zakamarkach miasta. Ich mieszkańcy, stłoczeni wokół ognisk, przeglądali swe ostatnie zdobycze: damskie chusteczki, męskie zegarki i owe maleńkie sakiewki, do których dżentelmeni wychodzący wieczorem na miasto wkładali gwineę bądź dwie, by to one właśnie padły łupem ulicznych obwiesiów czy rozbójników, nie zaś grube pieniądze ukryte gdzie indziej, w o wiele mniej widocznym miejscu. Niektórzy spośród owych ludzi witali Rosie przyjaznymi okrzykami i wymieniali z nią kilka bardzo szybkich zdań. Ona zaś przez cały czas trzymała kurczowo dłoń Casanovy, zapewniając mu w ten sposób nietykalność. Bez niej bowiem ci ludzie zadźgali by go natychmiast dla jego butów, zębów, a nawet dla jego wnętrzości, za które mogliby dostać sześciopensówkę od handlarza flakami czy starożytnej gildii wytwórców nadziewanych mięsem placków.

Czy on był pierwszy? Jak wielu innych mężczyzn zabierała już kiedyś Rosie w odyseję po owej sekretnej tkance miasta, krążąc, niczym Eurydyka w piekle, pomiędzy jedną nieokreśloną wyspą światła a drugą? Kątem oka spostrzegł mury Tower, lecz w chwilę później skręcili w lewo, oddalając się od centrum Londynu i przeszli przez Wapping. W swej wędrówce dwukrotnie musieli się ukrywać przed łowcami głów z Kompanii Wschodnioindyjskiej, którzy przemknęli koło nich szybko w cicho przemieszczających się grupach, wyciągając z pijackich melin wszystkich zbyt słabych czy zbyt pijanych, by przed nimi uciec. Pomędzy drewnianymi ruderami wysokie maszty statków z pajęczyną olinowania odcinały się wyraźnie od horyzontu: stały tam galeoty, rybackie jednomasztowce, łodzie do połowu ostryg, okręty wojenne, galary, szkunery i barkentyny. Z pobliskich piwnicznych drzwi dobiegł Casanovę gwałtowny potok słów w urdu; a czy przypadkiem ci mężczyźni spierający się gwałtownie na środku ulicy nie mówili po rosyjsku?

W końcu doszli do granic miasta - minęli dom, zwałoną stodołę, pole. Tutaj rzeka, nie niepokojona niczym - Poza kilkoma łodziami rybackimi kołysanymi

miarowo Przez fale - błyskała łagodnie w swym biegu. Bryza niosła zapach estuarium, a posępne ciemności rozpraszało Popiskiwanie wodnego ptactwa. Na brzegu, nieopodal wierzby - w miejscu, o którym Rosie zapewne rozmyślała przez całą noc - położyli się i objęli, szepcząc słodkie wyznania w swych odrębnych językach, wędrując po obszarach intymności, zbierając nawzajem swe oddechy, dotykając się jakby w poszukiwaniu tajemnych drzwi. Było zbyt zimno na gwałtowne obnażanie, tak więc pieścili się wzajem przez powlekające ich kwaśne w zapachu materie, powoli ściągając jedną brudną warstwę po drugiej, aż w końcu ich palce dotarły do miękkiego mięszu ludzkiego ciała. Tak właśnie, pomyślał Casanova, rozpustnie dotykając jej członków, robią to bogowie i ptaki - spleceni pod kopułą nieba, wystawieni na wzrok ciekawskich, uniesieni chwilą. On już prawie zapomniał, jakie uczucia przeżywa się w takich sytuacjach.

W jakiś czas później trawa, na której leżeli, wyprostowała się, a wokół zapachniało wiosną. Powiedział o tym Rosie. Nie zrozumiała go, nie zrozumiała jego słów, ale i tak zaśmiała się przyjaźnie, a potem ruszyli w wędrowkę powrotną, w podróż poślubną nędznymi, opustoszałymi ulicami, błogosławieni w swym akcie przez mżawkę sączącą się z chmur przedświt. W noclegowni każde z nich wsunęło się na swe dawne miejsce; Rosie położyła się pomiędzy dwiema uśpionymi dziewczynkami, być może jej siostrami; Casanova ponownie złożył głowę na piersi Jarby, zsynchronizował swój oddech z jego oddechem i - gdy sen brał we władanie jego zmysły - poczuł coś na kształt szczęścia, na kształt litości, na kształt...

Kiedy nadszedł czas wyjścia do pracy, mżawka przeszła w gęsty deszcz - deszcz tak nasycony sadzą, że znaczył ich twarze ciemnymi smugami. Szli jak zwykle stłoczeni, pokaślując i przeklinając, zagłębiając buty w ulicznym błocie. Casanova bardzo żałował, że tego dnia nie było lepszej pogody - gdy w Wenecji strajkowali rybacy, zawsze wybierali piękny dzień, by w trakcie negocjacji urządzić sobie festyn.

Zabawiali przy tym wszystkich tak wspaniale i zyskiwali sobie tyle sympatii, że moi sereniśmi zawsze skłonni byli wyłożyć na nich kilka dukatów więcej. Kawaler zaczął się nawet zastanawiać, czy nie powinni przełożyć akcji na kiedy indziej, gdy jednak łódź przewoziła ich przez rzekę, deszcz nagle przestał padać. Casanova uznał to za dobry omen. Na moście powitał ich pies majstra - rzucił się na swym postronku jak oszalały, z oczami wyłazającymi z orbit, doprowadzony do furii, że znów widzi ową wynędzniałą armię, jak gdyby każdego wieczoru, kiedy robotnicy kończyli pracę, nabierał wiary, iż tym razem znikną z jego życia na zawsze.

Grupy rozdzieliły się na zespoły i rozeszły na stanowiska. Dłonie wyjęte z kieszeni sięgnęły po znajome liny. Nasiliły się przekleństwa. Wszyscy spluwali. Przez moment każdy poczuł się przerażająco nieszczęśliwy; majster wciągnął powietrze w płuca, jakby chciał zassać ich zbiorową wolę. Z drugiego krańca mostu zapewne obserwował ich architekt, chociaż nie można było mieć tej pewności, gdyż w powietrzu przesyconym mętną zawiesiną wilgoci jego twarz zdawała się równie pozbawiona rysów jak jajo.

- Ciągnij!

Pociągnęli za liny dłońmi nabrzmiałymi od krwi nabiegłej z wysiłku; ogniska bólu w ramionach, plecach, nogach pojawiły się dokładnie w tym samym miejscu, gdzie wykwitły zaledwie wczoraj. Kto by pomyślał, że można odczuwać ból nawet we włosach?

- Ciągnij!

Młot uniósł się, zakołysał i opadł. Uderzenie monstrialnego serca. Monstrialny puls miasta.

- Ciągnij

Porca miseria! Czy dziś obciążyli czymś tego kolosa? Czy te psubraty w ogóle ciągnęły za liny? Casanova powiódł po nich groźnym wzrokiem. Czemu unikali jego spojrzenia? Czemu nie patrzyli mu prosto w oczy?

- Ciągnij! Sygnałem miały być dla nich dzwony kościoła Świętej Anny wybijające godzinę ósmą. Wówczas porzucą liny, Casanova, wraz z Jarbą i Kasprem u boku, podejdzie do architekta, by przedstawić mu żądania robotników. Być może,

pomyślał kawaler, czując w ustach taką suchość, jakby mu ktoś nasypał w nie popiołu, architekt poprosi ich, by siedli razem do stołu i wychylili szklaneczkę wina.

- Ciągnij!

Dzisiaj miał wrażenie, że muszą dźwigać na swych linach całe miasto, wrywać je z korzeniami - unosić w górę katedry, więzienia, domy rozpusty... W jego piersiach ozwał się złowrogi, chrapliwy świst, a może raczej dźwięk podobny do szurgotu pieniędzy przesuwanych po zielonym suknie karcianego stołu; czy zaś trzaskanie w jego stawach nie przypominało przypadkiem stukotu koralików z liczydeł krupiera? Dobrze być w czymś dobrym, a on był dobry w grze w karty w czasach, gdy szczęście nigdy go nie opuszczało i mógł robić wszystko bez wysiłku. Był również dobry w szermierce słownej, umiał zawsze zachować zimną krew i trzeźwość sądu; wiedział, kiedy należało spasować. Był dobry w tak wielu rzeczach.

- Ciągnij!

A co robi, jeżeli z jakiegoś powodu dzwony dziś się nie odezwą? W tym parszywym klimacie nie można było określić godziny, kierując się położeniem słońca. Casanova wzrokiem próbował zwrócić na siebie uwagę Jarby, jednak jego sługa, a zarazem współspiskowiec, znajdował się już w delirycznym świecie fizycznego wyczerpania. Jakżeż krucho wyglądał. Kiedy ciągnął za liny, widać było jego zęby, jak u chorego konia.

- Ciągnij!

Czy już nigdy nie uderzą w te dzwony?

- Ciągnij!

- Ciągnij!

W końcu ponura muzyka dzwonów kościoła Świętej Panny rozległa się w ciężkim powietrzu. Casanova zamknął oczy i zaczął liczyć. Pięć, sześć, siedem... siedem czy osiem? Nieważne. Gdy młot opadał na stos, kawaler puścił linę i ruszył naprzód lekkim, osobliwym krokiem, jak człowiek stąpający we śnie. Majster nie spuszczał zeń wzroku, wpatrywał się też w niego pies, a z jego dolnej szczęki zwieszała się błyszcząca strużka śliny. Zaalarmowany nieoczekiwaną ciszą, architekt uniósł wzrok znad planów i zmarszczył brew. W dłoni dzierżył mocno cyrkiel niczym

śmiercionośną broń. Casanova słyszał za swymi plecami kroki, jednak nie śmiał się obejrzeć, by sprawdzić, kto podążył jego śladem; nie śmiał się odwrócić, w obawie że ten dźwięk może się okazać jedynie echem stąpania jego własnych stóp.

Mylne podniósł się zza stołu. Wyglądał jak chłopiec w roli generała, który musi niespodziewanie stawić czoło wynędzniałemu dowódcy oddziałów wroga. Casanova uśmiechnął się życzliwie. Cierpiał na nieuleczalną słabość do młodych ludzi pnących się szybko po szczeblach kariery. Czuł do nich szacunek. Teraz wyciągnął listę żądań spod koszuli i wręczył ją młodemu człowiekowi z ukłonem. Mylne chwycił ją nerwowo, jakby papier pokryty pismem rozmazanym od kropli potu i deszczu mógł poparzyć mu dłoń. Powiódł wzrokiem po swych kopistach, sekretarzu, głównym inżynierze.

- Monsieur - ozwał się Casanova, czując jednocześnie, że przez kark przebiega mu dziwny, zimny dreszcz - jesteś młodym geniuszem, na którego rozkaz powietrze zostaje spięte kamieniem. Ja jestem jedynie skromnym robotnikiem. Jednak te postulaty - praca setek par rąk - są w tak oczywisty sposób słuszne i uzasadnione, że - w co nie wątpię - znajdą zrozumienie. Jeżeli zaś mógł bym dorzucić kilka słów do punktu pierwszego...

Na twarzy architekta pojawił się wyraz zmieszania i gniewu. Jeden ze stojących przy nim mężczyzn - zasłaniając usta dłonią - zaczął mu szeptać coś do ucha.

- Czy mówisz po francusku, monsieur? - spytał Casanova. - A po włosku? Jarba!

Odwrócił się. Tak, wierny Jarba był przy nim. Jego twarz - jak z polerowanego piaskowca - zwracała się w stronę kopuły katedry Świętego Pawła. Zobaczył też Kaspra, choć jego mina sugerowała, że oderwał się jedynie na chwilę od swych obowiązków, by przeprosić za niefortunne zachowanie kompana.

- Paaanie Mylne... - zaczął Casanova raz jeszcze, lecz nagle zrozumiał, że jego wysiłki są bezcelowe. Ci wszyscy ludzie uważali, iż postradał zmysły. Tutaj nic się nie zmieni. Nic. Nigdy.

Architekt przekazał papier majstrowi. Ten z kolei - jakby miał zamiar upleść jeden z owych papierowych łańcuchów, przedstawiających dzieci trzymające się za ręce - zaczął drzeć ich postulaty: najpierw na pół, potem na ćwiartki, ósemki,

szesnastki... W końcu stał w dłoniach papier na miazgę i podsunął psu, który zjadł owe szczątki w nadspodziewanie delikatny sposób - niczym guwernantka posilająca się musem z jabłek.

Zapanowała dziwna cisza; każdy czekał, aż ktoś inny coś powie czy wykona jakiś gest. Mylnie usiadł i odchrząknął. Majster przestał tak mocno ścisnąć w dłoni postronek, do którego uwiązany był pies. Z umysłu Casanovy uleciały nagle wszelkie fortele słowne, wszystkie możliwe wybiegi. W jego głowie dźwięczała teraz jedynie drobna rymowanka, idiotyczna wenecka przyśpiewka, którą zazwyczaj nuciły ładacznie na Calle delie Post:

Alla mattina una massetta

Al dopo dinar una bassetta,

Alla sera una donnetta...

Nagle zdał sobie sprawę z zamieszania za plecami i zaczął się zastanawiać, z zamarłym sercem, czy może przypadkiem pozostali nie postanowili jednak przyłączyć się do niego. Rozległ się głośny krzyk. Dżentelmeni siedzący za stołami stracili wszelkie zainteresowanie jego osobą, podnieśli się i pospieszyli w stronę parapetu, przy którym tłoczyło się już teraz wielu robotników. Casanova poszedł za nimi; wyższy od większości tu obecnych, pochylił się nad ich głowami i zobaczył łódź walczącą z prądem w pobliżu zrujnowanej grobli. W pierwszej chwili nie zrozumiał, co się właściwie stało. Przedstawienie toczyło się bez niego. Jego rola została zapomniana i nikogo nie zdołał olśnić swą kreacją. Dopiero po chwili zauważył, że rzeka, w swej mądrości, postanowiła wydać ludziom ciało zaginionego robotnika. Dwóch wioślarzy wciągało je teraz do łodzi od strony dziobu. Woda pozbawiła nieboszczyka ubrania - jedynie czarna, wełniana skarpeta zwisała jeszcze z jego stopy niczym węgorz, który chciał go pożreć, a nie zdołał.

Rozciągnęli go na plecach na środku pokładu. Ciało topielca błyszczało jakby powleczone glazurą z surowych kurzych białek. Jeden z wioślarzy, strząsnąwszy z

dłoni wodę, zdjął powoli chustkę z szyi i - wahając się przez chwilę, czy przykryć twarz nieboszczyka, czy genitalia - położył ją w końcu na otwartych oczach i lodowatym koralu jego ust. Robotnicy - każdy zgodnie ze swoją wiarą - wymamrotali słowa modlitwy bądź uczynili stosowny znak ręką i śledzili wzrokiem drogę łodzi ku nabrzeżu. Ale nie Casanova. On - potykając się o kłody drewna i kamienie - puścił się niemal biegiem wzdłuż muru ich pleców, dostrzegł bowiem inną łódź - dwieście jardów dalej, w dole rzeki - którą mężczyzna w błękitnym i kobieta w czerwonym płaszczu udawali się na przejażdżkę w kierunku morza. Nie mógł zrozumieć, czemu na ten widok serce ścisnął mu skurcz bólu, jednak gdy niosąca ich łódź, leniwie popychana naprzód przez wiosłarzy, zniknęła za wielkimi okrętami i zagubiła się wśród panującego na rzece ruchu statków, miał wrażenie, że owa kobieta i ów mężczyzna byli ostatnimi ludźmi zamieszkującymi w jego świecie i że gdy znikną na zawsze, maleńka wyspa będąca jego życiem pozostanie już całkiem pusta. Przez moment balansował ciałem na parapecie, jakby chciał się rzucić w fale i gonić wpływ za tamtymi, ale tuż koło niego stał Jarba, a kawaler nie miał pod ręką lunety, by mu ją dać na pamiątkę - nie miał przy sobie nic, co mogłoby stanowić pożegnalny prezent.

11

Wieczorem, w dniu nieudanego strajku, Casanova wysłał Jarbę na Pali Mali po dwie butelki wina. służący powrócił, pachniał mydłem do golenia i świeżą bielizną. Przyniósł koszyk z białym winem, kurczakiem na zimno i makaronem, a także zimowy płaszcz swego pana - ten pośledniejszy - z kołnierzem z lisa stalowymi, rytowanymi guzikami. Casanova zarzucił Płaszcz na ramiona i usiadł razem ze sługą na Savoy tePs) gdzie dochodziły światła z Somerset House. - Płaszcz - ozwał się w końcu kawaler, wytrząsnąwszy z butelki na język ostatnią kroplę wina i wytarłszy 140 Casanova zakochany tłuszcz z warg serwetką - jest bardzo drobnym ustępstwem.

- Tak - potwierdził Jarba, który także miał na sobie płaszcz - bardzo drobnym.
- Oni mnie nie pokonali, Jarba.

- Nie - przyznał sługa.
- Nie mogę wrócić do tamtego życia.
- Nie - zgodził się Jarba - jeszcze nie.

- Nie widzę jednak powodu - ciągnął jego pan, zaglą dając do pustego już kosza - czemu nie mielibyśmy uczynić naszego życia bardziej znośnym. Pozostali są przyzwyczajeni do twardych warunków, mają grubszą skórę. Tymczasem ty i ja... Czy jest jeszcze jakieś wino, mój przyjacielu? Przyniosłeś tylko dwie butelki?

Następnego wieczoru - jako że wbrew oczekiwaniom Casanovy i wbrew jego najpobożniejszym życzeniom nie zostali wyrzuceni z pracy na moście, co było tyleż zadziwiające, co niepokojące, i dawało się jedynie wytłumaczyć niechęcią Kompanii do antagonizowania nastrojów wśród robotników w tak krótkim czasie od chwili znalezienia szczątków jednego z nich - pokrzepili się zawartością kolejnego kosza, tym razem już o wiele wykwintniejszą. Mrożone sery, szarlotka, skromna porcja szampana. Po jedzeniu Jarba ogolił swego pana przy świetle oliwnej lampy wywieszanej na zewnątrz kawiarni Pod Głową Turka. Potem zaś - przepelniony duchem egalitaryzmu, opanowującym go niekiedy po szampanie - Casanova chwycił brzytwę, otarł ją i ogolił swego sługę. Po chwili obaj, już odświeżeni, weszli do kawiarni i siedzieli tam nad filiżankami czekolady, drzemiąc przy kominku aż do północy, kiedy to właściciel zbudził ich delikatnie i oznajmił, że zamykają lokal. Gdy znaleźli się z powrotem w swej noclegowni, służący wyjął z kieszeni świecę, umocował ją w szyjce butelki po szampanie i zapalił. Płomień oświetlił ich twarze ciepłym blaskiem. P° chwili z drugiej kieszeni Jarba wyjął szlafmycę swego pana (z delikatnej, jagnięcej wełny).

- Przyniosłem ją dla pana, monsieur. - Mówiąc to, podał ją kawalerowi, który zgniótł ów przedmiot luksusu w rękach, a po chwili przyłożył do nosa.

- Niech cię Bóg błogosławi, Jarba. Jestem pewien, że nikt nie miałby serca pożalować mi takiej drobnostki.

Jarba starannie przyciął knot świecy.

- Nikt nie mógłby tego panu pożalować, monsieur.

Casanova obrzucił swego sługę bardzo badawczym spojrzeniem.

O dziwo, te drobne przyjemności, na które teraz sobie pozwalali, nie czyniły ich życia znośniejszym. Świeże bułki i kawa nie pomagały im przetrwać rygorów pracy na moście równie dobrze, jak gin i suchary; koszule nocne i czyste prześcieradła nie zapewniały lepszego snu. Teraz, pomimo wyczerpania, leżeli co wieczór trawieni bezsennością, wsłuchując się w jęki rozlegające się w całym domu - jęki, jak na statku dla emigrantów w wyjątkowo burzliwą noc. Inni robotnicy patrzyli na nich z otwartą podejrzliwością. Nawet Rosie robiła wrażenie coraz bardziej zdezorientowanej, gdy uśmiechała się z zakłopotaniem do owego mężczyzny, który na jej oczach ulegał niezwykłej transformacji i nosił łachmany pod płaszczem z futrzanym kołnierzem.

W najbliższą niedzielę, gdy w domu zaległa cisza, Casanova i Jarba oddzielili spory kąt sali przepierzeniem; znalazło się tam miejsce na dwa hamaki i stół. Do swego przedsięwzięcia przekonali właścicielkę złotą monetą, którą stara kobieta żuła przez całą minutę, zanim zrozumiała, że jest prawdziwa. Odźwierny znalazł dla nich krzesła - znalazł je, bez wątplenia, w cudzym salonie - a gdy wieczorem zapalili lampy rozsiewające ciepły blask, maleńkie pomieszczenie nabrało wyglądu dziecinnej kryjówki. Zaprosili Rosie i Kaspra na obiad. Łosoś na zimno połyskiwał na stole jak sztaba srebra i przez chwilę wszyscy we czwórkę stali wokół niego bez słowa, niczym kapłani jakiejś starej wiary, czciciele bóstwa o obfitych kształtach i perłowej barwie. W końcu Jarba zakrzętnął się z nożami wokół półmiska, obnażył rybnie mięso, a Kasper ucałował rękę Casanovy. Rosie przyglądała się temu wszystkiemu w milczeniu, trzymając widelec w dłoni tak, jakby to był jakiś wielki, nieznaną jej °wad - być może nawet niebezpieczny. Kawaler zachęcał ją do jedzenia uśmiechami i aprobującym kiwaniem głową. Był przy tym niezmiernie zaskoczony, że wcześniej nie zauważył, jak brudne - nie, jak obrzydliwie ubabrane - miała ręce. Czyżby doprawdy właśnie tej dziewczyny pożądał nad brzegiem Tamizy? Tego smolucha?

Gdy już wszystko zostało zjedzone i zaległa cisza maćona jedynie burczeniem w brzuchu Kaspra i znaną im już dobrze muzyką pokasływań i jęków dochodzących z za

przepierzenia, kawaler zaproponował grę w karty. Okazało się jednak, że Austriak, choć zarzekał się, iż kiedyś to potrafił - teraz nie mógł sobie przypomnieć ani jednej karcianej gry, natomiast Rosie pokręciła tylko przecząco głową, a jej twarz mieniła się na przemian gniewem i zakłopotaniem. Casanova już wcześniej postanowił, że nie poprosi, by dzieliła z nim hamak tej nocy, tak więc gdy skończyło się już i wino, powstał, żeby odprawić gości. Kasper objął go, łzawym gestem opadając mu na pierś, po czym po omacku zaczął szukać drogi w panujących na zewnątrz ciemnościach. Rosie wstała i obesła stół dookoła. Casanova skłonił się przed nią i w najlepszej angielszczyźnie, na jaką potrafił się zdobyć, życzył jej „dobreeej nocy”. Dopiero zaś gdy wyszła, zapytał Jarbę, co oznaczały słowa, które rzuciła mu na odchodne, a sługa, zawieszając hamaki, odpowiedział mu przez ramię:

- Kim jesteś.
- Kim jesteś?
- Kim jesteś.

Zostali tam jeszcze przez tydzień, chociaż już teraz nie zapraszali na swe uczytyniki nikogo; zresztą i tak nikt by nie przyszedł. Robotnicy nabrali przekonania, że z nich zadrwiono. Ich ciężki trud, jak się okazało, był dla tego nieznajomego jedynie czymś w rodzaju zabawy. Kompania z kolei kazała go śledzić, podejrzewając jakiś podstęp ze strony konkurencyjnego syndykatu i obawiając się, że pewnego bezgwiezdneho wieczoru ów dziwny robotnik wypłynie na rzekę łodzią, by potraktować ich budowlę strzelniczym prochem.

- Czuję się - wyznał Casanova Jarbie, gdy w czasie porannej przerwy siedzieli samotnie oparci o kamienny parapet - jak fałszywy szyling, z którego zaczyna obłazić farba.

Czwartego ranka tego ostatniego tygodnia - pierwszego z prawdziwie zimowym wiatrem, wciskającym się w uszy lodowatymi palcami, który zmusił robotników do owinięcia głów szmatami, a Casanovę do włożenia mongolskiej czapki ze skóry jaka, z nausznikami wiązanyimi! pod brodą - majster odprawił ich z pracy energicznym kiwnięciem kciuka. Nie padły przy tym żadne słowa, I żadne wyjaśnienia czy

pożegnania. Kasper, który stał w grupie czekającej na następną łódź, wlepił wzrok w swe buciory. Rosie była już na moście. Casanova pomachał dłonią w tamtą stronę, przekonany przez moment, że dziewczyna na niego patrzy, a potem odwrócił się, by odejść. Czego właściwie oczekiwał? Czy doprawdy wyobrażał sobie, że uda mu się cichaczem wymknąć własnemu ja? Jego nowe życie było przecież jedynie rodzajem zabawy, balem przebierańców, dziecianną maskaradą, a jednak - gdy Jarba poszedł na Strand, by wynająć jakiś powóz - kawaler zapragnął nagle podbiec szybko do majstra i przekupić go, żeby tylko móc jeszcze raz popłynąć na most. Dopiero gdy przejechali Haymarket, zrozumiał, że ta przygoda dobiegła już końca. Najpierw zamierzał oskarżyć o swą porażkę Jarbę, szybko jednak zdecydował, że tego nie zrobi. Gdy weszli do domu, pani Feaver wyrzuciła swe chude, patykowate ramiona w górę w geście radości. Czy to możliwe, zastanawiał się Casanova, że ta stara kobieta w skrytości ducha | pałała do niego miłością?

12

Przez tydzień po powrocie otaczali się wszelkimi możliwymi luksusami, jakie mogły im zapewnić banknoty i złote monety z sakiewki kawalera. W pokojach na parterze, rozłożone na srebrnych, chłodnych paterach, Pyszniły się kiście winogron wielkie niczym męska pięść, ananasy z oranżerii, morele, które o niezwyklej dla nich porze nabrały rumieńca w cieplarni, oraz łódkowate w kształcie cytryny ze skórką błyszczącą tak wspaniale, że w ciemności można by przy nich czytać książkę. Cały dom wypełniały także kwiaty, w ilościach nieopisanych, hodowane w przedziwnych warunkach przez pewnego dżentelmena, który miał w Kew ogrody, służące mu do celów naukowych. Olbrzymie kielichy owych kwiatów, lekkie, o fantastycznych kolorach i kształtach, zwieszały się teraz w salonie niczym strzępiaste kule powietrza. Tuż za progiem domu tragarze lektyk rozpierali się oparci o ogrodzenie i zaczepiając panny służebne oraz urządzając zawody w pluciu na odległość, czekali - w każdej chwili gotowi obnosić cudzoziemca bądź jego sługę po mieście. Wieczorami na

podjeździe stawał powóz, by ulicami przesączonymi aromatem płonącego koksu i pieczonych kasztanów powieźć ich do jaskini hazardu bądź na kolację. Pieniądze ulatywały z domu Casanovy niczym roje złocistych ciem. Pozbywał się ich z tak gorączkowym pośpiechem, jakby były robactwem wgryzającym się w jego wiotczące mięśnie bądź lisem wyżerającym mu wnętrzności. Gdy Jarba dokonał obliczeń rachunkowych za ostatni miesiąc - osuszył zapisy i przesunął rejestr po stole w stronę swego chlebobawcy - kawaler zamknął księgę z trzaskiem. Jeszcze kilka tygodni takiej rozrzutności, a będzie musiał wrócić do pracy na moście lub znaleźć sobie kolejną podstarzałą damę, spragnioną towarzystwa czarującego oszusta. By ukoić ów szal ekstrawagancji, udali się obaj do tureckiej łaźni signora Dominecettiego w Chelsea. Tutaj kupcy przypraw korzennych i złotouści biskupi wynurzali się z pary niczym jesiotry z akwarium chana, z ciałami demokratycznie obnażonymi. Jedynie twarze, zarumienione i pulchne, zdradzały ich status. Casanova wsparł się plecami o filar. Gorące powietrze zawisło ciężko na jego szyi jak omdlewająca kochanka. Pot - o konsystencji klarowanego masła - wydzielał się wszystkimi porami jego ciała i zmarszczkami twarzy. Spojrzał na swe dłonie - od dzierżenia liny palce miał wciąż lekko przygięte, niAndrew Miller 145 by wielka małpa. Zaczął je rozluźniać, kierując jednocześnie myśli ku Rosie, ciężkiemu młotowi i znojowi fizycznej pracy. Jakaż piękną udałoby się napisać historię, gdyby jednak zdołał się w niej zakochać! Czemuż nie można lokować uczuć wedle własnych upodobań, życzeń i gustów? Czemuż nie można powiedzieć sobie: „Będę kochał tę dziewczynę”, i zapalać do niej najgorętszym afektem? Czemuż miłość nie może być jak, na przykład, obraz - poddający się całkowicie intencji jego twórcy? Czy jak dobra zupa, będąca tworem pracy i talentu kucharza? Czemuż nie można narzucić sercu priorytetów: jestem rozmiłowany w mam'zel X., uwielbiam madame Y. A gdyby mam'zel X. bądź madame Y. okazały się czczą pomyłką, można by wymazać je z serca - tak jak można spalić płótno czy wylać zupę - i zacząć wszystko od nowa. Och, biedna Rosie! On i ona byli jak dwa końce mostu Mylne'a i każdy dzień skazywał ich na większe od siebie oddalenie...

Casanova zamknął oczy. Gdy otworzył je ponownie, przez parę przedzierał się w

jego stronę jakiś człowiek. Co za twarz! Wypisz wymaluj ministrant szykujący się do gwałtu na zakonnicy.

- Mój drogi Seingalt!

- Witam, Goudar. To miejsce, jak sędzę, dostatecznie przypomina piekło, byś czuł się tu jak w domu.

- Jakże się cieszę, że znów mogę cię oglądać wśród nas, kawalerze. Cały świat orzekł, żeś zapewne zbiegł do Francji, by wyzwolić się spod uroku pewnej młodej damy.

- Ty jednak, jak sędzę, jesteś lepiej poinformowany.

- Ja? Cóż, ja słyshałem historię zupełnie niezwykłą. Człowiek tak do ciebie podobny, że mógłby być twym bliźniaczym bratem widziany był przy pracy na...

- Wystarczy! Przebywałem w domu Cornelys. - Cornelys? Nieszczęsna kobieta. Mówi się, że źle skończy. Słyshałem, iż wkrótce zostanie aresztowana za długi i nikt z jej arystokratycznych przyjaciół, o ile mi wiadomo, nie przyjdzie jej w sukurs. - Prawdą jest, że tylko w pewnych określonych porach dnia może opuszczać swój dom bezpiecznie

- Poczytuję ci to za cnotę, Seingalt, żeś nie opuścił jej w tak ciężkich terminach. Jednakże życie pod jej dachem musiało nudzić cię niepomierne. Nie wyglądasz najlepiej.

- Czyżbyś znów zamierzał zabawić się w mego medyka? Zaczynasz mnie przerażać.

- Wiesz przecież, panie, że na twym dobrym samopoczuciu zależy mi jak na moim własnym.

- Jeżeli przyszedłeś, by pożyczyć ode mnie pieniądze, Goudar, musisz wiedzieć, że nie mam tutaj przy sobie ani grosza.

- Pieniądze! Skądże znowu. W rzeczy samej słyshałem, żeś wczorajszego wieczoru Pod Kakaowym Drzewem przegrywał każde rozdanie. To musiało cię sporo kosztować!

- Jeżeli kogoś nie stać na przegraną, nie powinien siadać do kart.

- To fakt. Jednak nikt nie może się narażać na straty niewyobrażalnej wysokości.

- Dobrze wiesz, że nie należę do ludzi, którzy postawiliby całą fortunę na jedną kartę.

- Wiem o tym, mój drogi kawalerze. Obaj mamy szczególny kodeks postępowania. Trzymamy zawsze wysoko uniesioną głowę bez względu na to, co przynosi nam kolejne rozdanie. Ja jednak nie miałem na myśli jedynie pieniędzy. Człowiek może utracić inne rzeczy i w ten sposób sam doprowadzić się do ruiny.

- Cóż na przykład?

- Swą reputację.

- Ach, ten miraż!

- Łut szczęścia.

- Jedynie głupiec na nim polega.

- Swą odwagę?

- Wenecjanin nigdy nie traci ducha.

- Własny rozum.

- Ni rozumu.

- A więc siebie samego. - Jakże człowiek może utracić samego siebie, Goudar?...

Goudar! - Czyżbyś nigdy o tym nie słyszał, monsieur?

Zanim kawaler udał się w stronę domu, Goudar wychylił się przez niewielkie okienko lektyki i zaprosił go na przyjęcie do pani Wells.

- A kto tam będzie? - spytał Casanova, otulając się szczelnie płaszczem, by jak najdłużej cieszyć ciało ciepłem łaźni.

- Nie musisz obawiać się, panie - odparł jego rozmówca ze śmiechem. -

Charpillon nie została zaproszona.

- Wcale o niej nie myślałem.

- Ona za to myśli o panu.

- Czyżby?!

Casanova z trzaskiem zamknął okno swej lektyki, która też zaraz poniosła go w stronę Londynu.

Pani Wells, rajfurka na usługach socjety, słynęła ze swych przyjęć, bankietów i rautów. Tak więc gdy kawalerowie Goudar i Seingalt przybyli na miejsce tuż po dziewiątej, ulica przed jej domem zapchana była powozami. Z tyłu na ławeczkach karet przycupnęli lokaje, którzy prezentowali się nadzwyczaj okazale w wypożyczonym splendorze swych kostiumów i obrzucali się nawzajem obelgami, oczerniając chlebodawców rywali. Wewnątrz kłębił się tłum - elita towarzyska miasta - a raczej, prawdę powiedziawszy - drugi garnitur tej elity. Wszyscy oglądali się teraz przez ramię, czy nie zjawił się przypadkiem ktoś bardziej interesujący, bardziej wpływowy, z kim można by zamienić parę słów. Mężczyźni - z zaczerwienionymi twarzami - byli pijani i znudzeni; kobiety miały na sobie bardzo obszerne krynoliny, którymi co chwila delikatnie się zderzały, a spojrzeniami władały równie zręcznie jak szermierz bronią. W środku owego kłębowiska kwartet muzyczny pocił się nad instrumentami, choć w panującym dokoła zgiełku jego członkowie mogli równie dobrze przeciągać smyczkami po luźnych bawełnianych niciach. Cóż za nieprawdopodobny gwar niezliczonych głosów! Nawet najintymniejsze sekrety trzeba było wyrzeszczeć swemu towarzyszowi do ucha, gdyż inaczej by nie usłyszał. W zasięgu wzroku nie było ani śladu niczego do picia, nie mówiąc już o jedzeniu. Panująca tu duchota sprawiła, że Casanova zaczął tęsknić do łyku chłodnego, pełnego dymu powietrza londyńskiej nocy.

- Po co tutaj przyszliśmy? - wrzasnął Goudarowi do ucha.

- Hmm?

- Czemu tutaj przyszliśmy? Tu nie można oddychać! Nie mówię po angielsku. I pewnie jeszcze w tym tłoku nabawię się jakiejś paskudnej infekcji.

- Rzeczywiście! - odkrzyknął Goudar, niemal zwalony z nóg przez mężczyznę w mundurze, przepychającego się pośród tłumu, by gdzieś zwymiotować. - Wspaniałe przyjęcie!

- Jesteś padalcem rozmiłowanym w pustej paplaninie, Goudar.

- Masz, panie, rację - odparł tamten, skinąwszy bezmyślnie głową w stronę pani

Wells, obserwującej ich obu przez operową lornetkę.

- Gotów byłbyś zostać rajfurem własnej matki - ciągnął Casanova z przyjaznym uśmiechem na ustach. - Twój oddech śmierdzi kozim łajnem. Twój instrument, którym dźgasz kobiety, jest nie większy od glisty...

Tak oto właśnie kawaler de Seingalt zabawiał się na owym przyjęciu - wygłaszając bezczelnie obraźliwe kwestie prosto w twarz temu awanturnikowi, swojemu towarzyszwowi broni, tak bardzo doń podobnemu. I dopiero po kilku minutach, gdy inwencja zaczynała go już opuszczać, przyszło mu do głowy, że Goudar - którego odpowiedzi były dlań jedynie niezrozumiałym bełkotem - mógł się zabawiać w identyczny sposób. Nagle tłum zaczął przesuwać się w kierunku holu. Casanovę i Goudara porwała ludzka fala - zostali wypchnięci tyłem z salonu i wylądowali w końcu u stóp wypolerowanych schodów z wiązowego drewna. Kilka stopni ponad ich głowami Kitty Fischer, córka krawca, niemieckiego imigranta, a jednocześnie najwyżej ceniona młoda londyńska kurtyzana, zjadała banknot podany jej na kawałku chleba z masłem. Casanova rozpoznał ją natychmiast, chociaż nigdy nie zostali sobie formalnie przedstawieni. Banknot opiewał na tysiąc funtów i został wyasygnowany w tym celu przez jej młodego wielbiciela, któremu sprawiało przyjemność obserwowanie młodych kobiet jedzących pieniądze. To właśnie, pomyślał Casanova, oślepiony blaskiem klejnotów na sukni dziewczyny, stanowi kwintesencję tego miasta i tych czasów. Owa dziewczyna, przemieniona w motyla, ochoczo zjadająca gotówkę - gdyby jej nos był zaledwie o cal dłuższy, siedziałaby teraz w pracowni swego ojca i przy mdłym świetle obszywała dziurki do guzików.

- Wciąż jeszcze można się z nią nieźle zabawić - oznajmił Goudar ponad ramieniem Casanovy. - Jak zwykle i za ustaloną cenę. I nie trzeba się silić na żadne ceremonie. Jeżeli, Seingalt, byłbyś zainteresowany...

Cóż to za stworzenia te kurtyzany! Sława owych kobiet opierała się na frapującym, choć tak nieaprobowanym trybie życia. Fetowano je za cechy, których nie tolerowano by u żon czy córek. Casanova potrząsnął głową. On sam miał ich w życiu tak wiele - tych najsłynniejszych i nikomu nieznanym. Jadał z nimi, bawiły go swymi sztuczkami, brał w posiadanie ich ciała w parkach, prywatnych gabinetach

obiadowych, w powozach; jednak w niektóre noce - a te właśnie ostatnio zdarzały mu się coraz częściej - nie mógł udawać, że nie dostrzega oszustwa kryjącego się za ich uśmiechem. Przez mgnienie pomyślał o ojcu Kitty. Ona była wciąż jeszcze bardzo młoda, a teraz zdawała się płonąć w blasku wspaniałej sukni, wzbudzając dwuznaczne zainteresowanie swą osobą. Czy cierpiała? Czy miała dość inteligencji, by rozpaczać? Cóż, on jest już za stary, by popadać w sentymenty z tak błahego powodu. Gdy dziewczyna zjadła tę tak szczególną kanapkę i kwasy jej żołądka zaczęły już trawić gotówkę, przyjęcie dobiegło końca. Teraz wszyscy - niczym duchy przedświt - stłoczyli się u drzwi wejściowych, przywołując lektyki i powozy.

- Dokąd oni się udają? - zainteresował się Casanova, gdy wraz z Goudarem i Jarbą przepychał się, potrącany przez tłum, pomiędzy obitymi żelazem kołami powozów. - A jeśli już o tym mówimy, dokąd my się teraz udajemy?

- Do Malingana! - odkrzyknął Goudar, który wysforował się naprzód, torując sobie drogę wśród ciżby. - Na małą kolacyjkę. Długo tam nie zabawimy!

14

Tutaj wreszcie podano wino. Malingan napełnił kielich kawalera i przyglądał się z uwagą, gdy ten go opróżniał, po czym natychmiast napełnił go raz jeszcze, paplając przy tym bez przerwy, jakby obaj przemierzali pospołu cały świat. Przedstawił także Casanovę dwóm ładnym damom z Liege i ich mężom. Rozmawiali razem przez chwilę o tym mieście, jednak temat wkrótce się wyczerpał. Potem zaczęli mówić o Anglii i naśmiewać się z manier Anglików. Pili wino. Kobiety przebierały palcami po swej biżuterii, bawiły się wachlarzami i falbankami sukien. Nigdy nie słyszały o kawalerze de Seingalt, ale znały, oczywiście, nazwisko Casanova - mówiono o nim nawet w Liege.

Zaproszono towarzystwo do stołu. Nie był on nadzwyczaj wykwintny: trochę kryształów, nieco sreber - w większości zresztą pożyczonych, Malingan bowiem musiał utrzymywać dom i rodzinę jedynie z żołnierskiej renty i ewentualnych

wygranych w karty. Pojawiła się waza zupy rybnej, którą najstarsza córka Malingana, Emilie, równie nieatrakcyjna co książeczka do nabożeństwa, zaczęła nalewać do talerzy. Pijąc coraz więcej wina, na które dzisiejszego wieczoru miał taką ochotę, jakby to był lipiec, kiedy zawsze osuszał wielkie szklanice garbo na weneckiej piazza, Casanova uśmiechał się do wszystkich - nawet do Goudara. Pomyślał, że gdyby iść przez życie bez żadnych oczekiwań, można by napotkać po drodze wiele miłych niespodzianek. Zwrócił się w stronę jednej z młodych mężatek i zdołał nawet, zanim opróżnili talerze, musnąć jej ramię czubkami palców. W trakcie dania mięsnego zamierzał przejść do bardziej zaawansowanych gier pod stołem. Młode żony były stworzone do igraszek. Zgadzały się na bardzo bezpośrednie traktowanie, ponieważ nie musiały już chronić swej panieńskiej cnoty. Ich mężowie z kolei często czuli ulgę na widok takich atencji ze strony innych mężczyzn. Pozwalało im to zająć się pićm, hazardem bądź kochanką. Lub snem - zadziwiające bowiem, jak wielu młodych mężów po sześciu miesiącach życia w stadle przesypiało połowę nocy na krześle przed kominkiem, po czym przemykało się ukradkiem do własnych łóżek, starając się przy tym usilnie nie obudzić żon, by przypadkiem nie oczekiwały z ich strony żadnych dowodów afektu.

Casanova właśnie opisywał swej sąsiadce, najwykwintniejszym językiem, zawilosci japońskich drzeworytów poświęconych sztuce miłosnej, które pokazał mu pewnego razu pewien dżentelmen z Vatomandry, gdy owa młoda dama - oglądając się przez ramię i jednocześnie wydłubując ość ze szpary pomiędzy przednimi zębami, przerwała jego wywody słowami:

- Będziemy musieli zrobić jeszcze jedno miejsce przy stole, monsieur.
- A czemuż to, madame?
- Malingan ma kolejnego gościa - odparła. - Czy znasz ją, panie?

Gdy posiłek dobiegł końca i goście odsunęli się z krzesłami do tyłu - mężczyźni rozpięli guziki spodni w pasie, a służba zaczęła ustawiać stoły do gry w karty - gospodarz podszedł do Casanovy i wyszeptał mu wprost do ucha, iż nie miał najmniejszego pojęcia, doprawdy najmniejszego, że Charpillon zjawi się tego

wieczoru w jego domu.

- Ja w każdym razie jej nie zapraszałem. Mam nadzieję, że mi uwierzysz, monsieur.

- Taka kobieta - odparł Casanova, patrząc na Marie obserwującą go z nadbrzeżu swego kieliszka - nie czeka na zaproszenie. Jest pozbawiona wszelkiej przyzwoitości.

- Mam nadzieję, że nie zechcesz, panie, opuścić nas z tego powodu.

- Nie dam się w ten sposób wypłoszyć - odparł kawaler, zgrzytając zębami. -1 proszę, byś przestał szeptać mi do ucha. Wszyscy mogą odnieść wrażenie, że łączą nas jakieś sekrety.

Malingan się oddalił, jednak uwagi Casanovy nie uszły spojrzenia, jakie wymienił z Ange Goudarem. Przełknął to jednak, wbił wzrok w kolorowe zawijasy na dywanie, a po chwili, usiłując zastosować się do własnej maksymy, że człek winien okazywać pogodną twarz, a zamykać serce, zaczął pomagać w przesuwaniu mebli pod ściany, by gra w karty wreszcie mogła zacząć się na poważnie. Jedna z pań z Liege wszczeła tymczasem lament, że już w przyszłym tygodniu wyruszają do Ostendy, a ona jeszcze nie poznała uroków angielskiej wsi.

- Madame - rzekł Casanova, wykorzystując gorączkowo szansę okazania nowo przybyłej obojętności, porażenia jej swą nonszalancją - takiemu stanowi rzeczy trzeba natychmiast zaradzić. Mam nadzieję, że wolno mi zaproponować, byśmy wybrali się na wycieczkę, en familie, do pałacu Hampton Court? W ten sposób obejrzysz, pani, zarówno wieś, jak i jedną z najpiękniejszych budowli Anglii. Czyż to nie brzmi wspaniale? Warunek jest tylko jeden - jutro albo nigdy.

Mówiąc to, ustawił się w takiej pozycji, by odwróciwszy się do Charpillon plecami, odgrodzić ją jednocześnie od reszty towarzystwa. Jeżeli wcześniej ktoś jeszcze miał jakieś wątpliwości co do jego zdania o tej dziewczynie, teraz już musiał się ich wyzbyć.

- Możecie państwo pozostawić wszystko w moich rękach - ciągnął. - Będę odgrywał rolę honorowego Anglika. Jest nas ośmioro, a więc potrzebujemy dwóch powozów, by cztery osoby mogły rozsiąść się wygodnie w każdym...

- Ależ nas jest dziewięcioro! - dobiegł go głos z tyłu. - Czy może myślałeś, panie,

o wybraniu się na takową wycieczkę beze mnie? Odwrócił się, udając zaskoczenie, że wciąż jeszcze widzi ją w tym pokoju, po czym tonem tak lodowatym, na jaki tylko odważył się zdobyć, odparł: - W rzeczy samej, musiałem się po prostu pomylić w rachunkach. Dziewięć to taka niewygodna liczba. Niemniej z łatwością znajduję rozwiązanie tego problemu. Ja pojedę konno. Ty, pani, możesz zająć me miejsce w powozie.

- Ależ nie ma takiej potrzeby - oznajmiła Charpillon, podchodząc bliżej i wsuwając mu rękę pod ramię. - Usiądę ci na kolanach, panie. Mam nadzieję, że nikt nie uzna tego za niestosowne?

Na wszystkich twarzach pojawiły się wymuszone grzeczne uśmiechy, jakby ta wymiana zdań była jedną z owych nużących gier, którym kochankowie nie potrafią się oprzeć nawet wtedy, gdy są w towarzystwie. Charpillon wpatrywała się w niego bezwstydnie, aż czuł przed nią strach, bał się jej piękności zalewającej jego umysł niczym czarna rzeka. Po chwili wspięła się na palce i pocałowała go w podbródek; wszyscy zaczęli klaskać w dłonie. Kawaler zaś powiedział jedynie:

- Powozy będą gotowe jutro o ósmej.

- Seingalt należy do ludzi, na których zawsze można polegać - skwitował Goudar, po czym podniósł talie kart ze stołu i przetasował biegle jedną ręką. Była to sztuczka, której kawaler nigdy nie potrafił do końca opanować.

15

Kolejna męcząca noc: we śnie ścigali Casanovę po calla mężczyźni w białych długodziobych maskach przykrywających połowę ich twarzy oraz w czarnych płaszczach - długich tabarros - wydających świsty i trzaski niczym skórzaste, diabelskie skrzydła. Gdy przybył do Malingana gdzieś za dziesięć ósma, miał pod oczami sine kręgi i ziemisty smak w ustach.

Zastał towarzystwo przy śniadaniu. Siedzieli rozparci za stołem we wspaniałych nastrojach. Szczególnie Charpillon - do której młode żony odnosiły się teraz w taki

sposób, jakby w ciągu jednej nocy zostały najserdeczniejszymi przyjaciółkami, wyznawszy sobie wszelkie najintymniejsze sekrety - tryskała dobrym humorem. 154 Casanova zakochany Ona też poprowadziła Casanovę do krzesła stojącego tuż obok jej miejsca i zaczęła mu podsuwać kawałki bułki z masłem i łyżki gęstej czekolady. Lecz choć kawaler nie tknął nic od czasu wczorajszej kolacji, nie dał się skusić na jedzenie - miał bowiem pewność, że gdyby tylko zdołała włożyć mu coś do ust, natychmiast by się zadławił. Im Charpillon była dlań czulsza, tym minę miał kwaśniejszą i czuł się coraz gorzej - do tego stopnia, że gdy towarzystwo podniosło się, by zająć miejsca w powozach, ogarnął go lęk, że nie zdoła się ruszyć, że chwycił go jakiś nagły paraliż wywołany szaloną nienawiścią do tej dziewczyny, która teraz wyciągała dłoń w jego stronę. W takim nastroju byłby zdolny do każdej zbrodni, nawet najgorszej. Zajął miejsce w pierwszym powozie, na siedzeniu zwróconym w stronę kierunku jazdy. Po nim wszedł do pojazdu Goudar, następnie zaś jedna z dam z Liege i jej mąż. Charpillon wcisnęła się ostatnia i usiadła na kolanach Casanovy, jedną dłonią w różowej rękawiczce chwytając za skórzaną rączkę ponad drzwiami, drugą kładąc na jego ramieniu niczym maleńkiego prosiaczka.

W niedzielę o tej rannej godzinie ulice miasta były niemal puste. Powozy trzęsły się i turkotały na koleinach w błocie - jeszcze ściętych przymrozkiem nocy. Minęli żebraków trudzących się w drzwiach kościoła nad efektowną ekspozycją swych ran oraz grupę kwaków zdążających do zboru, z twarzami osłoniętymi kapeluszami o niezwykle szerokich rondach. Gwałtowne ruchy powozu podrzucały dziewczyną siedzącą na kolanach Casanovy. Z początku powodowało to jedynie lekkie podrażnienie jego zmysłów, które udawało mu się chwilowo opanować wywoływaniem z pamięci nazwisk wszystkich dożów Wenecji od czasów Pietra Candino IV, gdy jednak dojechali do rogatki w Knightsbridge - a pobierający opłatę za przejazd skłął głośną hałastę bogatych cudzoziemców - kawaler nie posunął się dalej jak do Tomassa Mocenigo, jego ciało zaś płonęło już z podniecenia. Jakże przygnębiające okazało się odkrycie, że człek zdany jest na łaskę brutalnego mechanizmu żądz; jak trudno w takich chwilach mieć o sobie wysokie mniemanie! Im bardziej zmuszał swe ciało do oporu, tym marniejsze zyskiwał rezultaty. Miał

wrażenie, że przez wydrążoną kolumnę kręgosłupa ktoś wdmuchuje mu do środka opary opium. Cospetto! Jakżeż wyboista zrobiła się ta droga! Jeszcze jedna taka dziura, jak poprzednia, a zrzuci Marie z kolan na podłogę i zacznie parzyć się z nią jak pierwszy lepszy spaniel.

Uratował go nagły krwotok z nosa panny Malingan podróżującej w drugim powozie. Pojazdy natychmiast zatrzymano i wszyscy wysypali się na drogę, prostując członki i udzielając dobrych rad cierpiącej. Byli niedaleko od rzeki. Szkuta pod czerwonymi żaglami przepływała właśnie nieopodal, a jej załoga - rozłożona niedbale na ładunku drewna - przypominała znudzoną dziatwę. Casanova przyglądał się, jak statek przesuwiał się po wodzie - wolno, majestatycznie i z tej odległości idealnie bezgłośnie - póki jego umysł nie odzyskał pełnej równowagi. Wówczas odsunął kobiety od niedomagającej Emilie, odjął chusteczkę od jej twarzy i - mając w pamięci starą wiedźmę z wyspy Murano, która uleczyła go niegdyś z chłopięcych krwotoków z nosa - zatrzymał krwawienie sprytnym uciskiem dłoni i kilkoma wymamrotanymi słowami na wpół zapomnianego zaklęcia. Zaraz też dziewczyna mogła wstać; jej suknię znaczyły plamy krwi kształtu i wielkości wiśni.

- Czy możemy już jechać? - zaćwierkała Charpillon. Czekala już przy stopniach prowadzącego powozu, jednak kawaler, upierając się, że teraz musi roztoczyć opiekę nad swą młodą pacjentką, podał dłoń Emilie i szybko wskoczył do drugiego pojazdu. Jakżeż to miłe z jego strony! Gdy już każdy o tym napomknął, zamieniono się miejscami, Malingan wyraził zgodę, by podróżować na koźle obok woźnicy i towarzystwo ponownie wyruszyło w drogę.

- Jakżeś tego dokonał, monsieur? - zainteresowała się jedna z młodych małżonek z Liege.

- Ot tak - odrzekł Casanova, szybko poruszając dłońmi. A po chwili, widząc jak córka Malingana wbija weń cielecy wzrok, wyraźnie oczarowana jego osobą - co było, oczywiście, do przewidzenia - błysnął w jej stronę zębami w uśmiechu, po czym oparł głowę o drewnianą ściankę i natychmiast zasnął. Jeśli chodzi o umiejętność sypiania w powozach, nie było nikogo nad Giacomo Casanovę.

Pomimo fontann, wież zegarowych i herbowych emblematów pałac Hampton Court - w porównaniu z Wersalem - sprawiał wrażenie wiejskiego dworku. Nie otaczał go nimb majestatu, nie wyczuwało się tu potęgi, której egzemplifikacją mogły być jedynie wielkie, pełne malowideł komnaty. Rdzawe cegły tej angielskiej budowli odbijały ciepły blask południowego słońca, a starzy ogrodnicy pchali swe taczki zwirowanymi alejkami w taki sposób, jakby w ogóle nie miało to dla nich znaczenia, czy tego dnia gdziekolwiek dotrą.

Towarzystwo przechadzało się po ogrodach. Casanova szedł niespiesznie za wszystkimi z Charpillon u boku. Początkowo próbował pozbyć się jej kompanii, to przyspieszając, to zwalniając kroku; pochylił się nawet, by wydłubać drobny kamyk z buta, jednak - o dziwo - przez cały ten czas udawało im się prowadzić całkiem przyjemną konwersację. Byli jak aktorzy, którzy - choć wciąż ubrani w kostiumy i w pełnej charakteryzacji wymaganej do swej roli - plotkują przyjaźnie w kulisach, czekając wezwania na scenę. Babka Marie nie miewała się najlepiej, ale odwiedził ją medyk. Jej matka była przygnębiona wydatkami, jakie pochłaniało utrzymanie domu. Właściciel kamienicy to prawdziwa kanalia - znajdował satysfakcję we wzbudzaniu w nich strachu. Oczywiście gdy ciotka rozpocznie sprzedaż balsamu, sprawy przybiorą pomyślniejszy obrót. A jak monsieur znajduje jej nową suknię? Wszak niemalże straciła wzrok nad jej szyciem!

Dzień mijał leniwie na podziwianiu przedmiotów i widoków. O trzeciej zjedli obiad w pobliskiej gospodzie, po czym zdecydowali, że przed powrotem do Londynu obejdą jeszcze raz ogrody. Dróżki zdobiły teraz desenie z wydłużonych cieni strzyżonych w stożek krzewów i gdy Casanova - z nieodłączną Charpillon u boku - przechodził z cienistego miejsca w wiązkę światła i ze światła w mrok cienia, złapał się na niespodziewanym pragnieniu, aby ta ścieżka, która ich teraz wiodła, nigdy nie dobiegła kresu. Wszystkie zmagania ostatnich miesięcy, zagubienie, senne mary, poczucie nieszczęścia trawiące z wolna jego trzewia niczym przewlekła nadkwasota -

zdały się nagle przypadłościami jakiegoś obcego mu człowieka, stały się teraz zupełnie nieistotne. Ważne było jedynie - cóż właściwie takiego? - ależ nic nie było już ważne! Jakie to dziwne. Zastanawiał się, czy Charpillon potrafiłaby zrozumieć jego odczucia, i już miał zabrać się do wyjaśniania jej swego stanu ducha, gdy nagle chwyciła go za ramię, zmusiła do zwolnienia kroku, tak by pozostali zniknęli im niemal z oczu, po czym - kładąc mu palec na ustach, aby nie zadawał jakichkolwiek pytań - pociągnęła go do tyłu, powiodła wzdłuż zachodniej fasady pałacu i przez bramę znaczoną kolumnami wprowadziła do słynnego labiryntu ogrodów Hampton.

Tutaj, pośród zawiłych zakrętów korytarzy wyznaczanych wysokimi żywopłotami, cisza popołudnia wydawała się jeszcze głębsza. Marie chwyciła jego palce w dłoń i była mu za przewodnika - skręcili w lewo, w prawo, znów dwa razy w lewo i jeszcze raz w prawo. Kawaler nie wiedział, jaka rola miała przypaść mu w udziale, Tezeusza czy też Minotaura? Im dalej jednak zanurzali się w labirynt, tym mniej się nad tym zastanawiał; był teraz po prostu mężczyzną wiedzionym za rękę przez kobietę ku zielonemu sercu ogrodu.

W środku labiryntu usiedli na ciepłej ziemi w trójkątnej plamie słonecznego światła. Od kilku minut żadne z nich nie wypowiedziało ani słowa, jakby cisza związała ich niepisany paktem. Casanova po chwili ukląkł tuż przy Charpillon i złożył pocałunek na jej gorącym od rumieńca policzku. Nie opierała mu się - ani teraz, ani nawet wtedy, gdy delikatnie popchnął ją na ziemię i zaczął całować jej usta: z początku delikatnie - jakby śniła i bał się ją obudzić - potem jednak coraz gwałtowniej, zachłanniej, bez żadnych zahamowań, nie bacząc na wymogi miłosnej sztuki, na zachowanie wizerunku mistrza. Całował ją tak, jak pije spragniony człowiek - z butelką zaciśniętą w obu dłoniach, by jak najszybciej ugasić straszliwe pragnienie, zatracając się w słodocy trunku.

Poruszyła się pod nim, westchnęła, wydała z siebie jęk cudowny i przeciągły - tę melodię mimowolnego uniesienia, przyprowadzającą kochankę o szal zmysłów. Casanova zerwał perukę z głowy i rzucił za siebie, w trawę. Suknia i halki Marie były uniesione do wysokości bioder - pienista fala jedwabiu i pachnącego batystu - a z niej - o consolazione! - wychylało się owo cudowne oczko, które, paradoksalnie, roniło

tym więcej łez, im większą od czuwało rozkosz. Teraz przesłaniała je jedynie delikatna mgiełka zmięzchu.

Casanova zaczął wściekle szarpać spodnie. Miał ochotę zedrzeć je z siebie jak najspieszniej, jednym gwałtownym gestem, jakby były uszyte z cienkiej bibułki. Lecz gdy tak walczył z podtrzymującymi je guzikami, zorientował się nagle, że coś nie jest w porządku. Chwila rozproszenia, zapomnienia o toczącej jego ciało burzy zmysłów sprawiła - O zgrozo! - że padł ofiarą takiego wypadku, z jakiego można rozgrzeszyć jedynie nowicjusza. Do tej pory nigdy się nie przejmował podobnymi historiami, zazwyczaj bowiem nie miał nic do stracenia poza wspólną kolacją bądź odrobiną męskiej dumy. Teraz jednakże jego niedyspozycja nabrała rozmiarów prawdziwej katastrofy. Łudząc się jeszcze, że Charpillon nie zorientuje się w sytuacji, desperacko zasypywał ją czułościami: skubał ustami jej ciało, wyciskał na nim pocałunki, niemniej nie upłynęło wiele czasu, gdy zrozumiała, jakie nieszczęście mu się przytrafiło, i usiadła. Nie wyśmiała go - a tego najbardziej się obawiał. Przygładziła włosy i starannie ułożyła suknię, subtelnie lekceważąc jego obecność. Błagał, by mu wybaczyła. Zazwyczaj, normalnie, dziewięćdziesiąt dziewięć razy na sto... Czy mogłaby potraktować to jako hołd złożony jej niezwyklej piękności? Jeśli pozwoli mu na chwilę wytchnienia, on zaraz dojdzie do siebie. I rzeczywiście, niezwykłym wysiłkiem woli znów wprowadził się w stan najwyższego podniecenia, co udowodnił jej po chwili nadzwyczaj dobitnie, gdy kosztem kilku wyrwanych nitek i dwóch złoconych guzików, obnażył w końcu swe lędźwie.

- Myślę - ozwała się Charpillon, obrzucając go bardzo przelotnym spojrzeniem - że powinniśmy odszukać resztę towarzystwa.

Wpatrywał się w nią z niedowierzaniem, z szeroko otwartymi ustami. Gdyby była szybsza, może zdołałaby umknąć, jednak zawahała się przez chwilę i w momencie, gdy się podnosiła, Casanova złapał ją za rękę i pociągnął z powrotem na ziemię.

- Nie podoba mi się sposób, w jaki na mnie patrzysz, monsieur - rzekła. - Myślę, że jak na jeden dzień wystarczająco się natrudziliśmy.

- Czyś postradała zmysły? - wysyczał. - Czy doprawdy wyobrażasz sobie, że

pozwole ci odejść w takiej chwili?

Trzymając ją w mocnym uścisku jedną ręką, drugą sięgnął do kieszeni płaszcza i wyciągnął składany nożyk, małe weneckie cacko zdolne ostatecznie rozwiązać każdy problem. Zębami rozłożył ostrze i przyłożył jej do szyi, aż skaleczył lekko skórę, wytaczając niewielką kroplę krwi. Ale już po chwili, pchany jakimś mrocznym rozkazem płynącym z głębi duszy, przycisnął nóż do własnego gardła.

- Monsieur - odezwała się Charpillon głosem pełnym desperackiej odwagi, dotykając delikatnie szyi - jak się zdaje, nie potrafisz rozstrzygnąć, które z nas powinieneś zamordować w tej sytuacji. Jeśli jednak nie podejmiesz tej decyzji - i to nie podejmiesz jej szybko - zimne po wietrze zabije nas oboje.

Usiłowała się podnieść, ale jej nie puszczał. Chrapliwym głosem, który sam ledwo rozpoznawał jako własny, zaczął rzucać jej w twarz wszelkie najgorsze obelgi, jakie mężczyzna może wymyślić pod adresem kobiety. Zanim skończył, świat zaczął pogrążać się w ciemnościach.

- Muszę być taka, jaka jestem - skwitowała ów wybuch Charpillon.

- Litość mnie ogarnia na twój widok - odparł Casanova, czując się tak wycieńczony, jak jeszcze nigdy w całym swym życiu.

- Ja natomiast lituję się nad panem - oznajmiła. W jej głosie nie było ani cienia gniewu. Spoza labiryntu, z jakiegoś - wydawało się odległego - zakątka parku dobiegły ich nawoływania Malingana. Charpillon, wreszcie się uwalniając, wstała i strzepnęła z sukni źdźbła zwiędłej trawy. Posłała kawalerowi jeszcze jedno nieodgadnione spojrzenie i ruszyła spiesznie ścieżką wijącą się między żywopłotami. Tam, gdzie jeszcze niedawno znajdowała się jej głowa, pojawiły się właśnie pierwsze gwiazdy w diamentowym błękicie wieczoru, a ich zimne, obojętne światło pobłyskiwało nad pałacowymi kominami. Casanova, wciąż na kolanach, napećniały niczym rozparzony buhaj, z ostrzem przyciśniętym kurczowo do gardła, nie mógł - przez kilka długich minut - oderwać od nich wzroku.

- Nie potrafiłeś ukryć swego pożądanego, signore. Sekret twojego uroku stał się przyczyną twej klęski.

- Jestem wdzięczny, signora, że łaskawie przyznajesz, iż posiadałem jakowyś urok.

- Ależ, oczywiście. Historia twego życia to potwierdza. Jednak, jak się zdaje, Charpillon nie uznała twych wdzięków za wystarczające.

- Nigdy nie potrafiłem tego pojąć. Ale muszę to przyznać.

Mówili o wydarzeniach tak odległych. Czyżby Charpillon wiedziała, jak potoczą się wypadki w labiryncie? Czy zawsze umiała wyprzedzić go o krok?

- Oczywiście, signore, byłeś od niej dużo starszy.

- Ech, w tym nie ma nic nadzwyczajnego, signora. To przecież fakt dobrze znany, że młode kobiety gustują w mężczyznach stateczniejszych. I bardziej doświadczonych. Ludziach...

- Bogatszych od innych? - Oczy dziewcząt rozpalają się na widok złota. To najpotężniejszy afrodyzjak. Wolałyby zdecydowanie być bogate niż piękne. - Ja powiedziałabym raczej, signore, że mężczyzna musi mieć do zaoferowania pieniądze, jeżeli nie posiada żadnych innych walorów, a nie chce spędzać wszystkich wieczorów samotnie w domu. A co z ową młodą kobietą, która zjadła banknot?

- Dla niej pieniądze miały większą wartość, gdy były w jej żołądku niż w jej sakiewce.

- A w przypadku Charpillon?

- Ona zachowywała się niczym handlarz zbożem, który w czasach posuchy podnosi nieustannie cenę chleba, dobrze wiedząc, że ludzie będą musieli płacić za towar, którego brakuje, a jest im nieodzowny.

- A czy zastanowiłeś się kiedyś, signore, jak ty postępowałbyś na jej miejscu? Wydaje mi się bowiem, że byliście do siebie podobni niczym dwie krople wody. Lecz powiedz mi, proszę, czy wciąż jeszcze wierzysz, że nie żywiła względem ciebie żadnych tkliwych uczuć?

- Sądzę, iż mnie nienawidziła.

- Pomimo że deklarowała swą miłość?

- I to niejednokrotnie. i

- A ty jej nie wierzyłeś? Wolałeś pokładać swą wiarę w złocie.

Casanova się wzdrygnął. Czyżby w którymś momencie życia zatracił ufność w ludzkie serce?

- Signora - rzekł - przecież ten świat, na którym się rodzimy, to jeden wielki kantor handlowy. My...

Nie mógł jednak skończyć, gdyż jego słowa zatraciły się nagle w gwałtownym napadzie kaszlu - duszącego, każącego walczyć o oddech, dławiącego pienistą śliną. Splunął w chusteczkę, a potem, niczym wiekowa matrona, wepchnął ją do rękawa żakietu.

- Często zastanawiałem się - powiedział po chwili, spoglądając na świecę, by sprawdzić, jak wiele jej jeszcze zostało, a jak dużo już się wypaliło - czy gdy ludzie mówią „miłość”, nie mają przypadkiem na myśli zupełnie różnych rzeczy.

- O nie, signore, dla wszystkich słowo „miłość” oznacza dokładnie to samo. Ale porzuciłeś swą opowieść, a ja bardzo chciałabym się dowiedzieć, jaki nowy plan umyśliłeś, gdy już się wyrwałeś z labiryntu.

Casanova potrząsnął głową.

- Czy rzeczywiście się wyrwałem, signora? Jakże często przyszło mi w to wątpić.

17

Zdarzają się takie chwile - stwierdził Johnson, przybijając ozdobną wiązkę ostrokrzewu nad oknem - gdy rozum nas zawodzi. Wówczas, by tak rzec, przekraczamy szczególną furtkę umysłu, poza którą siła słowa czy sprawność intelektu nie mogą już przyjść nam z pomocą. Nie możemy mieć nadziei, że kiedykolwiek będziemy zdolni w pełni się określić bądź postrzegać inną istotę w całej jej złożoności. To bowiem, monsieur, jest jedynie przywilejem Stwórcy.

Casanova, zaczynający powoli odczuwać narkotyczny wpływ olbrzymich ilości herbaty, którymi poił go gospodarz, pokiwał ponuro głową.

- Skazani więc jesteśmy na działanie nieświadome.

- Nie, monsieur. Podobny sąd byłby zdecydowanie przesadny. W gorący dzień

wypijasz przecież szklanę piwa, boś spragniony. I nie ma w tym żadnej tajemnicy. Wszakże te z naszych działań, których się podejmujemy, mimo że burzą nasze dobre samopoczucie...

- Jak moje uczucie do...

- Właśnie tak. Owe wypadki są dużo trudniejsze do zgłębienia. Stwierdzenie, że to jedynie żądza bliska szaleństwa popycha cię do upartej pogoni za istotą, która - jak twierdzisz - nie przynosi ci nic poza cierpieniem, nie wyjaśnia sprawy. Ona jest przecież tylko jedną spośród wielu młodych dziewcząt, a większość z nich, bez wątpienia, mógłbyś z łatwością przekonać do siebie - czy to za sprawą swego magnetyzmu, czy też sakiewki. Ty jednak, monsieur, jesteś uzależniony w takim samym stopniu od przyjemności, jak i poczucia własnego nieszczęścia.

- W Serenissimie mamy takie powiedzenie: „Człowieka, który nie potrafi pływać, nieodparcie ciągnie do wody”. Ale czy nie może nas ocalić rozum?

- Tak, monsieur - odrzekł jego gospodarz - rozum mógłby tego dokonać, gdybyśmy umieli zeń należycie korzystać. Jednak wiele działań uważanych przez nas za rozumne, wcale takimi nie jest. Ludzie mają samych siebie, chętnie toną w ułudzie. I twój plan, monsieur, by się stać człowiekiem pióra, erudytą, mężem oddającym się mozołowi składania słów - jest właśnie tego przykładem.

- Zawód ten jednak uczynił cię, panie, sławnym i poważanym.

- Przede wszystkim sprawił, że postarzałem się przed swym czasem. Pracowałem jak mrówka i bardzo niewiele zyskałem w zamian.

- Lecz czyż król nie przyznał ci renty?

- Której równowartość, monsieur, ty wydajesz rocznie za ledwie na nowe pantofle.

Casanova wbił wzrok w swoje stopy, po czym wzruszył ramionami.

- Mów, panie, co chcesz, a ja i tak uważam, że to zajęcie zaszczytne, a do tego godne dżentelmena. Jestem o tym nawet całkiem przekonany.

- Podczas gdy wznoszenie mostu - odparł leksykograf figlarnie, odchodząc na krok od okna, by podziwiać efekty swej pracy - jest zajęciem jedynie zaszczytnym?

Opuszczając Pali Mali, aby spędzić święta Bożego Narodzenia z Johnsonem,

kawaler obiecał sobie, że historia z mostem pozostanie, przynajmniej na razie, jego sekretem. Jednak ledwo przekroczył progi domu przy Inner Temple Lane, a już zwierzał się ze swych przeżyć i zanim opróżnili pierwszy dzbanek herbaty, wielki uczoney zdążył poznać całą prawdę. I w dodatku nie wydawał się tą opowieścią zaskoczony choćby w najmniejszym stopniu, jakby od zawsze podejrzewał, że Casanova cierpi na jakąś ukrytą manię oddawania się ciężkiej fizycznej pracy i spania w brudzie. Może pewnego dnia, pomyślał kawaler, nauczę się wreszcie trzymać język za zębami.

Z ulicy poniżej dobiegły ich piskliwe, dziecięce głosy. Kołędnicy! Johnson napchał w kieszenie jabłek i zszedł na dół do dzieci. Casanova zaś pozostał w pokoju, wyciągnął ręce, by je ogrzać przy niewielkim ogniu, po czym odwrócił się i uniósł poły zakietu, rozglądając się przy tym miłośnie po tym przytulnym pomieszczeniu, wypełnionym książkami i papierami, z gdzieśgdzie rzuconą niedbale na wpół zacerowaną skarpetką i stojącymi na stole nieumytymi filiżankami, znaczoneymi ciemnymi kręgami herbaty. Casanova podniósł jedno z wystrzępionych piór leksykografa i powąchał zaostrzoną stosinę. Niech Johnson mówi co chce, ale po ostatnim spotkaniu z Charpillon kawaler odczuwał tak palącą potrzebę odnowy, jak jeszcze nigdy dotąd. Niewątpliwie w umyśle ludzkim, w owym tajemniczym ogniu inteligencji dokonywanie się podobnych transmutacji było możliwe. Most jednak stał się dlań cenną lekcją: podobne odmiany nie mogą następować za gwałtownie. To, co zbyt pośpiesznie wydmuchiowano, musiało szybko pęknąć, a poza tym ręce Casanovy zostały stworzone do posługiwania się instrumentami o wiele bardziej subtelnymi niż oskard czy szpadeł. Jakież to zadziwiające, że wcześniej nie wpadł na ten pomysł! Biorąc pod uwagę estymę, jaką żywił wobec mężczyzn parających się piórem - a także kobiet - ongiś bowiem bywał nierzadkim gościem w salonach madame du Deffand i mademoiselle de L'Espinasse; oraz przyjemność, jaką odczuwał, przerzucając książki w składach księgarskich i bibliotekach pałaców - a także niemal ekstatyczną radość, gdy mógł zasiąść przy oknie z ulubioną czy długo poszukiwaną książką w dłoni...

Najpierw napisze historię Wenecji w czterech lub sześciu tomach, najdłuższy w

dziejach list miłosny adresowany do tego miasta pełnego cudów. Następnie stworzy tragedię, posługując się przy tym szczególnie skomplikowanym metrum - trocheicznym pentametrem? Daktylicznym heksametrem katalektycznym? W końcu zaś ułoży krótką powiastkę filozoficzną na modłę „Kandyda”, tylko oczywiście lepszą, chłuszczącą szaleństwa epoki i wynoszącą zalety prostego życia. Przy takiej pracy człowiek może się zestarzeć, a nawet przy niej skonać, wolny od pogardy dla własnej osoby.

- To zupełnie niezwykle - oznajmił Johnson, stając w drzwiach pokoju - ile nieopisanego szczęścia można przysporzyć, darując komuś jabłko. A teraz, monsieur, muszę ci wybić z głowy Aleję Gryzypiórków. - Aleję Gryzypiórków? - Jest to miejsce, niezbyt stąd odległe, zamieszkiwane przez pismaków i wydawców, a także zdesperowanych poetów. To również określenie pewnego stanu kondycji ludzkiej - rumowiska zawiedzionych marzeń, Patagonii duszy

- Widzę, monsieur, żeś za wszelką cenę postanowił mnie zniechęcić do owej pracy. Możesz, oczywiście, próbować, ale ci się nie uda. Nie można przecież odmawiać człowiekowi prawa do tego, by się zmienić.

- Człowiek, mój drogi kawalerze, jest tym, kim jest. i powinien to wykorzystać jak najlepiej. Przez fakt, że włoży cudzy płaszcz, nie stanie się kimś innym...

- Ależ wręcz przeciwnie, czy z czasem nie stajemy się takimi, jakimi widzi nas świat? Kiedy mężczyzna chwyta w rękę muszkiet i idzie na wojnę, czyż nie zostaje żołnierzem, bez względu na to, kim był wcześniej? A czy kobietę, która nagle decyduje się sprzedawać swe ciało za szylingi na ulicy - choćby przez całe życie była najcnotliwszą w całym chrześcijańskim świecie - można nazwać inaczej niż ladacznicą?

- Oczywiście, zdolniśmy ulegać deprawacji, ale to nie jest zmiana. Musisz wiedzieć, monsieur, że bez względu na to, jak bardzo postanowimy się pogrążyć w nieprawości, nasza prawdziwa natura zawsze wypłynie na wierzch.

- Jak trup wrzucony do kanału? Czy ta myśl nie przygnębia cię, panie? Cóż za impotencja człowieczej natury! Czy nie przyznasz nam, ludziom, choć odrobiny wolności?

- Wolności do tworzenia ułudy? Nie pokładałbym w niej żadnej wartości.

- To rada przyprawiająca o rozpacz.

- To nie jest rada w ogóle, lecz stwierdzenie prostego faktu. Im szybciej zadowolisz się, panie, własną osobą, tym szybciej osiągniesz spokój ducha, którego tak pragniesz.

- Na to mogę tylko powiedzieć, monsieur, żeś nie jest Wenecjaninem - odparł Casanova nieco gniewnym tonem.

- To prawda, i zapewne nim nie zostanę, posługując się jedynie twym językiem, panie, czy podróżując burchiello. Ale dość już o tym. Dziś mamy wigilię Bożego Narodzenia. Chciałbym, abyś poznał pewnego człowieka. Mieszka on w parafii Świętego Egidiusza.

18

Kiedy znaleźli się na ulicy, Casanova zaczął żałować, że nie założył tego dnia dodatkowej pary wełnianych pończoch, bo choć go zapewniano - i to zapewniano z radością - że zrobi się jeszcze dużo zimniej i dużo nieprzyjemniej, dla niego już teraz pogoda była wystarczająco przykra. Kroczył wąskimi alejkami otaczającymi Tempie Lane, postępując za Johnsonem, bez ustanku wyrzucającym z siebie słowa prosto w podmuchy wiatru. Wicher natomiast zamiatał głoskami wokół głowy Casanovy niczym drobnymi skrawkami papieru, których on nie potrafił złowić.

Pojechali łodzią do Westminster, po czym skręcili na północ, by wyjść z ulic zabudowanych wspaniałymi domami - przysadzistymi, z bogatym kamiennym szamerunkiem, przypominającymi usadzonych rzędem emerytowanych generałów - wprost w wąskie zaułki biedy, wśród których wielki człowiek-cień (bo takiego wyglądu nabrał znowu w tym ponurym świetle) odnajdował wszystkie ścieżki z niezawodną pewnością siebie. Czy to możliwe, zastanawiał się Casanova, że wielki leksykograf był swego czasu zmuszony do poznania owych zakazanych miejsc? Co - gdyby udało się przedrzeć w głąb czasu - można by w jego życiu znaleźć?

Prawdopodobnie kilku Johnsonów, sprasowanych ciasno i ułożonych jeden na drugim, jak wiekowe warstwy starożytnych opuszczonych miast.

- Jeszcze całkiem niedawno - zagrzmiał człowiek-cień - w co drugim domu w tej dzielnicy pędzono gin. Do tej pory roi się tu od zbójów i rzezimieszków, pospolitych morderców i zawodowych krzywoprzysięzców. Można ich łatwo poznać po chełpliwym napuszeniu i wymyślnych kamizelkach.

- Czy dżentelmen, którego mamy odwiedzić, jest jednym z nich?

- Nie, monsieur. Jedynie mieszka w ich sąsiedztwie. Ten, którego mamy odwiedzić, nie posiada żadnej kamizelki...

Weszli do jednego z najuboższych domów i po schodach wspięli się na poddasze. Johnson zapukał do drzwi. Otworzyła mu kobieta trzymająca ogarek świecy w dłoni, a na ręku niemowlę o twarzączce pomarszczonej jak kulka zmiętego papieru.

Johnson zaczął z nią rozmawiać. Casanova usłyszał swe nazwisko, więc się skłonił; kobieta zaś spojrzała nań tak, jakby był wielkim wezyrem Damaszku. Johnson położył monetę na parapecie, tuż obok sznura z rozwieszonym praniem, które parowało, wydzielając nieprzyjemny zapach w mdłym ciepłe bijącym od niewielkiego ognia. Kobieta zaczęła szlochać. Niemowlę się przebudziło i natychmiast jej zawtórowało. Na łózkach, widocznych niewyraźnie w panującym w izbie mroku, poruszyły się inne dzieci. Dłonie Johnsona, niczym niezdarnie trzepoczące ómy, zawisły nad ich główkami w uspokajającym geście.

- Pan Pattison - oznajmił człowiek-cień, gdy znaleźli się z powrotem na schodach - jest w swym klubie.

- I trudno mu się dziwić - stwierdził Casanova. Zawrócili na wschód, przeszli Holbourne Street, Smithfield i Cheapside, przemierzając ramię w ramię serce tego miasta - Miasta Upiornej Nocy. W plątaninie ulic pod mostem Johnson przystanął, rozejrzał się, wciągnął nosem ciężkie powietrze, a po chwili popchnął potężną bramę wiodącą na podwórze przed jedną z wytwórni szkła.

- Panie Pattison!

Weszli na tyły niewielkiej manufaktury, zarzucone hałdami popiołów, ponad którymi kominy tej wytwórni - odcinające się głęboką czernią od tła bezgwieздnego

nieba - wciąż wypływały w górę opalizujące pióropusze dymu. Poza tym miejsce owo wydawało się opuszczone. Johnson zawołał raz jeszcze i wówczas z popiołów wyłoniła się ludzka głowa niczym foka z szarych odmętów morza.

- Czy to - spytał szeptem Casanova - jest jego klub?

- Jeden z wielu - odrzekł człowiek-cień i przedstawił kawalera panu Pattisonowi, który - objawiwszy im się niby upiór - strzepywał teraz z rękawów siwy popiół.

- Enchante - powiedział Pattison w taki sposób, jak by co dzień spotykał w tym miejscu cudzoziemców podszywających się pod angielskich dżentelmenów.

We trzech ruszyli ulicą; policzki im siekły ostre igły lodowatego deszczu. W zaułkach hulał wiatr. Była to bezlitosna okolica, pustkowie nierozświetlone ani jedną świąteczną lampką. Weszli do taniego szynku na rogu jakiejś bezimiennej ulicy i zajęli stół w sali na piętrze. Tam, na podłodze zaśmieconej kogucimi piórami, widniała plama krwi jeszcze nie do końca zakrzepłej. Johnson, przekonawszy się, że w owym lokalu nie ma nic do picia poza mocnym piwem, zamówił trzy szklanki tego napoju przyrządzonego na gorąco z cukrem i wódką oraz talerz gotowanego grochu dla pana Pattisona, który - gdy tylko przyniesiono strawę - zaczął wkładać kuleczki do ust trzęsącą się ręką, połykając wszystko bez zucia. W końcu się zadławił i wówczas kilka szarawych ziaren wypadło mu z ust, potoczyło się po stole i spadło wprost na kolana Casanovy. Na twarzy Pattisona pojawił się taki wyraz, że kawaler poczuł się w obowiązku zwrócić je właścicielowi. Jedzący podziękował i ponownie włożył ziarna do ust - tym razem połknął je już bez przeszkód.

- Ów dżentelmen - powiedział Johnson, wskazując na Casanovę - zapragnął nagle oddać się naszej profesji. I co pan na to, panie Pattison? Czy ten zawód potraktował pana należycie? Na twarzy Pattisona pojawił się uśmiech. Była to twarz wciąż młoda. Jej szlachetność zniweczyły co prawda głód i choroby, jednak nadal jaśniała jakąś szaloną wrażliwością - wydawało się, że tego człowieka mógłby wzruszyć nawet trzepot motyli skrzydeł. Nie była to jednak z pewnością twarz mężczyzny, który obejrzy czterdziestą wiosnę własnego życia. Wyrzucając z siebie słowa z astmatyczną zadyszką, Pattison odrzekł:

- Mój przypadek jest niemalże beznadziejny, jak pan dobrze wie, panie Johnson.

Jestem tym, kim jestem, i bywają dni, gdy ze wstydu nie mogę spojrzeć żonie w oczy. Możecie się, panowie, zastanawiać, czemu zgadza się dzielić moją biedę. Cóż, ta dobra dusza rozumie, że muszę podążać za muzą, że muszę żyć i umrzeć dla poezji.

- Gdy Pattison przybył do tego miasta - zaczął wyjaśniać Johnson - miał ze sobą dwa lub trzy niezwykle obiecujące poematy i dzięki nim zebrał subskrypcję na tom swoich dzieł...

- Których - wtrącił poeta, opróżniając szklanekę i rozglądając się wkoło za usługującym chłopakiem - do tej chwili jeszcze nie napisałem. Tworzę powoli. Nie mogę liczyć na więcej niż jedną czy dwie linijki wiersza w miesiącu.

- To bardzo niewiele - zauważył Casanova - gdy trzeba wyżywić rodzinę.

- Gdy on mówi o powolnym pisaniu - wyjaśnił Johnson - myśli jedynie o wersach doskonałych.

- Pan Johnson ma rację. Satyry na damy z towarzystwa noszące w łonie dzieci swych lokajczyków czy ballady o życiu nieszczęśliwych czekających na egzekucję w Tyburn mogą komponować w tempie, które by cię, monsieur, zadziwiło. Moim najlepszym pomysłem stało się śledzenie stanu zdrowia żon bogatych i kochających mężów. Jeśli któraś z nich zachorowała, czekałem na rozwój wypadków. Gdy wychodziła z niemocy, pisałem hymn dziękczynny, za który niekiedy dostawałem gwineę. Gdy umierała, tworzyłem elegię. Pewnego razu otrzymałem nawet pięć gwinei za strofy na cześć kobiety, która zmarła, wydając na świat dziecię, chociaż musiałem wspomnieć w niej także o niemowlęciu. Obecnie jednak mam wielu konkurentów. Na dodatek zaczęto uważać, że poeta pod drzwiami sprowadza na dom nieszczęście, więc traktują nas tak, jakbyśmy byli stadem sępów...

- Jeśli o mnie chodzi - odezwał się Johnson, gdy pili już trzecią kolejkę - na myśl o przyłożeniu pióra do papieru ogarniają mnie takie mdłości, jakbym zjadł właśnie zepsutą ostrygę. Spędzam więc cały poranek na obserwowaniu gołębi trzepoczących się na dachu mego sąsiada bądź na rozmowach z panną Williams, a gdy w końcu siadam, by coś naskrobać na papierze, palce zaczynają mnie palić, jakbym wsadził je do wrzątku. Przerywam więc, zaczynam ostrzyć pióra, biorę w rękę książkę, którą zostawiłem otwartą na mym stole poprzedniego wieczoru. Mówię sobie, że

wystarczy, bym napisał tylko jedno lub dwa zdania, choć pojedyncze słowo, lecz gdy zaczynam pracę, okazuje się, że inkaust jest zbyt gęsty lub zbyt rozwodniony, więc muszę przerwać, by zająć się jego spreparowaniem bądź wysłać Francisca do Darleya po nową porcję. W końcu jednak udaje mi się rzucić na papier słowo i by nie pozostało osamotnione, dorzucam następne dla dotrzymania mu kompanii. Mam więc teraz dwa słowa, które - gdy patrzę na nie spod przymrużonych powiek - przypominają dwa dromadery brnące przez samotne przestrzenie białego piasku. I nie byłoby to jeszcze najgorsze, gdyby nie fakt, iż jedno z nich wydaje mi się naraz tak kulawe, że muszę je szybko przekreślić.

- O Boże! - rzekł Pattison, zacierając z uciechy dłonie - a więc masz, panie, tylko jedno słowo, a jedno samotne słowo - to widok żalony.

- W rzeczy samej, mój panie, wbijam zatem czubek pióra w naczynie z inkaustem tak, jakby to było czarne serce demona, który - jakkolwiek mu na imię - skazuje mnie na podobne katusze. Mam ochotę nabrać inkaustu w usta i rozpryskać go po całym arkuszu. Ręka przy tym trzęsie mi się tak gwałtownie, że trzecie słowo jest już zgoła do niczego niepodobne - może najwyżej przypomina rozgnieczonego pajaka. Wbijam w nie wzrok, pocieram szyję - i w ten sposób brudzę kołnierzyk koszuli pra nej za ledwie przed miesiącem. Marzę już wtedy o tym jedynie, by ktoś zapukał do mych drzwi lub dzieci na dziedzińcu wszczyły tak potężny harmider, abym musiał zejść na dół i je rozgonić. Gdyby naraz miał się zjawić w moim domu urzędnik sądowy i zabrać mnie z powodu jakiegoś dawno zapomnianego długu, poczułbym o wiele większą ulgę niż strach. Ale, niestety, nikt nie przychodzi.

- Czy będę miał rację, gdy powiem - wtrącił poeta - że następną rzeczą, która przydarza ci się, panie, jest pogrążenie się w objęciach Morfeusza?

- A więc i ty to znasz. Tak, zapadam w sen niezwykle głęboki, z głową złożoną na pergaminie, a gdy zegar wybija godzinę, otwieram oczy i widzę żniwo mej porannej pracy: videlicet jedno słowo niemal czytelne, drugie przekreślone, a trzecie może równie dobrze być w języku uzbeckim czy irokeskim. Przez następne chwile zabawiam się tworzeniem kilku innych słów w owym wyimaginowanym języku, po czym nie jestem w stanie pracować dalej bez pokrzepienia się dzbankiem herbaty i

czymś słodkim ze spiżarni. W końcu cała ta żalosna historia rozpoczyna się od nowa, aż wreszcie zjawia się umyślny z domu wydawniczego pana Millera z surowym nakazem, by nie opuszczać mych progów bez obiecanego manuskryptu.

- I co wówczas? - spytał Casanova, zdeprimowany tak trywialnym, nieheroicznym portretem człowieka pióra.

- Wówczas - kontynuował Johnson - częstuję chłopaka ciastem, biorę czysty arkusz papieru, pracuję bez trudności przez godzinę i wykonuję pracę. Na tym właśnie, monsieur, polega pisanie.

W godzinie przedświtów już w dzień Bożego Narodzenia powrócili na zaplecze manufaktury. Poeta, który w żołądku miał jedynie talerz grochu, dla obrony przed działaniem wielkich ilości gorącego, słodkiego trunku zwisał bezwładnie na ramionach Johnsona i Casanovy, mamrocząc i wyśpiewując coś po grecku, kłapiąc podszwami rozpadających się butów, jakby to były rekiny-zabawki. Na dziedzińcu położyli go z powrotem na hałdzie. Johnson zaraz też zaczął pokazywać Casanovie, jak dokopać się do ciepłego popiołu, po czym garściami owego szarego puchu, tych szarych płatków, pokryli drżące ciało poety, aż w końcu jedynie jego twarz, ledwie widoczna w mroku, sterczała na wierzchu niczym wyrzucony na śmietnik obiadowy talerz.

- Do widzenia, Pattison.

- Wesołych Świąt, panowie. A stąpajcie ostrożnie w powrotnej drodze. Te popioły są zamieszkiwane przez kilku młodych ludzi obdarzonych prawdziwym geniuszem.

- Będziemy uważać. Jeszcze raz dobrej nocy!

- Niech pana Bóg błogosławi, panie Johnson. Obawiam się już więcej mówić, by popioły nie zasypały mi ust.

- Tego przypadek - stwierdził kawaler, gdy w deszczu przemierzali Fleet Street - jest wyjątkowo skrajny. Czy nie wolałby być w domu w taką pogodę?

- Nie, monsieur - odparł Johnson, śmiało stawiać czoło zimnu i wichurze - on przywykł do tych warunków. W ciepłym popiele będzie mu wygodnie. Z mojego doświadczenia wiem, że poeci są wytrzymalsi od mistrzów boksu. Trzeba wiele, by zabić doskonałego poetę, a nawet poetę pośledniego.

- Najbardziej zdumiewa mnie fakt - rzekł Casanova - że nie gnębią go żadne wątplenia. To zaprzecza zdrowemu rozsądkowi, by człowiek nieodnoszący żadnych sukcesów był tak pewny siebie.

- Prawda - zgodził się Johnson. - Są też i tacy, którzy uważają, że tego człowieka należałoby zamknąć w przybytku dla szaleńców.

- Być może - zgodził się Casanova, patrząc ze ściśniętym sercem w okno nieprzesłonięte okiennicą, w którym dojrzał gromadkę dzieci, zbyt podnieconych, by zasnąć, zebraną u kolan wyrozumiałych rodziców. - Niemniej ja i tak nazwałbym go człowiekiem szczęśliwym.

Gdy przybyli na Tempie Lane, Johnson zabrał się do przygotowania kolejnego imbryka herbaty. Wrzucił podpałkę do kominka, a potem, gdy drewno zajęło się już płomieniem, dołożył bryłki węgla, wyjmując je z worka krótkimi, obrzękłymi palcami. Francis Barber spał zwinięty na ławeczce w okiennej niszy, a kot leksykografa, zwierzę wielkości sakwy domokrażnego handlarza, rozciągnął się na najlepszym fotelu i wpatrywał w Casanovę z niezwykłą intensywnością swymi smolistymi oczami, wysuwając przy tym z pyska koniuszek różowego języka. Tuż po przyjściu zdjęli przemoczone deszczem okrycia. Casanova miał teraz na sobie jeden ze starych żakietów gospodarza, z szorstkiej wełny, który wisiał na nim w taki sposób, że kawaler czuł się bardziej czymś owinięty niż odziany. Ponad kominkiem stary zegar tykał nierytmicznie. Był to dźwięk nieustannie dystansującego ich czasu.

- Mam nadzieję - odezwał się Johnson - że już do tej chwili porzuciłeś, panie, swe zgubne ambicje.

- Charpillon?

- Miałem na myśli ułudy bardziej intelektualne.

- Ależ bynajmniej - odparł Casanova, chwytając kątem oka swe odbicie w imbryku, rozmyte przez gorącą, wypukłą powierzchnię srebrnego naczynia. Prawdę powiedziawszy, w miarę jak upływał ów wieczór, było mu coraz trudniej odnaleźć siebie w jakiegokolwiek roli. Ogień, kot, deszcz - wszystkie te zjawiska i rzeczy wydały się o wiele bardziej realne, jak gdyby posiadały większą siłę grawitacji niż on. Ten kot, pomyślał kawaler, wyczuwa me trudne położenie i nim się delektuje.

- No dobrze - odezwał się po chwili Johnson, z głową wewnątrz wielkiej szafy, stojącej tuż za drzwiami, w której odbijał się echem jego głos. - Zamierzałem podarować ci to, panie, rankiem, ale myślę, że ranek już jest dostatecznie blisko.

Powrócił do stołu, trzymając w dłoniach niewielką paczkę, zawiniętą w drukarski papier i przewiazaną wyblakłą wstążką.

- To jedno z moich dziełek - wyjaśnił - opisujące, jak syn cesarza Abisynii, wraz ze swą siostrą Nekayah i pewnym starym filozofem, goni za sensem życia, przeżywając po drodze różnorakie przygody.

- A czy znajduje ów sens?

- Nie, monsieur. Ale myślę, że to książka bardzo dla pana odpowiednia.

Napisałem ją w ciągu jednego tygodnia, pracując wieczorami, by w ten sposób pokryć kosztą pogrzebu mej matki.

- Pogrzebałeś, panie, matkę dzięki książce! - wykrzyknął Casanova, żałując natychmiast, że nie wyraził się oględniej. Ale leksykograf pokiwał tylko głową.

- Tak jest. Dzięki książce.

Casanova poczuł się zobowiązany do odwzajemnienia prezentu. Cóż za niezręczna sytuacja! Czemu Jarba nie przypomniał mu o tym zwyczaju? Może jednak znajdzie coś odpowiedniego przy sobie. Srebrny guzik od płaszczu lub... Przeprosił swego gospodarza i udał się na górę, do sypialni pana domu, gdzie rozwieszony na oparciu krzesła suszył się jego żakiet. Ostatni raz, gdy miał go na sobie... nie, raczej nie będzie myślał o tym ostatnim razie. Włożył rękę do lewej kieszeni, pogmerał w jej czeluściach i wyciągnął małą zakorkowaną buteleczkę. Kwaśno uśmiechnął się na jej widok, po czym zabrał ją do salonu.

- Jest to - wyjaśnił, gdy Johnson bezradnie wślepiał się w nalepkę - kordiał, panaceum na wszelkie niedomagania, bardzo słynny tonik, a zwie się balsam życia. Gospodarz serdecznie uściskał mu dłoń.

- Mój drogi kawalerze, jakże to miło z twojej strony. Spozstrzegłeś, że me zdrowie nie jest już w najlepszym stanie i przyniosłeś mi remedium, które z pomocą Bożą zmniejszy me dolegliwości.

- Czyż nie obiecałem, panie, że przyniosę ci coś takiego, gdy spotkaliśmy się za pierwszym razem?

- Rzeczywiście, monsieur. Rzeczywiście, obiecałem.

Napili się balsamu

- Johnson nalegał, by Casanova z nim razem spożył ów cudowny specyfik, co ten niechętnie uczynił - po czym weszli po schodach na górę, by udać się na spoczynek. Pan domu szedł pierwszy, oświetlając drogę świecą zatknietą w słoiku. W sypialni leksykografa jeszcze raz uściskali sobie dłonie, zdjęli wierzchnie okrycia, po czym położyli się do jednego łóżka. Johnson odmówił modlitwy, przeprosiwszy uprzednio, że będzie je wygłaszał po angielsku, wyjaśniając przy tym, że byłoby to niestosowne, ba, nawet niezbyt patriotyczne, gdyby anglikanin modlił się po francusku. Casanova się nie pomodlił. Leżał, ignorując mamrotanie swego towarzysza, i wsłuchiwał się w dudnienie kropli deszczu o szyby, o bruk ulicy - w ową kojącą, głęboką kantylenę. Johnson wypowiedział swe ostatnie „amen” i dmuchnięciem zagasił świecę. Teraz pokój oświetlała jedynie ciepła poświata dogasających w kominku węgli i obaj mężczyźni, ułożeni wygodnie pod kołdrami, zaczęli rozmowę: najpierw, krótko, mówili o polityce, potem, o wiele dłużej, o kobietach. Johnson opowiadał o swej żonie, która, jak przyznał, nie należała do urodziwych. Kobieta owa, wycierpiawszy razem z nim za młodu upokorzenia przypadające w udziale poetom („Sam widziałeś dziś, monsieur, jak wygląda takie życie”), w późniejszych latach oddawała się jedynie leżeniu na kanapie, popijaniu trunków i lekturze romansów, czego zresztą wielki leksykograf nie miał jej zupełnie za złe. - Nie byłem wspaniałym kochankiem, monsieur. Nie należałem do mężczyzn, których niewiasty chętnie odprowadzają aż na ulicę. Teraz się wstydzę, gdy myślę o tym, jakim byłem mężem. To tak, jakbym nosił

w kieszeni małe wydmuszki i stale je zgniatał z powodu własnej niezręczności. Prawda jest taka, że nigdy nie umiałem prowadzić konwersacji z kobietami - rozmawiałem z nimi tak samo, jak z mężczyznami. Ale ty, monsieur, ty, jak się zdaje, zdołałeś zgłębić wszelkie tajniki kobiecej dumy. Powiedz mi więc, co, wedle twojej wiedzy, może zapewnić mężczyźnie zainteresowanie kobiet?

Casanova wziął głęboki oddech. Własne powodzenie wśród płci pięknej wydało mu się naraz dość tajemnicze; prawdopodobnie wynikało z jego szczególnej niewinności. Nigdy - a na pewno nigdy w czasach swej młodości - nie namyślał się, co powinien zrobić, a po prostu to robił, bez zastanowienia, instynktownie, tak jak się sięga ręką do miski pełnej brzoskwiń. Znał, oczywiście, rozmaite sztuczki - muszki hiszpańskie, opiaty, liście kakaowca. Często wiele można było zyskać śmiechem i, oczywiście, niczego nie udawało się zdobyć bez odrobiny brawury. Przebiegł w myślach historię swych podbojów miłosnych: na paradnym placu przeszłości stały uformowane w wielobarwne oddziały kobiety jego życia, ale ich liczba go nie ucieszyła. Nie była świadectwem jego atrakcyjności, jego męskiej potencji czy perfekcyjnej techniki, ale raczej - czegoś w rodzaju obopólnej ślepoty. Czyż nie byłby teraz szczęśliwszy, gdyby ze swej pamięci mógł wydobyć zaledwie jedną albo dwie kobiety, za to prawdziwie mu bliskie i szczerze kochane? Jego triumfy były jednocześnie źródłem porażki. Ów leksykograf, ze swymi wspomnieniami o zwyczajnej żonie i niezręcznych miłosnych uniesieniach, miał do opowiedzenia o wiele ciekawszą historię.

- Monsieur - odezwał się po tej chwili przemyśleń, Przedestylowawszy swe doświadczenia tak, by w rezultacie zyskać kielich czystej mądrości - cała prawda zawiera się w owym starym powiedzeniu: „Co dobre dla Fatimy, zgubne dla jej siostry”.

- A więc sztuka polega na rozróżnieniu, z którą z nich mamy do czynienia?

- Właśnie - odrzekł Casanova, podśmiewając się pod nosem z próżności tego świata; a potem gawędzili jeszcze w tym duchu przez chwilę, chociaż teraz mówili już w zasadzie do samych siebie. Była to cicha, senna rozmowa, której słowa zlewały się niemal w jedno z wyrazistymi samogłoskami mowy deszczu, aż w końcu

działanie syropowatego panaceum pań Augspurger odcięło ich zupełnie od rzeczywistości. Coś miękkiego i pokaźnego wylądowało na łóżku i pokręciwszy się, zdecydowało ostatecznie lec na stopach Casanovy.

- To tylko Hodge - wyjaśnił człowiek-cień. - Czy widziałeś kiedy, panie, śmiejącego się kota? Ja onegdaj widziałem psa...

Jednak Casanova, przysunąwszy się bliżej do ojcowskiego ciepła swego towarzysza łoża, z umysłem przeniesionym do innego wymiaru przez narkotyczny balsam, zmęczenie i muzykę deszczu, słyszał już tylko - jakby dochodzące z niezmierniej oddali - swe własne chrapanie.

Obudził się wcześniej - o wiele za wcześniej - w owej porannej godzinie, która wita wszystkie udęczone umysły; w porze szarości, gdy tęsknota za pociechą i świadomość jej braku osiągają niemal idealną równowagę. Przed chwilą śnił o chirurgu Salomonie Kefalidzie, który operował go w Augsburgu, by uleczyć z choroby, jaką się zaraził od La Renaud. W owym śnie, który teraz wracał doń strzępami pamięci, chirurg obłupił go ze skóry, odsłaniając ciało lepkie i włókniste jak miąższ niedojrzałego daktyla, jak poczwarka zanurzona w galaretowatej mazi, z której czerpie siły żywotne; ale także jak coś zgniłego, coś dotkniętego już rozkładem. Jakżeż niepokojące są owe symetrie natury! Jak, na przykład, trudno człowiekowi odróżnić jęki rozkoszy od jęków bólu... Trzask deski w podłodze; lekko powłóczące, skradające się kroki stóp w pończochach. Kawaler uchylił powieki pierwszy raz tego dnia. W świetle brzasku zobaczył leksykografa, jak stojąc u stóp łóżka, wkłada żakiet - przepiękny żakiet Casanovy! Wsunął miłośnie ręce w rękawy okrycia, podrzucał krępych ramionami, by odpowiednio udrapować mięsisty jedwab i wyprostował się w sposób mimowolnie parodiujący postawę kawalera. A potem - przejrząwszy się w ręcznym lusterku - gdy jego marny wzrok stoczył batalię z mizernym światłem, Johnson zdjął żakiet, starannie powiesił z powrotem na oparciu krzesła i wsunął się do łóżka z twarzą rozświetloną uśmiechem zakazanego szczęścia. Casanova szybko zamknął oczy, udając, że śpi. Teraz nie chciał się nad tym zastanawiać. Pozwoli, by ten dzień zaczął się dla niego raz jeszcze - ale dużo

później.; Casanova zakochany

Cześć trzecia

1

Czyście gotowe, panie? W ten świąteczny dzień Trzech Króli przed domem Casanovy przy Pali Mali stanął wielki powóz z dachem załadowanym kuframi i pakami owiniętymi w grube płótno. Drzwi na ulicę stały otworem i już po chwili pojawił się w nich kawaler, w prostym podróżnym stroju, trzymający pod ramię babkę Augspurgher. Uniósł ją i wsadził do powozu, minutę zaś później wyłonił się raz jeszcze ze swego domu w towarzystwie pozostałych kobiet. Kilkoro sąsiadów - w rękawiczkach i z mufkami - obserwoowało ową scenę z dyskretnej odległości. Ostatni na dworze pojawił się Jarba obwieszony pudłami na kapelusze. W progu pozostała już tylko pani Feaver, która - trzęsąc się z zimna - czekała, by pomachać im na pożegnanie.

Powóz potoczył się z turkotem w różowym blasku poranka. Gdy z zasięgu

wzroku zniknął już ostatni dom, po obu stronach drogi pojawił się rozległy, opustoszały teren, nad którym unosiły się jedynie stada zimujących tu Ptaków.

Oczywiście, kiedy Casanova po raz pierwszy zaproponował Charpillon, by razem przenieśli się na wieś - wyśmiała go. On zresztą nie spodziewał się innej reakcji. Wieś! W styczniu? Gdy zaczął nalegać - pięknymi słowami malując jej urocze krajobrazy, przedstawiając wizje angielskiej Arkadii, gdzie, z dala od zgubnych wpływów miasta, mogliby wreszcie zaprzestać nonsensownego maltretowania się nawzajem i dojść ze sobą do zgody - zaczęła zwracać się doń tak pobłażliwym tonem, jakby bez mała koń kopnął go w głowę. Czy monsieur doprawdy nie zdawał sobie sprawy, że każdy, kto znaczył cokolwiek na tym świecie, umykał ze swych wiejskich posiadłości do miasta, gdy tylko pierwsze liście zaczynały opadać? Kiedy on wciąż nalegał - uparcie powtarzając, że doskonale wie, co miała na myśli, że sam podobne obiekcje wielokrotnie rozważał, ale jeśli tylko Marie zechce się trochę zastanowić, zapewne już po paru godzinach dojrzy roztropność jego rozumowania - Charpillon zaczęła kpić, a potem spytała z przekąsem, co, według niego, mieliby tam razem robić? Strzelać do kaczek? Grać w wista aż do wiosny? W końcu postanowiła nie zwracać uwagi na jego nagabywania. Odwróciła się i zaczęła dziobać igłą jakiś stary, z dawna niedokończony haft. Jednak kawaler, zdecydowany wreszcie wygrać choć jedno starcie, wyciągnął z kieszeni weksle podpisane przez madame Augspurger i zaczął nimi wymachiwać jej przed nosem. Nie musiał przy tym wyjaśniać, jak wiele tak ważne papiery mogą zdziałać; Charpillon dobrze wiedziała, że jednym podobnym dokumentem można powalić dom i urzeczywistnić najgorsze senne koszmary.

Dla niego natomiast był to najprostszy sposób ostatecznego załatwienia tej sprawy. Panie Augspurger nie mogły przecież dopuścić, by przedstawił weksle przed sądem - nie mogły się narażać na podobne ryzyko. Jednak nie odniósł pełnego zwycięstwa - a może raczej one zdołały zatruć ów triumf łyżką dziegciu - zażądały bowiem, by wraz z Charpillon pojechała na wieś cała rodzina. Sprowadziły nawet prawnika, jakiegoś przedwcześnie podstarzałego kauzyperdę ze Starej Zagory, człeka wydzielającego odór chciwości, który sporządził dokument na kilku stronach

mięсистego welinu, naginający kawalera i zawartość jego sakiewki do ich woli. Klauzula pierwsza - po której następował jeszcze tuzin jej podobnych - zobowiązywała go do wypłacania pięćdziesięciu gwinei madame Augspurger każdego pierwszego dnia miesiąca za cały miesiąc z góry. Casanova protestował, kobiety pozostały nieugięte. Gdy zaczął im grozić, rzuciły mu wyzwanie i okazało się, że blefował. Podpisał dokument, mając wrażenie, że przez cały czas chłostano go cienkimi wstążkami; po kilku tysiącach uderzeń nawet takie razy zaczynały palić niemilosiernie!

Im dalej posuwali się na zachód, tym gorsze przemierzali drogi. Jechali uczepleni skórzanych rączek nad drzwiami, a ponad ich głowami, ze strasznym hukiem, bagaż obijał się o dach. W pewnym momencie - a tylko Bóg jeden wiedział, gdzie się wówczas znajdowali, Casanova miał nawet wrażenie, że to miejsce nie mieściło się już na żadnej mapie - przednie koła zahaczyły o dziurę głęboką niczym grób, tak że pasażerowie powpadali na siebie, tworząc płataninę ciężkich płaszczy, rąk i nóg. Pół godziny później musieli wysiąść z powozu i przebyć pieszo spory kawałek - jedynie babka Augspurger pozostała w środku i machała do nich rękami w mitenkach - ponieważ konie nie mogły wciągnąć tak obciążonego pojazdu na wzgórze bardziej strome i grząskie od poprzednich. Resztki dobrego nastroju, na którym kobietom już od początku zbywało, wyparowały zupełnie, gdy okulał jeden z koni i musieli czekać dwie godziny na pustkowiu, w powozie targanym wichrami, na innego. Jedynie Casanova, weteran niezliczonych podróży o jeszcze bardziej niepomysłnym przebiegu, pozostał niewzruszony tymi przygodami i próbował rozproszyć złowrobną atmosferę opowieściami o powozach znikających pod zwałami śniegu, koniach zsuwających się w przepaść, zbójcach i pękniętych osiach, o atakach hord wilków, a nawet o pewnym popołudniu w drodze do Sewilli, gdy upał przyprawiał wszystkich o szaleństwo, a na powóz szarżowało stado przeznaczonych do walki byków. Kawaler opowiadał, a znudzone kobiety wyglądały przez okna. Nie dbały o jego przeżycia - miały zbyt wiele własnych.

Późnym popołudniem dotarli do miejsca przeznaczenia. Zatrzęsło nimi, gdy

zjeżdżali z ostatniego pagórka, po czym wpadli w alejkę tak wąską, że wilgotne gałęzie żywopłotów wciskały się w boki powozu. Przejechali zadymioną, zabiedzoną wioskę, minęli kościół, przekroczyli garbaty mostek, rozproszyli stado owiec i w końcu stanęli przed długim, dwupiętrowym domem w kształcie litery L, obrośniętym bluszczem, z okiennicami zawartymi na głucho. W ogrodzie, ciągnącym się aż do drogi, krowa obgryzała różany krzew, a przy bramie, pod brzozą, przyglądając się nadjeżdżającemu powozowi, stał mężczyzna trzymający za uzdę konia. Był plenipotentem właściciela, który - za pośrednictwem Martinellogo - zgodził się wynająć posiadłość Casanovie za dziesięć gwinei miesięcznie.

- *Votre vache* - oznajmił ów człowiek, gdy towarzystwo wysiadło z powozu - *et votre jardin...*

Po czym otworzył drzwi domostwa kluczem wielkości butelki po winie, podszedł do okien i - zmagając się przez chwilę z zasuwami - pchnął okiennice. Wpadające do środka światło nie poprawiło wyglądu pokoju. Na podłodze - zastygłym morzu nierównych kamiennych płyt - stał długi stół o blacie pokrytym płataniną rys, tuzin rustykalnych krzeseł oraz klawikord na cienkich nóżkach, z zapadającym się brzuchem, zdający się teraz wdzięczyć do nich szczerbatym uśmiechem, jak metresa, której wyglądu mężczyzna nie był w stanie znosić dłużej, więc ją odprawił.

W końcu pokoju znajdował się kominek, największy, jaki kawaler widział w życiu, poza murami zamków, a na półce tuż nad nim spoczywały dwie książki - jedyne w tym domu i najprawdopodobniej jedyne w całym hrabstwie.

W zwartym szyku podążali za plecami plenipotentą w górę i w dół po wąskich schodach, które - wedle wyobrażeń Casanovy - musiały rozbrzmiewać nocą krokami dawno zmarłych, rozpustnych, rozczarowanych życiem mężczyzn. Zaglądali do pokojów: nagłe wkroczenie w ich progi sprawiało, że powietrze gwałtownie cofało się przed intruzami. Łóżka z baldachimami, wykonane najwyraźniej dla rodziny karłów, stały jakby przygięte z wyczerpania na nieosłoniętych niczym drewnianych podłogach, podczas gdy szafy, lustra i poobijane komody przyglądały się ich powolnemu konaniu w milczeniu, niczym dalecy krewni. Na ścianach korytarzy

wisiały okazy upolowanej fauny, a także malowidła przedstawiające sielskie krajobrazy, wizerunki nagrodzonych byków, polowania na kaczki oraz ogary postępujące sztywnym krokiem za swymi młodymi panami o twarzach bez wyrazu. Gdy plenipotent odsuwał okiennice w każdym pomieszczeniu, otwierał się przed nimi widok na kolejny fragment bezimiennej okolicy: na lasy oraz podwórze domu, jako że dwa boki litery L tworzyły w pewnym miejscu coś na kształt dziedzińca, gdzie rósł orzech włoski, stał słoneczny zegar, żałośnie niemy z powodu chmur zasnuwających niebo, oraz ławka rozpierająca się krzywo pod ogołoconymi z liści gałęziami drzewa. W całym domu śmierdziało myszami i wilgocią.

Gdy ponownie znaleźli się w głównym holu, plenipotent wręczył Casanovie klucz i odjechał na swym koniu na przełaj przez pole. Jakże wymowne mogą być ludzkie plecy! Przez chwilę kawaler czuł silną pokusę, by podążyć za tym człowiekiem - biec co tchu, grzęznąc w mokrej trawie, póki nie zmoże go zmęczenie bądź jakieś katastrofalne załamanie aury czy mrok nocy. Po chwili jednak zebrał się w sobie. Panie Augspurgher oraz ich służąca zbiły się w gromadkę na środku pokoju: babka Augspurgher przysiadła na jednym z krzesel, dziergając jakąś koronkę, za nią zaś ustawiły się ciotki oraz matka dziewczyny, wciąż owinięte w płaszcze, z ustami ściągniętymi tak, jakby nieustannie ssały lukrecję albo może raczej coś bardzo gorzkiego. Charpillon wsparła się o stół tuż obok matki, z ramionami splecionymi na piersi, ze wzrokiem wbitym w pustkę - pogrążona w ponurej zadumie, zapatrzona w głąb siebie. Od czasu do czasu z jej ust wyrывał się cichy dźwięk - ni to zgrzytanie zębami, ni to kląskanie językiem - a za każdym razem, kiedy tak czyniła, Casanova zamierał na chwilę, gubił wątek myśli, jakby ów dźwięk był tonem kamer tonu mającym nastroić tę cząstkę jego umysłu, która odpowiadała za tkliwe uczucia.

- Jarba, czy zapakowaliśmy brandy?

Uśmiechnął się do wszystkich kobiet, mruknął coś miłego, jednak natychmiast się zorientował, że wysiła się nadaremnie - jego urok nie działał.

W tej sytuacji nie pozostało mu nic innego, jak tylko samemu udać się po trunek.

Przez całą noc burzowe chmury tarły z trzaskiem i hukiem jedna o drugą. Słysząc było wyraźnie, jak wiatr porywa dachówki, i kilka razy w ciągu nocy kawaler się budził, gdy niewielkie strumienie lodowatego deszczu padały mu na twarz bądź biły głucho o łóżko. Kiedy się ocknął następnego ranka, leżał przez dłuższy czas bez ruchu, wpatrując się w nieznane ściany. Nie Londyn, nie Dubrownik... Gdzież więc jest? Usiadł nagle. Bolała go głowa. Spał w ubraniu, okryty płaszczem jak burką. W pokoju panował przejmujący chłód. Spuścił nogi z łóżka, a ramiona szczelnie owinął swym okryciem. Na podłodze czekała na niego szklanka, w której wciąż jeszcze było na cal brandy. Wypił. Przez moment zawładnęły nim gwałtowne nudności, ale już po chwili poczuł się dużo lepiej. Przestały nim wstrząsać dreszcze, podszedł więc do okna, masując kark. Padało, oczywiście, jednak niebo podświetlał przy tym jakiś srebrzysty, wilgotny blask.

Wyszedł na korytarz i wyteżył słuch. Nie dobiegł go odgłos krzątania się żadnej istoty ludzkiej. Dwa wynędzniałe szczury, ogryzające skrawek skórzanego paska pod boazerią, wlepiły w niego wzrok. Kawaler powitał je szeptem, po czym ruszył schodami w dół, odnosząc cały czas wrażenie, iż został przeniesiony do tego domu we śnie i nigdy przedtem nie widział ni tych ścian, ni tych sprzętów. W holu piętrzyły się paki i kufry - dokładnie tak, jak je zostawili poprzedniego wieczoru - a na stole, przewrócona na bok, leżała pusta butelka po brandy, tuż obok jednego z kolczyków Charpillon. Casanova podniósł ów drobiazg, zważył go w dłoni, wypłatał z niego kasztanowy włos, a potem podszedł do drzwi wejściowych, odryglował zasuwę i wyszedł na zadaszony ganek. Kruk, zatrzepotał skrzydłami w nagłym rozbłysku czerni, usiadł na czubku samotnego szkieletu szakłaku po drugiej stronie alei. Przez chwilę balansował na cienkiej gałęzi, zakołysał się i wyskoczył niezdarnie w powietrze, za-pikował, by w końcu wznieść się wysoko ponad dolinę zroszoną deszczem. Casanova zastanawiał się tymczasem, gdzie się podziała krowa, zakładając oczywiście, że przetrwała nocną nawałnicę.

Wszedł do środka i zamknął drzwi. Podszedł do kominka, by zbadać stan

paleniska. Wczoraj wieczorem zapewniło im jako taką przytulność jedno z krzeseł (zaatakowali je jak dzicy, waląc nim o kamienną posadzkę i rozbijając w drzazgi), teraz jednak popioły wydzielały jedynie wyimaginowane ciepło, niczym malowidło wyobrazające żar. Casanova pociągnął nosem, ponownie się zatrząsł i w odruchu niepoprawnego miłośnika słowa pisanego zdjął książki z półki, zdmuchnął z nich warstwę kurzu, po czym przeliterował tytuły. Pierwsza z nich, „Siew ziarna” autorstwa sir Hugh Platta, miała większość stron nie rozciętych, natomiast druga - o wiele częściej używana - była „Listą dam do towarzystwa z Covent Garden”, skompletowaną przez człowieka o nazwisku Harris. Wydanie było jednak tak stare, że wszystkie opisane w nim panny - o porywających imionach i lubieżnych specjalnościach - były już teraz babkami bądź dawno temu padły ofiarą epidemii ospy.

Casanova usiadł i oparł głowę o komin. Kamień w tym miejscu był tak wytarty, że tworzył gładką, płytką nieckę, jak gdyby od trzystu lat mieszkańcy domu składali głowę dokładnie w tym samym miejscu i w taki sam sposób. Kawaler przycisnął książki do piersi. Na jego twarzy pojawił się uśmiech. Kim był ów człowiek, który jako ostatni przebrnął w poczuciu obowiązku przez pierwszą z nich, drugą zaś często przerzucał ukradkiem? Zamiłowanie do niewiast wymienionych w spisie Harrisa niechybnie wskazywało na chroniczną melancholię. Ludzie szczęśliwi nie szukali towarzystwa podobnych kobiet, o czym one zresztą doskonale wiedziały. Szczęśliwi mężczyźni siedzieli w domu. Ale tylko oni. Dlatego domy rozpusty uzyskiwały tak okazałe dochody. Casanova podniósł się i odłożył książki na półkę. Gdyby miał taką możliwość, uściskałby z przyjemnością mężczyznę, który je kupił, objąłby go równie serdecznie jak rodzonego brata.

Panie Augspurgher od razu objęły w posiadanie jedno skrzydło budynku i ustanowiły tam własne, niezależne państwo, w którym każdy mężczyzna musiałby

czuć się jak intruz. Pojawiły się na dole w okolicach południa, wszystkie razem: pochód otwierała babka z nieodłączną robótką w ręku, kiwająca głową w stronę opustoszałych, ciemnych kątów pokoju.

Ich służąca, Jarba i Casanova pracowali tymczasem już od kilku godzin. Zmiatali i szorowali, znosząc do salonu wiadra lodowatej, łupkowoszarej wody ze studni na tyłach domu oraz deszczówki w kolorze morza zbieranej w drewniane kadzie tuż przed frontowymi drzwiami. Ogarnęli pajęczyny z okien, przytargali wysoką serwantkę do salonu i umieścili w niej szkło oraz porcelanę, przeszukali obejście w poszukiwaniu drewna: w jednej z szop, gdzie narzędzia o zardzewiałych ostrzach zwieszały się ze ścian niczym więźniowie przykuci łańcuchami w lochach, znaleźli sążeń polan dostatecznie suchych, by można nimi palić. Na stołach stały teraz lampy, a do tego - dopełniając wrażenia ciepłej, domowej atmosfery - młody kociak, idealnie biały, leżał zwinięty w kłębek na podłodze tuż przy ogniu.

Przez chwilę - chociaż nie potrafiły ukryć całkowicie, jak bardzo przypadła im do gustu przemiana w salonie - kobiety narzekały na straszne niewygody, jakich doświadczyły w nocy: wilgotne łóżka, dźwięki zupełnie tajemnicze oraz odgłosy o pochodzeniu jak najbardziej wiadomym. Żywiły przy tym niezachwianą pewnością, że ktoś w nocy ciskał kamieniami w okna, a gdy chodzi o zapach dobywający się z kąta sypialni - no, tego to po prostu w żaden sposób nie da się opisać! Nie miały doprawdy ani cienia wątpliwości, iż została tam niedawno pogrzebana jakaś gadzina - i to w dodatku duża.

- Może wielbłąd? - zasugerował kawaler, który z niewiadomych przyczyn rozmyślał właśnie o przemierzaniu zasolonych równin Kadyksu na grzbietach wielbłądów i polowaniu na grubego zwierza.

- I gdzież my w takiej głuszy znajdziemy fryzjera? - dopytywała się Charpillon.

- To musiał być wielki szczur - oznajmiła Ciotka Numer Jeden. - Albo pies.

- Moja droga mam'zel Augspurgher - odezwał się Casanova, wyciągając przy tym z kieszeni kamizelki koleczyk i podając go jej na dłoni - tutaj nie musimy być szykowni. Możemy mieć fryzury jak troglodcy czy ludzie morza, możemy nawet zgolić włosy całkowicie, jak czy nią to szaleńcy.

- Jestem pewna, że nie ma tu żadnych wielbłądów - oświadczyła Ciotka Numer Dwa, wbijając wzrok w okno.

Charpillon wzięła kolczyk, stwierdzając przy tym półgłosem:

- Ty i tak jesteś szaleńcem, monsieur. Z włosami czy bez włosów.

- Może zechciałyby panie usiąść? - zachęcał kawaler. - Ja będę wam dziś usługiwać. Podam paniom śniadanie.

- Wredna bestia! - wrzasnęła służąca, gdy kot wbił pazury w jej łydkę.

- Moje jajka nie mogą być zbyt twarde! - zawołała madame Augspurger w kierunku Jarby. - Twarde jajko mogłoby mnie nawet zabić!

Służący włożył jajka do rondla, żeby je ugotować. Stał odwrócony plecami do kobiet i zdawał się mamrotać jakieś słowa nad wrzącą wodą, być może próbując ją zaczarować. Zaparzyli kawę i włąli do dzbanka przypominającego małego pieska, który zebrze, służąc na dwóch łapkach. Casanova, cały w uśmiechach, przyniósł dzbanek do stołu. Czuł, jak w jego piersi wzbiera i pulsuje fala nadziei. Może w końcu uda im się stworzyć coś na kształt rodziny? Może tym razem wszystko się ułoży jak należy?

Przez cały dzień ciągnęły się prace domowe. Twarz służącej znaczyły smugi sadzy od czyszczenia kominków. Włosy Jarby - miedziane, ciasno skręcone kędziory - przysypane były kurzem od trzepania kanap. Kawaler natomiast, w samej tylko koszuli, dzielnie machał miotłą, wyprostował wszystkie obrazy na ścianach oraz wyeksmitował z kuchni kury.

Pokój przyległy do sypialni Casanovy był zupełnie pusty - jeśli nie liczyć męskiego kapelusza pleśniejącego na podłodze. Powietrze wydawało się tu mniej zatęchłe niż w pozostałych pomieszczeniach, więc zdecydował, że tutaj właśnie urządzi swój gabinet. Jako pater familias i początkujący autor zasługiwał na podobny pokój; w najgorszym razie posłuży mu za schronienie przed kobietami. Z okien jego nowego lokum rozpościerał się widok na ogród, brzozę i dojazdową aleję. Deszcz przestał w końcu padać i gdy Casanova wyjrzał na zewnątrz, zobaczył Charpillon wędrującą ścieżką z kotem w ramionach.

W pokoju po przeciwnej stronie korytarza kawaler zaanekował na swe potrzeby

sofę, solidny stół i odpowiedni do niego stołek. Potem, z pomocą Jarby, wniósł na górę fotel od Goudara. Od jakiegoś już czasu był to obiekt niewygodnych pytań. Po co zabierać ze sobą na wieś właśnie ten sprzęt? Czyżby monsieur sądził, że na prowincji nie będą mieli na czym siadać? Na całe szczęście żadna z kobiet nie pracowała nigdy w przybytku madame Gourdan przy rue des Deux Portes, inaczej bowiem miałyby poważne trudności z wyjaśnieniem całej sytuacji. W tym stanie rzeczy natomiast poinformował je jedynie - jeszcze w holu domu przy Pali Mali - że krzesło to miało dlań szczególną wagę z przyczyn, których one nigdy nie byłyby w stanie pojąć. Cest tout. Teraz - ustawivszy ów mebel w kącie swojej samotni, tuż przy oknie - usiłował sobie przypomnieć, jak należy się nim posługiwać. Sprężyny zwalniała specjalna dźwignia z tyłu. Co też mówił Goudar? W tej pozycji zwolnione, w tej zablokowane. Albo w tej zwolnione, a w tej zablokowane. Albo... Właściwie nie spodziewał się, że będzie musiał użyć tego fotela. Dziewczyna zapewne sama w końcu do niego przyjdzie, choćby z nudów. Ale jeśli nie... Stojąc w drzwiach, ogarnął wzrokiem pokój i pokiwał głową. Jarba tymczasem zdążył już usunąć z podłogi zapleśniały kapelusz.

Na dworze Casanova zaczął się rozglądać za Charpillon. Miał nadzieję, że razem pobawią się z kotem, jednak jej już w ogrodzie nie było. Znalazł za to kostur - dobry, tęgi kij, z rodzaju tych, w jakich gustował Johnson - i trzymając go w ręce, postanowił obejść swe nowe włości, doglądać dobytku, być może nawet zdecydować, jak podnieść jakość gleby. Miał przekonanie, że gdyby ktoś go obserwował z oddalenia, z lasu położonego na wzgórzu, na przykład przez lunetę czy choćby operową lornetkę, wziąłby go za ziemianina, ziemianina-dżentelmena, ziemianina-poetę, jakim niegdyś był Wergiliusz. Casanova stanął przy orzechu włoskim, pogładził lepka od wilgoci korę, podszedł do jakiegoś przedmiotu porzuconego na polu, który wziął z początku za łódź odwróconą dnem do góry. Po chwili zorientował się jednak, że to pług. A potem, obok niewielkiego stawu połyskującego mętną zielenią, oddalonego pół mili od tyłu domu, odkrył chlew z czarnym wieprzkiem w środku. Wyciągnął rękę ponad ogrodzeniem i podrapał świniaka między uszami swym kosturem. Stworzenie uniosło ryj w górę i węszyło

nim w powietrzu, wpatrując się w człowieka uległymi, pełnymi strachu oczami, jakby nie było pewne, czy przed chwilą spotkała je pieszczota czy karcące uderzenie.

- Powiedz mi - odezwał się do zwierzęcia kawaler, czując nagle braminiczny związek z tą istotą - byłeś ty kiedyś człowiekiem?

Świetlisty blask poranka znikł teraz na dobre, niebo znów było szare i obojętne. W drodze powrotnej do domu dostrzegł przecinającego wzgórze innego człowieka, zapewne sąsiada, w pelerynie przylegającej do kostek. Kawaler uniósł swój kostur w geście powitania, lecz nieznamy nie odwzajemnił przyjacielskiego gestu. Casanova poczuł ulgę, gdy się już znalazł w domu. Zrozumiał nagle, że nie pociąga go zapach ziemi. Jeśli o niego chodzi, nad wszystkie zapachy natury przedkładał zapach dobrego, brudnego kanału.

Mijające dni przypominały teraz krople deszczu zbierające się powoli na czubku gałęzi i drżące przez chwilę, żeby za moment opaść o wiele szybciej, niż można by tego oczekiwać. W niedzielę rano - w pierwszej chwili doprawdy nie wiedzieli, jaki to dzień tygodnia - przyciągnęło ich do okien monotonne bicie dzwonów. Słońce, na przekór porze roku, buntowniczo pokazało się na niebie w pełnej krasie, po raz pierwszy od wielu tygodni, i cała okolica pobłyskiwała teraz tak, jakby ktoś niespodziewanie pokrył pola tysiącami tafli gładkiego szkła. Wszyscy w domu - kto żyw - wychylali się przez okna, pokrzykując do siebie nawzajem, aż w końcu twarze zaczęły ich szczypać od panującego na zewnątrz chłodu. Przez następne pół godziny, gdy szykowali się do kościoła, dom wypełniał gwar beztroskiej paplaniny, w której - jak zauważył kawaler, zawiązując przed lustrem liliowy krawat - pobrzmiwał ton zwyczajnego, ludzkiego zadowolenia z życia.

Nastroje przygasły nieco, gdy się okazało, że wszystkie drogi pokryte są zwałami grząskiego błota. Gdy dobrnęli wreszcie do kościoła, nabożeństwo było już w toku, chociaż w ławkach zasiadło jedynie kilkoro mężczyzn i kobiet, po nawach zaś snuła się podobna liczba psów zlizujących mech ze ścian bądź węszących wokół zapadających się płyt nagrobnych w poszukiwaniu kości dawnych posesjonatów.

Proboszcz, niemal lewitujący nad rozchwierutanim pulpitem, zatrzymał się w

pół słowa, gdy wchodzili do kościoła i na widok ich wykwintnego, kosztownego stroju skłonił się bardzo nisko. Casanova skinął mu w odpowiedzi głową, po czym, wraz z Jarbą i kobietami, zajął ławkę odrobinę mniej zapuszczoną niż pozostałe. Przekartkował książeczkę do nabożeństwa, niecierpliwie poskubał mankiety i przeliczył drobne w kieszeni. Proboszcz tymczasem wznowił swe bezładne kazanie, zwracając się od czasu do czasu w stronę szykownych nieznajomych ze służalczym uśmiechem na ustach. Kongregacja spróbowała coś odśpiewać. Psy wszczęły gwałtowną walkę. Dwoje dzieci wpadło do kościoła, wykrzyknęło coś i wybiegło z głośnym śmiechem. Przynajmniej jeden z siedzących tu mężczyzn był zbyt pijany, by trzymać się prosto, i podczas kazania zaczął się osuwać z bolesną powolnością, w końcu zaś opadł na podłogę. Wstawali, siadali i mamrotali coś w odpowiedzi na słowa proboszcza, zgodnie z liturgicznym ceremoniałem, jednak tak naprawdę zajęci byli własnymi myślami lub czynili to wszystko tak bezmyślnie, jakby ich głowy były jedynie mydlanymi bańkami. Jakikolwiek piękno bądź znaczenie wpisane było ongiś w ów rytuał - zdążyło już zeń ulecieć. Teraz pozostało jedynie nudne przedstawienie, marny teatr, godzina znużenia i drobnej fizycznej niewygody.

Czy to nie przypominało, zastanawiał się Casanova, jego własnej egzystencji, jego życia rozbitego na dziesiątki rytuałów równie pustych i pozbawionych znaczenia? Z przestrawieniem pomyślał nagle, że coś utracił - jakkolwiek się to nazywało - to coś, co pozwalało mu leżeć w świetle księżyca i drżeć ze szczęścia na myśl o prostej radości życia. Czy mógłby teraz, jak uczynił to swego czasu na zalanym światłem poddaszu królewskiego pałacu w Paryżu, przemierzać w radosnych, samotnych płaszcach drewniane podłogi, gdy pulsowanie krwi w żyłach służyło mu za jedyną muzykę? W pewnym momencie swego życia za największe szczęście uważał fakt, iż jest mężczyzną, że się budzi, kładzie spać, czuje ciężar, gdy schodzi po schodach - och, jakże wyraźnie to jeszcze pamiętał! Pomodlił się przez chwilę - nie mógłby przecież rajfurzyć dla kardynałów, gdyby nie nauczył się wszystkich pacierzy - prosząc w cichości ducha o wybawienie z władzy owej siły, czymkolwiek była, która podstępnie pozbawiała ludzi serca, zabijała ciekawość i zdolność do uniesień. Po jego lewej stronie siedział Jarba z miną człowieka

pogodzonego ze światem. Przez chwilę kawaler czuł pokusę by go uderzyć.

Na przykościelnym cmentarzu najstarsze nagrobki niemal zapadły się już pod ziemię bez śladu, a powietrze było tam gęste od nieustannego półmroku za sprawą rzędu wiekowych cisów. Kawaler wraz z paniami przedstawił się pozostałym wiernym. Znalazł się wśród nich sir Jakiśtam z małżonką, lekarz, ziemianin, emerytowany rejent, nadgryzione zębem czasu bliźniaczki i, oczywiście, sam proboszcz, którego nazwisko Casanova zakonotował, by jednak już po chwili je zapomnieć. Wszyscy obiecywali, że się zjawią z wizytą. Rejent, a może lekarz, zaczął potrząsać dłońmi kawalera tak energicznie, jak gdyby właśnie zdołał sprzedać mu za wysoką cenę zdychającego wołu. Wszyscy mężczyźni pożerali wzrokiem Charpillon, mimo że tego dnia miała zapuchnięte oczy, a cerę barwy skwaśniałej śmietany. Nie siliła się też na żadne uprzejmości. W drodze do domu kichała tak gwałtownie, że niemal odeszła ją przytomność.

W poniedziałek, niejako za wcześniejszym porozumieniem, nikt nie podniósł się z łóżka. Jakież to było proste! Casanova budził się i po chwili znów zapadał w drzemkę, czasami otwierając jedno oko, a czasami drugie. Śnił mu się deszcz i gdy się obudził, zobaczył ciężkie krople na szybach - miał nawet wrażenie, że cały świat nabrał nagle płynnej konsystencji.

We wtorek został zbudzony wcześniej, zanim jeszcze rozwidniło się na dobre. Zjawa - po zapachu sądząc - będąca kobietą, pochyliła się nad jego łóżkiem.

Czyżby wreszcie Marie przyszła do niego?

Wyciągnął dłoń po omacku, natrafił na rękę, chwycił ją kurczowo i natychmiast puścił. Madame Augspurgher przyszła mu oznajmić, że jej córkę trawiła gorączka; miała też dreszcze i gwałtowne wymioty. Ból w każdym mięśniu i stawie. Monsieur jest temu winien, bo przywiózł je do tego straszego miejsca! Czyż nie widział, jaka jest delikatna? Jak kruchego zdrowia?

Casanova chwilę wcześniej śnił - wyjątkowo nie o deszczu - a o nocy na Ridotto w Wenecji, gdzie grał w biribisso z Ange Goudarem i do tego wysoko przegrywał. Teraz zwłókł się z łóżka, chwycił po omacku jakieś okrycie i podążył za matką dziewczyny na drugi koniec domu. W sypialni paliła się lampka. Charpillon leżała

wyprostowana na środku łóżka, tak sztywno, jak ludzie umierający lub przed chwilą umarli. Po obu jej stronach siedziały ciotki z nosami zaczerwienionymi od chłodu i płaczu, każda z nich trzymała dłoń dziewczyny. Na nie wielkim łóżku w kącie pokoju jej babka wpatrywała się intensywnie w sufit, jakby ktoś wypisał tam dla niej wiadomość, którą usilnie starała się odczytać. Casanova po chylił się nad Charpillon.

Choroba zawładnęła każdą częścią piękności dziewczyny- Jej włosy przybrały brunatną barwę martwej, spalonej trawy; jej oczy, widoczne spod współprzymkniętych powiek, wyglądały teraz jak plamy szaroniebieskiej pleśni na kawałku sera. Wyciągnął dłoń, by jej dotknąć, lecz natychmiast cofnął się z lękiem. Co za choroba ją trawiła? Nagle nabrał pewności, że bardzo nie chce umierać właśnie w tym miejscu, zżerany jakąś gorączką, której działanie medyk mógł jedynie spowolnić o godzinę - bądź zarazić się którąś z owych przewlekłych infekcji, jakie za życia czynią z człowiekiem to samo, co robaki po jego śmierci. Ciotki wbiły weń wzrok - nie były to spojrzenia przychylnie. Charpillon zajęczała lub coś zajęczało w jej ciele. Casanovą wymówił pieszczotliwie jej imię, raz czy dwa razy, tak jak to czyni kochanek pod oknami kochanki w najgłębszych mrokach nocy.

Cóż to takiego Goudar mówił o zwątpieniu? Powinni się go bać bardziej niż skrytobójczego sztyletu? Przed Londynem i przed Monachium w czym tak naprawdę był mistrzem? Oczywiście nie chodziło o uwodzenie kobiet, gdyż to było sztuczką pospolitą, równie ograną jak wyciąganie przez kuglarza barwnych chusteczek z rękawa. Nie. Jego sukces polegał na umiejętności przekonywania innych, że on i tylko on potrafi znaleźć rozwiązanie wszystkich problemów, bez względu na ich naturę. Król cierpiał na impotencję? Casanovą umiał temu zaradzić. Minister potrzebował dodatkowych dochodów? Casanovą, oczywiście, wiedział, gdzie je znaleźć. Opat pałał miłością do żony bliźniego swego? Casanovą i na to znał sposób. Dzięki dużym ilościom kawy, odrobinie sprytu i szczęścia hazardzisty zawsze potrafił wymyślić coś stosownego, a gdy mu się to nie udawało, zazwyczaj umiał przekonać innych, że jest inaczej. Ludzie wyjątkowo chętnie pozwalali się oszukiwać, jeżeli tak im było wygodnie lub gdy pogrążyli się już w desperacji. Jeżeli wszystko zakończyło się pomyślnie, spływało nań bogactwo, którym mógł się cieszyć przez miesiąc, a

niekiedy nawet przez rok. Gdy jednak sprawy przybierały zły obrót... cóż, wówczas koń z kopytami owiniętymi szmatami dla stłumienia ich tętentu mógł przed upływem nocy przenieść człowieka daleko, tam, gdzie już nigdy nie dosięgną go wrogowie. I to wszystko było czymś znacznie więcej niż jedynie oszustwem. Przynosiło innym korzyść, czyniąc jego życie barwnym i ekscytującym. Oznajmienie czegoś - oznajmienie czegoś z pełnym przekonaniem - stanowiło już połowę sukcesu. Ostatecznie uleczył małą Emilie. Czemu nie miałby uleczyć i Charpillon?

Schylił się, delikatnie wysunął dłonie dziewczyny z rąk jej ciotek, po czym wziął chorą na rękę; przy drzwiach odwrócił się jeszcze na moment.

- Wyleczę ją - oznajmił. - Nie musicie się martwić. Zabierze mi to dokładnie trzy dni. Zabrało pięć.

5

Nie posłał po żadnego medyka ani pigularza; zbyt dobrze wiedział, jak wiele zła mogą dziać podobni ludzie. Ogrzał własne łóżko za pomocą naczynia wypełnionego żarem, po czym położył ją tam, dokładnie owijając kołdrami, i zaczął leczenie. Jarba przyniósł na górę wszystkie potrzebne rzeczy: pożywne napoje i miski z wrzącą wodą. Ze swej osobistej, podróżnej apteczki kawaler wyjął z tuzin butelek i ustawił rzędem na kominku. Większość z nich wyglądała podejrzanie: były to stare mikstury miłosne lub patentowane trucizny w rodzaju sławetnego balsamu życia produkcji pań Augspurgher. Przez chwilę czuł pokusę, by kazać im przygotować porcję owego specyfiku dla sprawdzenia jego właściwości, jednak szybko porzucił ową myśl. Kobiety zapewne i tak by mu powiedziały, że potrzebują do tego celu sproszkowanego rogu narwala bądź zasuszonej ludzkiej głowy czy też paznokci jakiegoś świętego. Chwycił w rękę krople gorączkowe doktora Norrisa, wyciągnął korek i powąchał miksturę, po czym - razem ze wszystkimi innymi butelkami - wyrzucił przez okno, do ogrodu. Przez parę następnych dni spał bardzo niewiele.

Mył Marie, zmieniał pościel, poił kropla po kropli. Gdy wycierał kwaśny pot z

jej piersi i pleców, z delikatnej wypukłości brzucha, nie pozostawał obojętny na jej wdzięki. Piękna dziewczyna - nawet gdy kaszle jak górnik i wydziela odór gnijących owoców - pozostaje wciąż piękną dziewczyną. Rumieniec wywołany gorączką przywodził na myśl żar ciała płonącego w akcie miłostnego zespolenia; ciche jęki Marie przypominały ów okrzyk, jaki zdołał z niej wydobyć w labiryncie. Teraz nikt nie mógłby go powstrzymać od wykorzystania jej wdzięków. Była skazana na jego łaskę. Czemu nie miałby położyć się na niej - być niczym kompres, kojący balsam, deliryczny sen? Przez wiele godzin czuł straszną suchość w ustach wskutek palących go żądź, jednak w końcu zdołał je okiełznać i skoncentrować się na leczeniu chorej. Niemiłosiernie szczękała zębami. By nie starła ich sobie na proch, wsunął jej w usta miękką, skórzaną rękawiczkę.

Przez pół dnia, gdy gorączka z maligną osiągnęły krytyczny stan, a wokół oczu Marie pojawiła się błękitna mgiełka bólu - śpiewał jej piosenki z owego skomplikowanego, mrocznego okresu swego życia: z dzieciństwa. Na korytarzu za drzwiami kobiety urządziły czuwanie. Słyszał, jak szurały niczym myszy i szeptały między sobą jak upiory.

Szóstego dnia w końcu zmorzył go sen. Gdy się ocknął po kilku godzinach i otworzył oczy, zobaczył dawną Charpillon wpatrującą się weń swym zwyczajnym wzrokiem. Leżała cicha, otulona luksusem własnego uzdrowienia, chociaż jej twarz zdawał się pokrywać ledwo dostrzegalny woal, lekkie tchnienie cierpienia, a w kącikach oczu widniała nowa, drobna zmarszczka, którą już teraz tylko śmierć mogła wymazać. Casanova pochylił się do przodu na krześle. Nie uśmiechnęła się do niego, jednak jej lewa dłoń, najpierw zaciśnięta, teraz się rozchyliła. Kawaler powoli wyciągnął rękę i ujął tę dłoń. Nie mógł wydobyć z siebie głosu. Był zbyt smutny i zbyt szczęśliwy, by wyrazić to słowami. Za minutę, za pół minuty, przeminie owa magiczna chwila i znów powrócą tęsknota, poczucie nieszczęścia i niekończące się zmagania. Co można było jeszcze ocalić? Co mogłoby przetrwać? Oboje - on i ta dziewczyna - pewnego dnia obrócą się w proch, ogarnięci wciąż tą samą małostkowością i głupotą, jeszcze nad grobem opętani manią 198 Casanova zakochany intrygowania i knowań, pełni wzajemnych uraz. W owej sekundzie jednak

nie miało to znaczenia. Póki ta chwila trwała - Casanova czuł się bogaty jak nigdy.

- Nie wyglądasz dobrze, monsieur - odezwała się Marie po chwili.

Skinął głową. To wisiało w powietrzu już od kilku dni, a może nawet kilku tygodni. Dreszcze i nudności. Ciastowate, blade oblicze.

- Czuję się - oznajmił - po prostu znakomicie. Charpillon powoli podniosła się z łóżka. Casanova za jął jej miejsce.

- A więc, signore, teraz Charpillon zaczęła pielęgnować cię w chorobie?

- Tak jest, signora.

- Czy doglądała cię należycie?

- Uleczyła mnie z gorączki.

- W trzy dni?

Wzruszył ramionami.

- Trzy dni, cztery... Kto wie, kto by to pamiętał. Którą mamy teraz godzinę, signora? Zdaje mi się, że to miej sce ogarniają już ciemności. Czyż nie powinniśmy zapalić nowej świecy?

- Ta będzie płonąć jeszcze przez godzinę - odpowiedział mu jego gość głosem cichym niczym wieczór, przy wodzącym na myśl szmer piasku w klepsydrze.

Kawaler pociągnął nosem. Finette zaskomlała przez sen, lecz po chwili już się uspokoiła. Jak nazwali tego kota na wsi? Pamiętał, że gdy dochodził do siebie, ów kociak, rozłożony jak długi na łóżku, skubał czubki jego palców. Neigeux, Flocon de»neige, Boule de neige? Deszcz przeszedł wówczas w śnieg. Nieludzka pogoda, ale jakże piękna. W nocy słyszał wyraźnie poszczekiwanie lisów. Wydawało się, że Londyn był odległy o jakieś tysiąc mil; Serenissima zaś leżała na innej planecie. - Gdy oboje już odzyskaliście siły, signore, wasza przyjaźń zapewne się zacieśniła i stała się źródłem no wej radości. A może nabrała romantyzmu?

Jakżeż chciał w owej chwili wykrzyknąć jej prosto w twarz: „Przecież wiesz! Ty wiesz!”, ale teraz musiał już oszczędzać swój oddech, powietrze w jego płucach stało się nagle bardzo cenne. Dotknął w końcu twarzy, upewniając się, że jeszcze żyje, a potem cicho, głosem człowieka, który się już pogodził z tym, że tej nocy bądź za tego

życia będzie otrzymywał jedynie przegrywające karty, odrzekł:

- Przez moment miałem podobne wrażenie, signora, jednak szybko się okazało, że w zasadzie nic się nie zmieniło.

6

Wolałabym być nieszczęśliwa niż skazana na nudę - oznajmiła Charpillon, gdy siedzieli razem przy stole, a w palenisku, plując iskrami, trzaskał ogień.

Casanova uniósł brew w zdziwieniu. Prawdę powiedziawszy, był równie znudzony jak ona, a do tego coraz trudniej przychodziło mu to ukryć. Postanowił jednak, że będzie ostatni, który się do tego przyzna.

- Przyjęcie? Czy tego właśnie byś chciała? - spytał. - Karty? Towarzystwo? Stroje?

- Monsieur - wtrąciła madame Augspurger, która na wsi robiła się coraz bardziej dokuczliwa, jakby miasto było dla niej szczególnym spoiwem i bez niego mogła w każdej chwili eksplodować - zaczynamy tu już popa dać w obłęd, gdy jedynym widokiem, jaki możemy oglądać, są te wzgórza.

Casanova obrócił się na krzesło. Jarba siedział przy kominku, pogrążony w lekturze. Po raz pierwszy kawaler zauważył, że jego służący ma parę małych, składanych binokli.

- Jak dużo wina przywieźliśmy z Londynu, Jarba?

- Sześć tuzinów butelek, monsieur - odparł sługa, nie podnosząc wzroku znad książki. - Szampan, claret, madera i tokaj. Część butelek zbiła się podczas podróży.

- Sześć tuzinów... Sądzę, że wystarczy na niewielkie przyjęcie.

- Musimy też podać coś do jedzenia - oznajmiła ulubiona ciotka Charpillon, wbijając w robótkę igłę; całymi wieczorami kobiety zajmowały się teraz wyszywaniem ozdobnej tkaniny. - Nawet na wsi nie można głodzić gości.

- Jarba?

Sługa wzruszył ramionami.

- Jest ten wieprzek, monsieur.

- Ach...

- No a krowa? - odezwała się druga ciotka.

- Może więc pozwolimy im ciągnąć losy - mruknął Casanova. Nigdy nie zabił niczego większego od karalucha, może poza jednym człowiekiem - a najwyżej dwoma łotrami.

O dziesiątej wieczorem - ponieważ nie miały po co siedzieć w salonie dłużej, gdyż jedyną rozrywką mogło być tu najwyżej pohukiwanie puchacza wabiącego partnerkę - kobiety udały się do siebie, wszystkie razem, jak zwykle, niczym zdyscyplinowany oddział wycofujący się z pola walki. Jarba zamknął książkę i schował do kieszeni - zdaniem Casanovy zrobił to ukradkiem - a potem życzył swemu panu dobrej nocy. Mała służąca już od dawna leżała w łóżku. Kawaler został sam przy stole. Siedział melancholijny, rozdrażniony, niespokojny, marząc o ulicznym bruku i zapachu dymu, uperfumowanym tłumie wypełniającym operę, krętych wąskich uliczkach, które biegły, nie wiadomo dokąd. Banki! Gazety! Nagle pomyślał z nostalgią nawet o więzieniach. Cóż miał robić na wsi człowiek z jego talentami? Wieś była dobra dla ludzi, którzy musieli się ukrywać, a poza tym nadawała się jedynie do tego, by przemierzać ją z pistoletami w dłoni, w drodze z jednego miasta do drugiego. Nie napisał tu dotąd ani jednego słowa, z wyjątkiem dwóch listów do Johnsona, pełnych kłamstw i absurdałnego chełpienia się.

Ziewnął. Kot odwrócił się brzuszkiem do ognia. Kawaler miał się już właśnie udać na spoczynek - pogasił wszystkie lampy i teraz trzymał w dłoni jedynie ogarek świecy, by nim oświetlić schody w drodze do sypialni - gdy jego wzrok przyciągnęły niespodziewanie żywe barwy nici na tkaninie leżącej po drugiej stronie stołu. Skończywszy wyszywanie w danym dniu, kobiety zazwyczaj zwijały ją starannie i zabierały ze sobą, dzisiaj jednak zostawiły swą pracę rozłożoną w salonie, w otoczeniu igieł i poduszczynek na szpilki, kolorowych szpulek nici, nożyczek i napastrków. Casanova z wolna powiódł świecą nad stołem, a potem schylił się nad oświetlonym haftem, jakby się przeglądał w tafli jeziora. W środku główne postaci były całkiem ukończone. Dziewczynę o długich, kasztanowych włosach unosił na

grzbiecie biały byk, a obok błyszcząły srebrem i błękitem fale oceanu. W tle inne postaci, o wiele mniej wyraźne, stały i przyglądały się tej scenie. Natychmiast zrozumiał, jaki to motyw tematyczny. Piękność unoszona przez byka to Europa, córka Agenora i Argiope, siostra Feniksa. Byk to oczywiście Jowisz, który objawił się dziewczynie w tej postaci, by ją uwieść i podstępnie skraść jej dziewiczą skromność. Gdy królewna zobaczyła na wybrzeżu morskim w Tyrze owego byka o potężnym karku i mlecznej sierści, wydał się jej tak łagodny i piękny, że Europa nie czuła strachu i bez obaw usiadła mu na grzbiecie.

Czemu - zastanawiał się Casanova, podziwiając pracę pań Augspurger - wybrały właśnie ten temat? Czyż nie była to historia gwałtu? Opowieść o bogu, skrywającym swą prawdziwą naturę za pozorami niewinności - niczym miecz w pięknej pochwie? Jednak im dłużej się przyglądał tej scenie, pochylony nisko nad stołem, tym wyraźniej dostrzegał w niej coś szczególnego - coś, co kłóciło się z wymową starożytnej legendy. Przysunął świecę do tkaniny, uważając przy tym bardzo, by nie spadła na nią ni kropla wosku. Gdy przesunął światło nad haftem, jego fragmenty budziły się do życia. Byk - który oczywiście powinien uosabiać łagodność, ale i nieustępliwość typową bogom - zdawał się tymczasem wpatrywać tęsknym, pełnym smutku wzrokiem w kunsztownie wyszyte grzywy fal, natomiast dziewczyna - mimo że młodzieńka i krucha - ścisnęła władcym gestem złocone rogi i kierowała biegiem zwierzęcia. Nawet przyglądający się tej scenie - jeśli popatrzyło się na nich uważnie - zdawali się tkwić na brzegu ze świadomością tego, co się niechybnie stanie, gotowi w każdej chwili chwycić się pod boki i wybuchnąć gromkim śmiechem...

- A więc to tak! - mruzczał pod nosem kawaler, wchodząc na górę i nie patrząc na swój cień, potężny, upiorny, rzucany na ścianę przez światło świecy - lecz sprawa między nami jeszcze nieskończona. Jeszcze nie!

Jarba starannie wypisał zaproszenia, a potem w swych starych marynarskich butach ruszył przez zasypane śniegiem pola, by je doręczyć okolicznej szlachcie. Casanova tymczasem zajął się pracą w jednej z przyległych do domu szop. Postanowił przygotować stół do faraona: ponabijał blat gwoździami, tworząc z nich obramowanie oddalone od krawędzi na szerokość dłoni, po czym - uwarzywszy klej z mąki i wody - przylepił na środku wszystkie piki z talii w dwóch rzędach - od asa do szóstki w pierwszym, siódmką na zakręcie, a potem od ósemki do króla w drugim rzędzie w taki sposób, że król leżał naprzeciwko asa. Następnie sklecił i przymocował do stołu małe pudełko, z którego bankier wyciąga karty. Ta prosta, fizyczna praca sprawiała mu przyjemność. Wbijając gwoździe i pogwizdując przy tym przez zęby, można było zapomnieć o bożym świecie - a potem, podnosząc wzrok, odkrywało się ze zdziwieniem, że wszystkie kształty i przedmioty są jednak na swym miejscu.

A jeszcze później - kawaler wciąż odkładał ów obowiązek na ostatnią możliwą chwilę - z odległości piętnastu kroków zabił wieprzka z pistoletu do pojedynków. Świniak przekoziółkował do tyłu z kulką pomiędzy oczami i padł w śnieg, przez chwilę jeszcze podrygując racicami. Do tylnych nóg przywiązali mu linę i zawiesili go na grubej gałęzi orzecha, po czym kobiety podcięły martwemu zwierzęciu gardło. Krew zaczęła spływać do wiadra. Wszystkie panie Augspurger przyglądały się temu w milczeniu, stojąc wokół z nożami w dłoniach. We Franche-Comte zaszlachtowały już niejednego wieprzka. Pomimo zimna podwinęły rękawy aż za łokcie. Ich twarze wydały się nagle Casanovie bardzo białe i doskonale w rysunku. Służąca pochylała się nad wiadrem i starannie mieszała krew, by nie dopuścić do jej skrzepnięcia. Kawaler nie mógł patrzeć na to dłużej; zamknął się w swym gabinecie i zajął czyszczeniem pistoletu. Gdy jakiś czas potem wyjrzał na dziedziniec przez jedno z okien na korytarzu, pod drzewem orzecha dojrzał czerwony, wirujący tuman.

W następną sobotę - 23 stycznia roku Pańskiego 1764 - lokalna szlachta, z żonami i totumfackimi uwieszonymi ich paska, przyciągnęła - odziana w swe najlepsze stroje, zbrukane nieco błotem - pod bramę wiejskiego domu Casanovy. W ogrodzie płonęły pochodnie, a rzędy butelek szampana tkwiły w śniegu niczym

ciemnozielone dzwony zachodzące szronem. Casanova witał gości w progu, pomagając im otrzepać śnieg z ramion i kapeluszy. Niektórzy z nich, a w szczególności lekarz, najwyraźniej pokrzepili się jakimś mocnym trunkiem jeszcze przed wyruszeniem w drogę. Wszyscy patrzyli na kawalera - zdolnego wydukać zaledwie kilka zdań po angielsku i nieprzyzwoicie zaglądnącego każdemu prosto w oczy - z otwartą podejrzliwością. Na moment w holu zapanowała przerażająco sztywna atmosfera, krępująca angielska rezerwa. Goście stali zbici w gromadkę tuż przy drzwiach, jakby za chwilę mieli wybiec w noc, niczym stado kur pierzchające przed lisem.

W tym momencie Charpillon i jej matka przejęły inicjatywę. Jarba napełnił kieliszki, a mała służąca, mamrocząc coś do siebie bez przerwy z ożywieniem, zaczęła odkrawać połcie pieczonego mięsa z przebitego różnem wieprzka, wymachując przy tym ostrym i cienkim niczym księżyc w nowiu nożem. Niebawem w pokoju zapanował zgiełk. Ziemianin coś zaintonował, a proboszcz odważył się nawet puścić w tany z ulubioną ciotką Charpillon. Wkrótce świnia została zredukowana do rozmiarów królika. O jedenastej Casanova mrugnął porozumiewawczo do Jarby i po chwili przeszli obaj do karcianego stołu - Jarba, jako krupier, usiadł naprzeciwko swego pana, który, oczywiście, trzymał bank. Charpillon klasnęła w dłonie 204 Casanova zakochany i zaprosiła gości do gry. Tego wieczoru jej piękność rozkwitała pełną krasą; perły - prezent od kawalera - obejmowały mleczną pętlą zaróżowioną szyję, a wplecione we włosy brylanty rozsiewały wokół gwieździste blaski. Tasując karty, kawaler pomyślał o Kitty Fischer, skrzęcej się w swej sukni na schodach pani Wells niczym młoda brzózka rażona błyskawicą - i przypomniał sobie, jakim lubieżnym, pełnym podziwu wzrokiem pożerali ją otaczający mężczyźni. Pomyśleć, co by się działo, gdyby Charpillon włożyła podobną suknię! Doprowadziłaby wszystkich do utraty zmysłów, tak że biegliby przez las, wyjąc i przeklinając, porażeni szaleństwem i upojeni szczęściem. Zdał sobie nagle sprawę, że jest z niej bardzo dumny i podziwia ją nadzwyczajnie.

Z początku grali o grosze, ale po jakimś czasie, z twarzami rozpalonymi od emocji, goście zaczęli zwiększać stawki - na stole pojawiły się gwinee, a także

banknoty. Przez godzinę Casanova - działając w idealnej harmonii z Jarbą - dbał o to, by nikt nie przegrywał zbyt szybko i zbyt wysoko. W pokoju zrobił się teraz upał. Kobiety nieustannie się wachlowały i co rusz ocierały pot z twarzy uperfumowanymi chusteczkami. Mężczyźni rozluźnili kołnierzyki; niektórzy z nich pozdejmowali peruki i powciskali je do kieszeni, tak że ich warkocze zwisały smętnie niczym ogony sponiewieranych kotów.

Baronet, którego spotkali na dziedzińcu przed kościołem, starszy, zażywny jegomość z kępkami siwych włosów sterczących z uszu, wygrał sto czterdzieści gwinei obstawiając septet la va. Obok niego siedziała Charpillon, trzymając dłoń - jakże dobrze Casanova znał potęgę tej dłoni! - na ramieniu gościa. Zamruczała coś do niego; błysnęły mu oczy, pokiwał głową i rzucił na stół gwinee oraz banknoty wielkie niczym mapy całego hrabstwa, obstawiając kartę, którą wskazała mu Marie - damę pik. Pochłonięty nową grą i nową dziewczyną, baronet zagrał teraz quinze et la na, miał więc szansę piętnastokrotnie zwiększyć swą stawkę. Trzysta gwinei! Gdyby zagarnął tę pulę, jego roczny dochód podwyższyłby się o jedną trzecią, a to już by wystarczyło, żeby mógł sobie kupić - na tydzień, a może nawet i na dwa - podobną dziewczynę! Casanova wziął w rękę kartę bankiera z góry talii. W tym momencie przyszło mu do głowy, że Charpillon - zachowująca przez cały czas trzeźwy umysł, dokładnie pamiętała, pomimo wina i ogólnego zgiełku, karty, które schodziły - i mogłaby zapragnąć go ukarać, narażając na poważną stratę i upokorzenie. Jednak karta bankiera okazała się damą karo.

- Bank wygrywa - oznajmił Jarba.

Baronet drgnął, a potem wbił wzrok w stół. W pokoju zaległa cisza. Proboszcz odchrząknął głośno, jakby za chwilę miał zacząć kazanie, Charpillon zaś odsunęła się na parę cali od ramienia starszego dżentelmena. Na twarzy Casanovy tymczasem pojawił się uśmiech.

- Jarba, oddaj, proszę, stawkę naszemu sąsiadowi. Ostatecznie gramy jedynie dla zabawy.

Służący przesunął banknoty po stole. Baronet zaczął protestować, a czubki uszu płonęły mu z zawstydzenia. W końcu jednak zgodził się przyjąć pieniądze. Całe

towarzystwo otrzymało ostrzeżenie. Nikt nie będzie mógł twierdzić, iż został oszukany. Żaden z gości nie mógł mieć już teraz najmniejszych wątpliwości, że gra potoczy się ostro. Rozpoczęli nową partię. Wszystkich ogarnęło podniecenie, wszyscy chcieli sprawdzić, na jak wielki stać ich gest, na jaką rozrzutność. Casanova przelotnie spojrzął w oczy Charpillon. W ich spojrzeniu - poza wzajemnymi gratulacjami - pojawił się także jakiś dziwny wyraz: tęsknoty, żalu, zagubienia. Jednak niemal natychmiast oboje spuścili oczy i wbili wzrok w karty, koncentrując się na grze.

Zegarek Casanovy wskazywał godzinę czwartą, gdy ostatni gracze opuścili jego progi, ściskając w dłoniach wygrane bądź przelękając gorycz porażki. Jarba i kawaler pozostali sami w salonie, delektując się ostatnią butelką szampana, głęboko schowaną przed wszystkimi na tę okazję - ich triumf był bowiem nieunikniony. Jarba otrzymał procent od wygranej należny krupierowi, jego pan zabrał resztę - złoto, banknoty i weksle, które wrzucił do kieszeni bez liczenia. Gdy się podniósł z krzesła, wiedział - po ciężarze żakietu - ile zdołał zarobić tego wieczoru. Jak na tak głęboką prowincję - pula była świetna. 206 Casanova zakochany Serdecznie ucałował Jarbę, życząc mu dobrej nocy, po czym ruszył na górę po schodach, cicho podśpiewując pod nosem:

Sono usar con gli amati arte e dritwra
progighe e quelli dan tutto U cuor loro
e si tirano a se l'argento e l'oro...

Na piętrze przystanął i wpatrywał się przez chwilę w skrzydło domu zajęte przez kobiety, rozważając przy tym, jaką miał szansę na wykradzenie Charpillon sprzed nosa jej ciotek, matki i babki. W końcu jednak wzruszył ramionami i wszedł do gabinetu. Postawił świecę na stole, pochwycił pióro i wbił wzrok w swe niewyraźne, zniekształcone odbicie w szybie. Jego umysł - otepiały od trunków i wielogodzinnej gry w karty - zdawał się teraz kurczyć powoli w głowie niczym pies zwijający się leniwie w kłębek do snu. Nie nachodziły go żadne pełne inwencji myśli. Tkwiał w

takim stanie przez kilka minut - aż do chwili, gdy zaczęło go nękać dziwne przeświadczenie, iż nie jest w pokoju sam. Czy to możliwe, że któryś z graczy wśliznął się niepostrzeżenie na górę, by tu się nań zaczaić? Może jeden z ludzi baroneta - gdyż pieniądze nie zostały zwrócone po raz drugi - krył się w dalekim, ciemnym kącie z jakimś narzędziem zemsty w dłoni? Bardzo powoli ręka kawalera przesunęła się w stronę lichtarza. W podobnych okolicznościach - czyż nie w Odessie? - uratował się z opresji, rzucając lichtarzem w twarz napastnika, czym pozbawił go równowagi, zyskując cenne sekundy, które pozwoliły mu wyjąć nóż. Złoczyńca zbiegł, jednak strużka karmazynowej krwi prowadząca do pewnych drzwi zdradziła, kim był jego mocodawca. Następnego dnia wiedziało o tym całe miasto...

Nie słyszał najłżejszego szmeru. Zapewne żadna istota ludzka nie byłaby w stanie zachować się równie cicho. Casanova wstał, podniósł świecę, a potem obrócił się tak szybko, że płomień zdał się jedynie cienką linią ognia przecinającą powietrze.

- Wyłaż! - wysyczał kawaler. - Wyłaż, ty kasztaniarzu. Chodź tutaj, niechaj zszyję ci usta!

Te obelgi dodały mu odwagi. Ruszył naprzód. Ktoś siedział na krześle, na tronie Goudara z piekła rodem, na tej mechanicznej łapce na muchy. Casanova wyjął nóż z kieszeni, wygrzebując go spomiędzy złotych i srebrnych monet, lecz jeszcze zanim zdołał go otworzyć, wypuścił z przerażeniem ze zmartwiałej dłoni. Nóż upadł z brzękiem na podłogę.

- Porca miseria!

Przeżegnał się.

- O por co dio!

W nocnej koszuli, z rękami i nogami uwięzionymi w metalowych obręczach, z włosami sterczącymi z czaszki niczym cienkie smużki dymu - babka Augspurgher wpatrywała się weń szklistymi oczami trupa.

Przez jakiś czas, zdający się trwać wieczność, twarz Casanovy wykrzywił ten sam grymas zdumienia, co twarz kobiety w fotelu. Kawaler ujrzał oczyma duszy siebie samego przywiązanego do drabiniastego wozu, wiezionego obok własnej trumny na szafot. U stóp szubienicy zobaczył panie Augspurgher czekające na

egzekucję - by opluwać go obelgami, kiedy się będzie wspinać po drabinie wiodącej ku sznurowi. Czy już szukały babki? Chyba jeszcze nie. Lecz jak dużo czasu upłynie, zanim któraś z nich się obudzi i zobaczy puste łóżko staruszki?

Ukląkł, cały czas pokrzepiając się myślą, że bywał już w gorszych opałach. Przede wszystkim musi uwolnić ciało z obręczy przerażającego wynalazku. Słodki Boże, czemuż nie rozbił tego krzesła na głowie Goudara, kiedy tylko zobaczył to diabelstwo? I co, na Oświeconą Republikę, robiła tu ta starucha? Jakież opętało ją szaleństwo? Co sobie uroiła?

Wychylił się i zaczął przesuwać ręką po oparciu fotela, aż natrafił na niewielki przycisk pomiędzy nogami mebla. Nacisnął. Nic się nie stało. Ciągnął, naciskał znowu, uderzył w końcu pięścią. W tym momencie obręcze rozwarły się nagle i schowały w odpowiednim miejscu, a siedzenie opadło do przodu, wyrzucając babkę Augspurger prosto w jego ramiona. Kawaler ledwo zdołał zdławić krzyk przerażenia. Położył ciało na podłodze. Mimo że na kominku nie płonął ogień, pokój wydawał się jednym wielkim rozpalonym piecem. Chciał zamknąć oczy zmarłej, ale nie potrafił się zmusić, by dotknąć jej twarzy, delikatnego owalu pomarszczonej skóry. Bo co gdyby - chociaż bez wątplenia była już martwa - spróbowała nagle go ugryźć swymi ostrymi, bezzębnymi dziąsłami?

Zdjął buty i w samych tylko pończochach zszedł po schodach na dół. Jarba sprzątał po wieczornych uciechach - stojąc w drzwiach, wyrzucał puste butelki do ogrodu, prosto w śnieg. Casanova pomyślał, że jego sługa musi być pijany - a może zawsze sprzątał w taki sposób?

- Pssst! Jarba!

Służący odwrócił się, spojrział uważnie i kiwnął głową. Potem cisnął martwe ciało, tak jak przed chwilą wyrzucał puste szkło. Casanova zamarł w bezruchu, ale trup upadł w śnieg, wydając zaledwie taki odgłos, jak drobna moneta wpadająca do bezdennej studni, w której plusk wody można usłyszeć jedynie we własnej wyobraźni.

Odnaleziono ją następnego ranka w ogrodzie, niemal 'zupełnie pogrzebaną pod warstwą świeżego śniegu. Obok jej włosów, zastygłych teraz w krystaliczną pajęczynę, leżała butelka - niczym szczególny nagrobny kamień.

Charpillon pierwsza spostrzegła babkę. Casanova i Jarba tymczasem bardzo starannie szukali jej w całkiem innym miejscu. Wkrótce w ogrodzie zebrały się wszystkie kobiety, nawet mała służąca, która wpatrywała się teraz w swe panie najwyraźniej zafascynowana ich żalobnym cierpieniem. Podniósł się ogromny płacz, przerażający i niepohamowany. Kawaler, obserwujący to wszystko z okna w holu, czuł mrowienie na skórze, jakby za chwilę całe jego ciało miała obsypać opryszczka. Nawet kot zniknął wszystkim z oczu - zaszył się zapewne w jakimś sekretnym, sobie tylko znanym kącie.

Po jakimś czasie Jarba stwierdził:

- Powinien pan wyjść do nich, monsieur.

- Zaraz - odrzekł Casanova. - Za chwilę.

W Serenissimie ludzie umierali najradośniej, jak mogli - strzäsali z siebie życie niczym jedwabną pończoszkę, podczas gdy reszta świata, pochłonięta własnymi sprawami i niekończącymi się spotkaniami towarzyskimi, starała się nie robić szumu wokół cudzej śmierci. Oczywiście, widywało się czasami czerwone gondole zmierzające w stronę cmentarza San Michele, ale nikomu nie psuło to humoru na cały dzień.

- Jarba...

- Tak, monsieur?

- Jak sądzisz, czy śmierć jest kobietą czy mężczyzną?

- Moja czy twoja śmierć, monsieur?

Owinęli babkę Augspurgher w prześcieradło, wnieśli do salonu i położyli na stole do faraona. Była tak sztywna, jak gips sztukaterii.

- Jakżeż ona wydostała się na zewnątrz? - pytała wciąż Charpillon z oczami już

zasinionymi od płaczu.

- Być może, moja droga, Jarba wyrzucił ją wraz z butelkami - odparł w końcu Casanova. Przez całą noc nie zmrużył oka i zaczynał popadać w histeryczny nastrój.

O dziwo, wszystkie kobiety miały ze sobą czarne suknie. Nawet mała służąca wkrótce chodziła odziana tak, jakby się spakowała specjalnie z myślą o pogrzebie. Jarba i Casanova włożyli na ramiona czarne opaski, które wykroili z pleców jednej z kamizelek kawalera. U stóp martwej kobiety płonęła świeca. Kałuża tłustawej wody zaczęła się już rozlewać po karcianym stole i spływała powoli na podłogę. Nikt nic nie jadł. Nikt nic nie mówił. Wieczorem, gdy pełne żałosnych westchnień kobiety zgodną gromadką udały się na spoczynek (przed wyjściem rzucając jeszcze za siebie bolesciwe spojrzenia przy akompaniamencie pociągania nosem), Jarba spojrzał swemu panu prosto w oczy i oświadczył:

- Ona nie może tu zostać, monsieur.

Casanova wzruszył ramionami i pokiwał głową.

- Ale gdzież moglibyśmy ją umieścić?

Wyszli na zewnątrz, obeszlili dom dookoła, a potem - opróżniwszy jedną z kadzi na deszczówkę - wsunęli tam staruszkę owiniętą ciasno w prześcieradło i utkali luźną przestrzeń wokół niej śniegiem, jakby była przesyłką sorbetu lub sycylijskich fig. Uszczelnili pokrywę wieka strużką płynnego wosku, po czym zanieśli kadź do tej szopy, gdzie znaleźli sążeń polan do kominka. Na boku kadzi kawaler wskrobał swym pierścieniem: *Vivat perpetua*.

- Tak właśnie mawiamy w Wenecji - wyszeptał, czule gładząc drewno.

Upłynęły trzy dni, zanim drogi stały się przejezdne. Powóz, który Casanova wynajął z miejscowego zajazdu, a zarazem placówki pocztowej, był jaskrawożółty, z wymalowanymi po bokach nazwami rozmaitych angielskich miast targowych oraz skrzydlatą figurką bożka Hermesa, wskazującą miejsce kolejnego postoju. Kadź nie mieściła się w środku, więc włożyli ją do kosza i podwiesili z tyłu pojazdu, wklinowując pomiędzy inny bagaż. Kobiety wpatrywały się w kosz przez chwilę,

znowu się popłakały, po czym zajęły miejsca w powozie. Jarba podróżował wraz z nimi, gdyż Charpillon się uparła, by im towarzyszył. „On jedyny wykazuje tu zdrowy rozsądek” - oznajmiła.

Casanova, na którego od śmierci babki wszystkie patrzyły z otwartą podejrzliwością - nie śmiał protestować. Teraz stał pod brzozą, machając im na pożegnanie i przyglądając się, jak pojazd ze swym cennym ładunkiem przeciska się pomiędzy szarpanym wiatrem żywopłotami, zataczając się i kolebiąc. Stracił go z oczu; po chwili znów go zobaczył, o milę dalej, jak wspinał się na wzgórze po drugiej stronie wioski, a potem jechał wzdłuż szczytu. Zatrzymał się tam na moment, by woźnica mógł odblokować dźwignię hamulca. W końcu powóz na dobre zniknął z zasięgu wzroku kawalera. On jednak stał tam jeszcze przez kilka długich minut, wpatrując się w smugę dziennego światła, błyszczącą w miejscu, gdzie przed chwilą widział pojazd.

Gdy wrócił do domu, wszedł ciężko po schodach i rzucił się na łóżko Charpillon. Wokół wciąż unosił się jej zapach. Nie był to aromat kosztownych perfum, jednak teraz, przytłoczony swą samotnością Casanova wciągał go w płuca z tak wielką zachłannością, jak gdyby był to bez mała eter życia. Usiłował zasnąć, lecz nie mógł. Zaczął w myślach recytować kursy walut - przeliczał franki na guldeny, guldeny na korony, korony na drachmy, drachmy na szylingi, ale sen nie nadchodził. Gdy przesunął głowę, poczuł, że jakiś przedmiot pod poduszką wrzyna mu się w skroń. Okazało się, że leżała tam powieść, którą widział już w pokoju Charpillon przy Denmark Street. Zaczął ją czytać. Była to francuska miernota, ale fabuła - mimo fatalnego stylu narracji i nieprawdopodobnych perypetii - zaczęła go urzekać. Przerzuczał strony, wdzięczny losowi za taką odskocznicę dla swych myśli, aż natknął się na koniec rozdziału piątego - bohater właśnie odkrył, że inny kochanek heroiny ukrywa się w gołębniku - i wówczas spomiędzy kart książki wypadła wprost na jego twarz zasuszona róża. Kwiat był starannie sprasowany i pozostawił nieznacznym odcisk na kartach powieści. Nie miał kolców, a jedynie ciemne blizny tam, gdzie kawaler własnoręcznie je oderwał - wtedy, gdy zobaczyli się po raz pierwszy - nie, w zasadzie po raz drugi. Przytknął suche płatki do ust, po czym zerwał się z łóżka,

zbiegł na dół, wypadł z domu, susami przemierzył ogród, rozpryskując błoto na wszystkie strony...

- Marie! - zawołał, a echo poniosło jego głos doliną. - Marie! Marie!

„Drogi panie Johnson - napisał tej samej nocy, siedząc w swym pokoju odurzony trunkiem i cierpiąc z powodu bezsenności - może na początek powinienem jednak napisać krótkie opowiadanie. Drobną powiastkę o człowieku, który wybiera się na wieś, by odnaleźć sens życia - o mężczyźnie, który spróbował już wszystkiego, ale został z niczym, i który - jak ślepiec w ogniu - miota się bez nadziei, popadając z jednego nieszczęścia w drugie...”

Casanova przysunął świecę do okna. Czyżby wyobrażał sobie, że gdzieś w dali ukaże mu się podobny błysk, że w jakimś miejscu tego przesiąkniętego wilgocią świata ktoś też przysunie światło do szyby, wpatrując się w mrok nocy? Kawaler przytknął twarz do okna jak tylko mógł najbliżej.

Cześć czwarta

1

W obszernym, sięgającym kostek płaszczu z chińskiego pikowanego jedwabiu, na którym błyszczały wijące się smoki wilgotne od londyńskiej mżawki, kawaler de

Seingalt przepychał się wśród targowego tłumu. Coś w atmosferze tego miejsca - ocienione przejścia, dziedzińce, stare kamienne schody, pokrzykiwania tragarzy i chłopców biegnących z siatkami na długich trzonkach, a także oczywiście głosy samych ptaków: ćwierkania, gwizdy oraz ostre piski - przypomniały mu Fez, gdzie ongiś zabawiał się w pościeli z pewną dziewczyną i jej bratem bliźniakiem w pokoju pełnym much, nad warsztatem ich ojca, podczas gdy hałasy z bazaru wpływały do środka przez okiennice cięte w zawile wzory, które układały się w arabski cienia na bielonych ścianach pokoju...

- Musimy znaleźć ptaka inteligentnego - oznajmił kawaler, odwracając się w stronę Jarby i odrzucając jednocześnie owo melancholijne, lecz przyjemne wspomnienie. - Ptaka, który byłby zdolny wypowiadać proste słowa uwielbienia, jakich zamierzam go nauczyć.

Na targu handlowali głównie starzy marynarze, jednoocy bądź z hakami zamiast dłoni; niektórzy mieli wytatuowane twarze, inni zaś ozdoby z kości w nosach lub artystycznie opiłowane zęby. Przechadzali się po kamiennych Płytach boso, z długimi tyczkami na ramionach, obwieszeni klatkami z papugami, kanarkami i kwesalami. Ktoś wystawił na sprzedaż parę pelikanów człapiących niezdarnie na postronkach, w rogu dziedzińca trzęsący się flaming balansował niepewnie na jednej nodze tuż obok swego jednonogiego właściciela, który żuł prymkę.

Po godzinie poszukiwań zdecydowali się w końcu na młodą papugę - piękną, o szarym upierzeniu, z czubkami lotek zabarwionymi na czerwono. Prawdę powiedziawszy, Casanova kupił tego ptaka nie tyle zachwycony jego wspaniałym wyglądem, ile urzeczony tęsknym spojrzeniem oczu, pamiętających jeszcze krajobrazy Madagaskaru bądź kreślenie swobodnych pętli na niebie nad wodami Limpopo. Na Pali Mali umieścili swój nabytek w klatce na stole w salonie. Pani Feaver poćwierkiwała czule do papugi i przez malowane pręty karmiła ją kawałkami trufl i oraz wysuszonej polenty, ptak zaś nieustannie wydalał płynne odchody i obracając swą niezwykle ruchliwą głową, przyglądał się wszystkiemu i wszystkiemu z nerwowym zaniepokojeniem.

Lord Pembroke zjawił się z wizytą właśnie wtedy, gdy Casanova przerzuczał

książki w swej skromnej bibliotece, zastanawiając się, jakie strofy, jakie subtelne rymy mógłby utrwalić w pamięci ptaka. Jego Lordowska Mość zachwyił się papugą. Przyznał, że Charpillon zapewne ucieszy podobny prezent.

- A więc, Seingalt, jak wnoszę, nie zdołałeś uwieść jej na wsi?

- Wiem, milordzie, postanowiłem zostawić malarzom pejzażu.

- Muszę cię ostrzec, Seingalt, że coraz więcej osób naśmiewa się z ciebie zupełnie otwarcie. Kilku dżentelmenów zaczęło już nawet wysoko obstawiać ewentualny wynik twych miłosnych zabiegów. Jeden z nich - którego imienia nie wyjawię - założył się aż o tysiąc gwinei, że Charpillon nie wpuści cię do łóża. - W takim razie ów dżentelmen właśnie przegrał swój zakład, albowiem byłem już w jej łóżu i mam na to świadków. - O nie, mój drogi kawalerze, warunki zakładu są bardzo precyzyjne. Musisz być nie tylko w samym łóżu, ale i w jej...

- To, milordzie, trudno będzie sprawdzić. A gdybym tak skłamał?

- A skłamałbyś?

- Oczywiście nie. Ale gdybym odniósł sukces, a skłamałaby dziewczyna? Trudno oczekiwać od kobiety, że oznajmi światu swą uległość.

Lord Pembroke - rozciągnięty na fotelu przed kominkiem - przejrzał się w lusterku i pogładziwszy, jak się zdawało miłośnie, skórę na policzku, roześmiał się sucho.

- Drogi Seingalt, czy doprawdy myślisz, że cały świat nie dowiedziałaby się o tym, jeszcze zanim ty zdążyłbyś wciągnąć z powrotem spodnie?

- A więc powinienem rozkoszować się nią w miejscu publicznym?

- Prywatność - odparł lord Pembroke - jest przywilejem biedaków.

- Czemuż to, milordzie?

- Ponieważ nikogo nie obchodzi, co robią, tak długo, póki nie wzniesą rewolt - o ile, oczywiście, zdarza im się to częściej niż jakieś dwa razy do roku.

Casanova postukał lekko w prety klatki.

- Czy wolno mi spytać, na które z nas Jego Lordowska Mość postawił swój zakład? Wszak wiem, panie, że należysz do ludzi lubujących się w hazardzie.

- To prawda. Tym razem też nie mogłem się oprzeć pokusie. Rozumiesz jednak,

kawalerze, iż byłbym nie uczciwy wobec ciebie i samego siebie, gdybym zdecydował się zaspokoić twą ciekawość.

- A więc wnoszę, że postawiłeś swe pieniądze przeciwko mnie, panie. Przyznasz jednak, iż to niesprawiedliwe, bym jako jedyny - mimo że ponoszę znaczne koszty dla uwiedzenia Charpillon - nic nie zyskiwał w razie swego sukcesu, którego jestem skądinąd całkiem pewien. Czy w takim razie Jego Lordowska Mość nie zdecydowałby się na zakład następny? Zupełnie prywatny? Jarba spisze warunki na papierze lub, jeśli tak wolisz, panie, przypieczętujemy nasz układ uściskiem ręki, co, o ile mi wiadomo, jest angielskim obyczajem.

- Zróbmy i jedno, i drugie - postanowił lord Pembroke. - W ten sposób nie narazimy się na niejasne sytuacje.

Jarba usiadł za stołem i spisał warunki zakładu pod dyktando Casanovy, który - przeczytawszy szybko pismo - podał je gościowi.

- Czy akceptujesz te warunki, panie? Jeśli w przeciągu dwudziestu czterech godzin nie posiadę wszystkich wdzięków Charpillon, zapłacę ci sumę pięciuset gwinei. Jeżeli jednak osiągnę zamierzony cel...

- Zatrzymasz swe pieniądze, a pięćset gwinei otrzymasz ode mnie.

- Czy Jego Lordowska Mość zechce podpisać dokument?

- Jak najbardziej... - A więc teraz możemy sobie podać ręce. - Dwadzieścia cztery godziny - rzekł z mocą lord Pembroke, spoglądając na swój zegarek. - Po tym czasie zgłoszę się do ciebie, Seingalt. Muszę przyznać, kawalerze, że pokładasz doprawdy niezwykłą wiarę w swej papudze.

2

Na zegarach biła siódma; srebrzyste nici deszczu przesywały ciemność. Casanova, z brodą wciśniętą w ciepło futrzanego kołnierza, udawał się na Denmark Street powozem. Na kolanach postawił klatkę, w której papuga kołysała się lekko na

ruchomym drażku.

- Je t'adore, je t'adore, je t'adore... - mrucał kawaler pod nosem.

Nie miał czasu, by nauczyć ptaka bardziej wymyślnej frazy. - Je t'adore... Je t'adore... Wbrew radom służącego - ale przecież Jarba był niewolnikiem zdrowego rozsądku - nie uprzedził pań Augspurger o swej wizycie; zapewne nie wiedziały nawet, że powrócił już ze wsi. Niewątpliwie wciąż pogrążone były w żałobie - ostatecznie nie minął jeszcze tydzień od złożenia starszej damy w grobie - lecz czy można wyobrazić sobie coś bardziej nużącego od siedzenia cały dzień w domu, noszenia jedynie czerni, mówienia szeptem i wzajemnego prześcigania się w głębokości westchnień? Jakimiż tyranami są zmarli! Ale za to jaką piękną on sprawi niespodziankę Charpillon swą obecnością i tym zachwycającym ptakiem.

- Je t'adore... Je t'adore...

Powóz skręcił w Soho Square. Casanova zerknął przelotnie w ciemne okna domu madame Cornelys. Czyżby wierzyciele w końcu ją dopadli? Za sprawą deszczu rozlewającego się po oknach pojazdu kawaler nabrał przekonania, że cały świat znalazł się niespodziewanie pod wodą. Poczul nagłą tęsknotę za czymś, czego nie umiał sprecyzować. Może za zupą pidocchi, a może za Zanettą czy rokiem 1750. Jeden Pan Bóg tylko wiedział, z jaką przyjemnością obejrzałyby teraz słońce.

- Je t'adore... Je t'adore... Je t'adore...

Minęli plac, skręcili w prawo, a potem zaraz w lewo, w wąski korytarz Denmark Street. Casanova zapukał w dach powozu laską; konie się zatrzymały. Londyn był tak cichy tego wieczoru! Kawaler zapłacił należną sumę staremu woźnicy, ten zaś krzyknął: „wio!”, i ruszył naprzód, pozostawiając go samotnego w całkowitych ciemnościach. Casanova z początku nie mógł się zdecydować, w którym z domów mieszka Charpillon. Gdyby tylko ktoś zechciał...

Otwarły się jedne z drzwi. Mała służąca pań Augspurger - w świetle latarni zawieszanej w holu jej twarz przybrała odcień siarkowożółty - wyjrzała na zewnątrz. Casanova ruszył w jej stronę i właśnie miał coś zawołać, kiedy nieoczekiwanie z gęstych mroków wyłoniła się inna postać. Fryzjer Charpillon. Chłopak pochylił się nad służącą, pocałował ją w policzek, a dziewczyna objęła go ramieniem. Owa scena

zachwyciła kawalera - była tak szczerą, taką świeżą! Poczł nagłą pokusę, by ujawnić swą obecność i zadeklarować pomoc - wynająć dla nich pokój w jednym z położonych na obrzeżach miasta zajazdów, chętnie świadczących usługi młodym kochankom, lub zapłacić za ich wspólny wieczór w świątyni Flory w Lambeth, gdzie - jak wieść niosła - wszystko było dozwolone, jeśli tylko czyniło się to w imię miłości; lecz młody człowiek błyskawicznie wśliznął się do środka, drzwi zamknęto i ulica znowu pogrążyła się w ciemnościach.

Czy to możliwe, że ktoś - lord Pembroke? - wysłał kobietom wiadomość? Czyżby Charpillon w jakiś sobie tylko znany sposób dowiedziała się o powrocie Casanovy? Nie należało jednak składać jej wizyty w chwili, gdy zajmowała się toaletą. W ten sposób skazałby się co najmniej na pół godziny towarzystwa jej matki i ciotek, rozprawiających w kółko o babce Augspurger i rzucających w jego stronę oskarżycielskie spojrzenia. W takich sprawach wycucie czasu miało niezwykle znaczenie, wszystkie podręczniki miłosnej sztuki zgodne były w tym względzie. A więc poczeka kilkanaście minut przy wejściu do domu naprzeciwko i zjawi się u Charpillon dopiero wtedy, gdy fryzjer opuści jej progi.

Zanucił do ptaka szeptem:

- Je t'adore... Je fadore... Je t'adore...

Krople deszczu rozбивały się o poręcz przy wejściu do domu. Gdy zaś uderzały w błotnistą powierzchnię ulicy, wydawały taki dźwięk, jakby tysiące małych kulek z kości słoniowej wirowało w kręgu ruletki. Na ulicy wciąż nie było widać żywej duszy; nikt nie miał ochoty wychodzić w taką pluchę. Casanova zaczął się nawet obawiać, że papuga złapie jakieś przeziębienie.

- Je t'adore... Je t'adore...

W pośpiechu minął go - wykrzykując godzinę - stróż nocny z opuszczoną głową, w pelerynie z grubego płótna. Światło jego latarni zatańczyło na kałużach. Teraz już zapewne kawaler nie będzie musiał czekać długo. Ciekawe, jak nieprawdopodobne sploty wyczarował fryzjer z włosów Charpillon? Jaką niezwykłą koafiurę stworzył na jej głowie? - Je fadore... Je fadore...

Woda - lodowata, błotnista deszczówka - jęła przesączać się przez szwy jego

trzewików. Jeżeli postoi tu jeszcze trochę dłużej, nie będzie już mógł się pokazać komukolwiek na oczy. A gdy na dodatek dadzą znać o sobie dawne odmrozenia czy też hemoroidy nękające go od czasu uwięzienia w Polombi, wówczas na pewno odejdzie Andrew Miller 221 go ochota do cielesnych uciech; lecz jeśli teraz powróci do domu, straci mnóstwo pieniędzy. Lord Pembroke, ten miody ogar, będzie miał niezłą uciechę, a wraz z nim, kosztem kawalera, ubawi się cały West End.

Casanova uniósł w górę klatkę z ptakiem, ostrożnie przekroczył rzekę błotnistej mazi płynącej środkiem Denmark Street i zapukał do drzwi. Żadnej reakcji. Po chwili zapukał znowu, tym razem mocniej, lecz w tej samej chwili poczuł, że drzwi ustępują pod uderzeniem jego dłoni. Otworzył je pchnięciem i stanął - ociekający deszczem - w ciemnym holu, dzierżąc w dłoni klatkę z papugą. Służąca wykazała się dużą nierozważą, zostawiając drzwi wejściowe niezamknięte na zasuwę. Dopiero po chwili przyszło mu do głowy, że zrobiła to umyślnie, by jej kochanek mógł po skończonej sprawie wymknąć się niepostrzeżenie z domu. To spryciara! Casanova postawił klatkę na podłodze, wyjął ptaka i posadził sobie na przedramieniu.

- Je t'adore - wymamrotał. - Je t'adore...

Papuga przycupnęła spokojnie na jego rękawie. Kawaler pogłaskał delikatnie ciepłe od pulsującej krwi pióra i począł, bardzo powoli, przesuwając się korytarzem. Bładziutkie, ledwo dostrzegalne światło przesączało się szparą spod drzwi saloniku. Serce waliło mu tak, jakby przemierzył wielki kawał drogi biegiem. Przytknął ucho do drzwi. Ach! Teraz słyszał ją wyraźnie. Ona... ależ tak... ona najwyraźniej szlochała. Biedna Marie! Jakżeż musiała kochać swą babcie! Czy nie powinien w tej sytuacji się wycofać? Bez wątplenia byłby to uczynek nadzwyczaj szlachetny, jednak co wówczas począłby ze swą wenecką dumą, jak zniósłby kpiny tych wszystkich cudzoziemców? Było też coś jeszcze: coś perwersyjnego i nieopanowanego - wewnętrzny imperatyw, który kazał mu iść naprzód.

Kawaler przyglądał pióra na głowie ptaka, wziął głęboki oddech i otworzył drzwi do niewielkiego saloniku.

W pierwszej chwili - pochłonięci zmaganiem, wpatrzeni w swe twarze, ponaglący się nawzajem - nie zauważyli Casanovy, stojącego ni to na zewnątrz, ni

to w środku, jakby nie mógł się zdecydować, czy właściwie nie powinien wycofać się w głąb korytarza, wybiec w deszcz, by skryć się w jakimś ustronnym miejscu, gdzie nie musiałby odgrywać tak groteskowej roli. Wkrótce jednak był już nad nimi, już na nich nacierał: ptak siedział mu na jednej ręce - w drugiej Casanova dzierżył laskę uniesioną do ciosu. Charpillon wrzasnęła i zrzuciła z siebie fryzjera, tak że spadł na dywan, otumaniony, zarumieniony od rozkoszy, śmiesznie nadęty. Z desperacką miną przyjął pierwsze uderzenie laską po plecach. Rozległ się odgłos wilgotnego plaśnięcia. Papuga, wściekle skrzecząc, wzbiła się w powietrze, niezdarnie zamachała skrzydłami, obleciała pokój i zniknęła za otwartymi drzwiami. Fryzjer, któremu krew spływała z jednego ucha, pochwycił w garść spodnie i - przeklinając, a zarazem błagając o litość - skrył się, podrygując niezdarnie, za oparciem sofy. Casanova jednak z miejsca natarł na niego, wałąc na oślep laską i kopiąc młodego człowieka tak, jak gdyby dokładnie wiedział, w które miejsce trafić, jak gdyby latami studiował ułożenie wszystkich splotów nerwowych i rozmaitych rdzeni delikatnych niczym płatki orchidei. Życie swemu kochankowi uratowała w końcu Charpillon, która rzuciła się na kawalera z pięściami - jakby byli bez mała parą zawodowych bokserów. To oczywiste, że nie czyniła tego po raz pierwszy: chociaż uderzenia Casanovy były dużo silniejsze, na jeden jego cios odpowiadała trzema. Kawaler musiał postąpić do tyłu; fryzjer - korzystając z zamieszania - szybko otworzył okno i wyskoczył na łeb, na szyję prosto do ogrodu. W tej samej chwili matka Charpillon oraz jej ciotki wpadły do pokoju niczym szwajcarska gwardia przyboczna, uczepliły się płaszczem kawalera i zaciągnęły go pod ścianę, gdzie zmagaly się z nim przez moment, dopóki trzask frontowych drzwi - głuchy, złowróżbny odgłos - nie przywołał ich wszystkich: rozzłoszczonego mężczyzny w średnim wieku i trzech niemłodych już kobiet, do porządku. Stali sapiąc i dysząc, unikając swego wzroku, jednak już po chwili zaczęli, jedno przez drugie, wyrzucać z siebie słowa, chóralnie wykrzykując wzajemne oskarżenia - niby w scenie zbiorowej z kiepskiej operetki.

- Oooo! - biadała ulubiona ciotka Charpillon. - W tę straszliwą pogodę Marie na pewno złapie jakąś śmiertelną chorobę. Jakież z pana dureń! - mówiąc to,

wymachiwała wachlarzem przed nosem kawalera.

- Kto to słyszał, by wkładać się do cudzego domu jak złodziej! Niech pan patrzy, nie zdążyła nawet założyć butów! - wykrzykiwała matka.

- Jesteś grubianinem, monsieur - wtrąciła Ciotka Numer Dwa - żeby tak przerazić tę biedną dziewczynę...

- Na pewno ją zamordują - biadała matka, wymownie pociągając nosem i załamując ręce.

- Na ciebie spadnie odpowiedzialność, monsieur - oznajmiła Ciotka Numer Dwa oskarżycielskim głosem - jeżeli spotka ją coś złego.

- A jak niby - zachnął się Casanovą, przyparty do ściany niczym osaczony jelen - jak niby powinienem się był zachować, gdy przyłapałem ją w miłosnym uścisku z fryzjerem? Wykazać stoicki spokój? Filozoficzne podejście do sprawy?

- Zawracanie głowy, monsieur - odrzekła matka, teraz już jednak tonem bardziej pojednawczym i rzeczowym. - Ów młody człowiek nic dla niej nie znaczy. Zawrzała w niej jedynie gorąca krew.

- Młodzi są impulsywni - dodała ulubiona ciotka Charpillon. - Czyż ty, monsieur, nie byłeś impulsywny w czasach swej młodości?

- Impulsywny, madame?! - wrzasnął Casanova z twarzą wykrzywioną tak straszliwym grymasem, jakby właśnie przed chwilą odgryzł przez przypadek koniuszek własnego języka. - Impulsywny?! Mówisz do mnie, madame, dokładnie w taki sposób jak rajfurka. I nic dziwnego, albowiem twoja siostrzenica jest jedynie zwykłą...

- Co w zasadzie - przerwała mu druga ciotka - zamierzasz, panie, uczynić w sprawie Marie? Niechybnie wpadła do jakiejś okropnej piwnicy. Czemu nie pójdziesz i jej nie poszukasz?

Kawaler zamierzał pochylić się i wrzasnąć jej prosto w twarz: „A dlaczego, do diabła, miałbym sobie w ogóle zawracać tym głowę?”. Zreflektował się jednak. Ta ciotka miała rację. Młoda kobieta sama na ulicy w noc tak ciemną, tak straszną... To mogło się źle skończyć. Było szaleńczo niebezpieczne. A gdyby rzeczywiście coś się stało? Wówczas, bez wątpienia, czułby się odpowiedzialny, nękałoby go poczucie

winy.

Na moment zaległa cisza. Z poręczy sofy zwieszały się jakieś części ubrania, intymnej bielizny. Casanova nie chciał na to patrzeć, odwrócił więc wzrok i zobaczył małą służącą stojącą w drzwiach, z szeroko otwartymi ustami. Kazał jej przynieść latarnię. W strugach deszczu szukał Charpillon przez godzinę, po czym znów pojawił się na Denmark Street. Czy już wróciła? Jeszcze nie. Kobiety patrzyły na niego w taki sposób, jakby przyszedł z rękami unurzany w niezastygłej krwi Marie. W zamięcie myśli nie umiał zdecydować, kto z nich właściwie ma rację. Czy on, Giacomo Casanova, kawaler de Seingalt nie został przypadkiem wystrychnięty na dudka w sposób najbardziej spektakularny? Przyprawił mu rogi fryzjer! A do tego, jeśli Charpillon zadawała się z fryzjerem, to być może także z chłopakiem sklepikarza, zamiataczem ulic czy pierwszym lepszym domokrażcą.

Po chwili jednak przed oczami kawalera stanął obraz zupełnie inny: siebie samego, wysokiego cudzoziemca o szczególnej reputacji, który nagle wpada do domu prawie obcych kobiet, macha im przed nosem papugą i rzuca się z laską na ich fryzjera - ów łotrzyk żebra będzie miał naznaczone sińcami co najmniej przez najbliższy miesiąc. A właściwie, czy w ogóle można oskarżać dziewczynę o zdradę? Przecież Marie niczego mu nie obiecywała, nie zapadły między nimi żadne ustalenia. Na dobrą sprawę Charpillon mogłaby utrzymywać, że prześladował ją niemal od chwili, gdy pierwszy raz spojrzeli sobie w oczy. Jakiś dziwny chłód zmroził mu nagle szpik w kościach. Przeprosił kobiety i pognał najszybciej jak mógł na Pali Mali. Ściągnął z łóżka Jarbę, obudził kucharza, wysłał sługę po nocnego stróża i poprowadził ich wszystkich w noc, rozcinając światłem latarni oślizgłe trzewia ulic, zaułków, dziedzińców i schodów. Nigdzie ani śladu Charpillon, ani śladu jakiegokolwiek żywej duszy! Nie przerywali jednak poszukiwań: ocierali deszcz z twarzy, wpadali w kałuże czarne niczym inkaust, przeskakiwali Andrew Miller 225 przez pieniste rzeki nieczystości, wykrzykując przy tym - niczym potępione dusze topielców - ociekające deszczem sylaby imienia dziewczyny.

Jeszcze dwukrotnie tej nocy kawaler wpadał na Denmark Street, by ponownie wyruszyć w mrok. W pewnej chwili był już tak wyczerpany, że wydawało mu się, iż

jego ciało stało się niespodziewanie niezależnym bytem, chlupoczącym gdzieś obok niego czy pod nim, a może i powyżej. Dopiero gdy w ostatnich minutach owej żalosnej nocy Jarba wziął go za rękę, powiódł na Pali Mali, zaprowadził na górę do sypialni, rozebrał i usadził przy ogniu, Casanova pojął, jak bardzo był wyjałowiony z sił i ducha.

Zaczął szlochać. Jarba dodawał mu otuchy - dyskretną obecnością, spojrzeniem swych oczu, które widziały ludzi wyskakujących z pokładu statku, by już nigdy więcej się nie wynurzyć na powierzchnię. Wznowią poszukiwania rano, na pewno ją znajdą. Bez wątpienia poszła do domu jednej z przyjaciółek - być może małej panny Lo-renzi.

- Dziękuję, Jarba - wymamrotał Casanova, pozwalając się poprowadzić w stronę łoża z przygotowaną pościelą, jakby był inwalidą. - Caro Jarba... Jak myślisz, czy ten deszcz w końcu przestanie padać?

Nie było odpowiedzi. Sługa wyszedł. Kawaler usiłował zmówić jakiś pacierz, lecz gdy tylko zamykał powieki, prześladował go natychmiast obraz pewnej sceny. Nie, nie był to widok Charpillon i jej fryzjera zespolonych w uścisku tak, że zdawali się jednym stworzeniem o dwóch grzbietach, ale obraz siebie samego, takiego, jakim musiał się przedstawiać ich oczom, gdy wbiegał do pokoju z wykrzywionymi ustami - pustą dziurą jak gdyby wyszarpaną w twarzy - niczym u złowrogiego monstrum.

Zegarek kawalera cykał na komódce jak świerszcz. Casanova nabrał w końcu absolutnej pewności, że nie zdoła zasnąć - że teraz spoczynek mogłaby mu zapewnić jedynie kula w mózgu.

Gdzieś tu zapewne były jego pistolety, długolufe instrumenty terroru, narzędzia rzeźnicze do uśmiercania świń. W jednym z sakwojaży? Czy może Jarba odłożył je już na miejsce do dolnej szuflady komody? Czy zdołałby namówić sługę, by je dlań nabił? Na myśl o błędzeniu po sypialni w poszukiwaniu prochu i ołowianych kul zrobiło mu się niedobrze. O wiele prościej byłoby wynająć ludzi, płatnych morderców, którzy wkroczyliby do pokoju, stąpając cicho w lekkich pantoflach i zadusiliby go dłońmi obciążonymi miękką skórą rękawiczek. Zapewne w mieście tak wielkim jak Londyn udałoby się znaleźć podobnych ludzi.

Płomień podskoczył na knocie świecy, resztki wosku zaskwierczały, ogieniek błysnął raz jeszcze, po czym zgasł. Po minucie - a może po godzinie - Casanovę dobiegł trzask okna otwieranego po drugiej stronie ulicy, a potem głos, który słyszał tak często, znów oznajmił donośnym krzykiem, podobnym do nawoływania muezina, swą tajemną wiadomość. Kawaler wychylił się przez okno, lecz nikogo nie zauważył. Deszcz padał przez całą noc.

Dzień nie rozpoczął się pomyślnie. Przybył posłaniec z Denmark Street z wiadomością, że do tej pory nie znaleziono Charpillon. Casanova chodził nerwowo po domu, aż w końcu, mamrocząc coś do siebie i ogryzając nerwowo skórki wokół paznokci, wyszedł i pod nieporęcznym parasolem, z którego woda kapiała wprost na jego buty, przemierzył pieszko Pali Mail i Haymarket. Cały świat tymczasem nabrał jednolitej barwy - srebrzystej szarości - tak że trudno było stwierdzić, dokąd sięgają dachy, a odkąd zaczyna się linia nieba, i gdzie kończą się kamienne stopnie domów, a zaczyna błoto ulicy. Nawet ludzie obserwowani z daleka mieli ten sam srebrzysty odcień, co iglice kościołów w Niderlandach.

Charpillon była już w domu. Powiedziała mu o tym służąca, stojąc w drzwiach i marszcząc groźnie brew w taki sposób, jakby jej surowo przykazano, by przybrała marsową minę, którą następnie ćwiczyła co najmniej przez godzinę przed lustrem. Czy mógłby zobaczyć się z jej panią, by sprawdzić jak się miewa?

Nie mógłby. Żadnych gości poza medykiem. I chirurgiem. I pigularzem. I posłańcem pigularza. I...

- Czy przynajmniej mogłabyś mi powiedzieć, moje dziecko, co jej dolega? Czy cokolwiek zagraża jej życiu?

- Pan ją zniszczył! - wrzasnęła matka Charpillon, wychylając się nieoczekiwanie zza ramienia sługi. - Nigdy dotąd nie widziałam jej w tak strasznym stanie. Wstrząs doprowadził ją do utraty zmysłów, monsieur.

- Do utraty zmysłów? - powtórzył odruchowo Casanovą, niepewny sensu tych złowieszczych słów. - Ja tylko chciałbym jakoś pomóc. Jeżeli nie mogę się z nią zobaczyć, niech mi choć wolno będzie zapłacić za jej leczenie.

Wyjął z kieszeni dobrze wypchaną sakiewkę; wraz z nią wysunęło się szare piórko z czerwono zabarwionym brzegiem i wirując opadło powoli na próg. Oboje przez chwilę wpatrywali się tępo w jego lot.

- Tutaj jest wystarczająco dużo pieniędzy, madame - rzekł kawaler, wyciągając przy tym mieszek w jej stronę - by zapewnić pani córce jak najlepszą opiekę.

Madame Augspurger spojrzała na sakiewkę i lekko poruszyła głową w jakimś dziwnym geście, jakby w wyobraźni wrzucała do kieszeni kamienną kulę do gry.

- Pieniądze! - rzuciła pogardliwym tonem, po czym spieszenie chwyciła sakiewkę i ukryła pomiędzy fałdami sukni.

W tej samej chwili przybył medyk. Odepchnął gwałtownie Casanovę i wpadł do holu; drzwi zaraz zatrzaśnięto i zaryglowano na obie zasuwki: górną i dolną. Kawaler stanął po drugiej stronie ulicy i wpatrywał się w okna Charpillon. Oczyma wyobraźni widział konsyliarza, jak stoi nad łóżkiem dziewczyny z ponurą miną na znak, że już nic nie może w tej sytuacji zrobić, i potrzasa przecząco głową w stronę przerażonych kobiet, które zaciskają kurczowo różańce w dłoniach, odmawiając modlitwy i w rozpaczliwym geście przyciskając do ust chusteczki.

Gdy doktor ponownie pojawił się w drzwiach, kawaler rzucił się przez ulicę i - ku przerażeniu medyka - Wskoczył na stopnie powozu. Ale jedynymi angielskimi łowami, które teraz przychodziły mu do głowy, były pewne terminy karciane oraz ze dwa lub może trzy zdania wyrażające fałszywe pochlebstwa. Medyk przekonany, że to napad rabunkowy, rzucił domniemanemu złoczyńcy w twarz garść drobnych monet, po czym dźgnął go silnie w pierś gałką laski. Kawaler się zachwiał, poślizgnął na błocie i zanim zdołał ponownie postawić stopę na schodkach powozu, doktor zatrzasnął drzwi i pojazd potoczył się w stronę Holbourn, wyrzucając spod kół szerokie fale wody na kształt ruchomych fontann przemysłnej konstrukcji.

Casanova powlókł się w stronę Pali Mali, licząc cały czas kroki. Było ich siedem tysięcy dwieście dwanaście od drzwi Charpillon do progu jego własnego domu.

Przez cały dzień pomiędzy domami przy Pali Mali i Denmark Street kursowali posłańcy. Niekiedy liściki - kawaler nie wiedział, która z kobiet je pisała, ponieważ żaden z nich nie był opatrzony podpisem - oferowały strzępek nadziei: Marie wypowiedziała parę słów; wypła nieco rosołu; uśmiechnęła się słabo. Kolejne wiadomości nadzieję ową odbierały, miała gorączkę; wymiotowała; medyk nie ręczy za jej życie. Ostatni liścik, dostarczony przez milczącego Rostainga o zmierzchu - gdy półmrok nabrał odcienia upiornej zieleni, a powietrze przesiąkał nadzwyczaj ostry zapach morskiej bryzy - był treści najgorszej.

„Monsieur, ona panu przebaczyła”. Przebaczyła! Zapalił w intencji Marie świece w kaplicy ambasadora Bawarii, a potem spieszenie udał się na Duke Street i kolejnych tuzin ustawił w kaplicy ambasadora Sardynii. Po powrocie do domu przespał się dwie godziny, a potem długo leżał z oczami szeroko otwartymi, wpatrzony w pustkę. Zszedł na dół, gdy zapalono lampy, i dowiedział się od razu, że deszcz zalał piwnice, i że jeśli będzie tak padać jeszcze przez dwa dni z rzędu, rzeka wyleje z brzegów. Casanova prawie nie słuchał. Pokiwał głową, po czym wzruszył ramionami. Nic go nie obchodziła powódź w tym mieście. Niech ginie zalane wielkimi falami rzeki.

O dziewiątej wieczorem, nie mogąc już dłużej znieść braku jakichkolwiek wieści, kazał się zanieść na Denmark Street. Nieszczęśni przemoczeni tragarze brnęli z trudem przez potoki wody sięgające kolan. W domu pań Augspurger okiennice zawarto na głucho. Deszcz spływał strugami po uniesionej twarzy Casanovy. Na jego nawoływania odpowiadały jedynie psy. Nikt nie reagował na pukanie.

Na wodzie, tuż obok jego nogi, kołysał się, niczym maleńka łódka, dziecinny bucik. Kawaler podniósł go i obrócił w dłoniach. But to złowróżbny znak. Bezmyślnie schował go do kieszeni. W tym samym momencie otworzyły się drzwi domu Charpillon i czarno ubrany mężczyzna, osłaniający głowę peleryną, wyskoczył na ulicę. Casanova rzucił się naprzód i chwycił go za ramiona.

- Czyś jest medykiem, monsieur?

Lecz już w momencie gdy zadawał to pytanie, spostrzegł księżowską sutannę i koloratkę. Puścił kapłana i przez dłuższą chwilę stał na ulicy w bezruchu, jak

zmartwiały. Czuł, że mała służąca, która pojawiła się na progu, chciałaby mu coś powiedzieć, ale gdy się zwrócił w jej stronę - natychmiast zatrzasnęła drzwi.

Oczywiście. Więc ją zabił. Od początku nie ulegało wątpliwości, że jedno z nich doprowadzi drugie do zguby. Linie ich życia były wymierzone przeciw sobie niczym ostrza wrogich sztyletów. Casanova wyjął z kieszeni portfel i złożony starannie banknoty - nie zadał sobie trudu, by je policzyć - wrzucił do środka plik przez szeroką szparę u góry drzwi. Teraz rozmowa ze zrozpaczonymi kobietami nie miałaby już żadnego sensu. Najprawdopodobniej będą go ścigać prawem, ale - gdyby do tego doszło - kawaler nie zamierzał się bronić. Wybuchnął histerycznym śmiechem. Mokre ubranie kleiło mu się do ciała, jego peruka była w opłakanym stanie, a pończochy pokrywała czarna maź brudu i błota niesionego ulicami przez potoki wody. Na Pali Mali, w swej sypialni, kawaler rozebrał się i rzucił przemoczone ubranie na podłogę. Stał nagi przed lustrem i spojrzał na siebie oczami grabarza. Śmierć wydała mu się naraz tak bardzo nieuchronna. Żaden magiczny pył, żadne złoto świata nie pomogą człowiekowi uniknąć chwili, w której dopadnie go świadomość nieodwołalnego końca. Można na krótko odsunąć od siebie ów moment, otepiając się musującym winem, hazardem i drobnymi intrygami, lecz i tak wreszcie nawiedzi człowieka owa prawda - tak jak nawiedziła go teraz, w godzinie ciszy zabarwionej deszczem - i wówczas jest się już zgubionym.

Kiedyś wyobrażał sobie, że będzie to moment straszny. Teraz jednak nieoczekiwanie nabrał przekonania, że dotarł do miejsca przeznaczenia, ku któremu zmierzał wytrwale już od wielu lat. Nie bał się wcale, czuł tylko smutek - był on jednak do zniesienia. W pewnym sensie tego właśnie pragnął - być może już od dawna marzył, aby osiągnąć podobny punkt w swym życiu. Jeśli tak było w istocie, żałował jedynie, że po to, by on mógł dotrzeć do kresu, musiała swój koniec odkryć także Charpillon. Dostrzegł w tym coś niewyobrażalnie nietaktownego, niedającego się wybaczyć. Casanova przycisnął usta do szklanej tafli, ucałował swe odbicie na pożegnanie i odszedł od lustra.

Wyciągnął z szafy suche ubranie, wybrał wszystko z wielką starannością, po czym - w zakiecie i spodniach koloru francuskiej szarości - zasiadł przy stole, by

napisać kilka niezbędnych listów. Sprawiało mu to niemal przyjemność, ponieważ z każdym ukończonym listem opieczętowanym woskiem mógł wyrzucić z pamięci jeszcze jedną sprawę, o której już nigdy nie będzie musiał myśleć. Stos papierów rósł szybko; kawaler zapalił świecę i wysączył kieliszek brandy. Jakżeż nieprawdopodobną liczbę ludzi zdążył poznać w swym życiu! Do tych, których znał najlepiej, pisał notki najkrótsze. Oni rozumieją. Będą obracać jego listy w dłoniach w Wenecji i w Rzymie, w Paryżu i Królewcu, a gdy czarne płatki pokruszonej pieczęci opadną na ich stoły, rozumieją. Byli szczególnymi ludźmi, żyli w szczególnym wieku.

Listy owe pisał jeszcze następnego ranka. Ostrzył pióro tak często, że stosina nie była już dłuższa od jego małego palca. Czy powinien ściągnąć z dłoni pierścienie? Pokręcił nimi i zdjął je po raz ostatni, po czym ułożył w równej linii na stole. Rozluźnił palce, strzelił stawami. A po chwili - gdy już osuszył i zapieczętował ostatnie pismo - podszedł do okna i otworzył okiennice; wciąż padało, chociaż teraz nieco mniej obficie. Kawaler rozejrzał się powoli po pokoju i dokonał pewnych drobnych porządków. W wyobraźni widział ludzi, którzy wchodzą tu i szperają w jego książkach, myszkują po szufladach, być może przywłaszczają sobie nawet ten czy inny drobiazg - na pamiątkę po wielkim Casanovie!

Gdy już był gotowy, zszedł na dół, wziął parasol z kąta przy drzwiach i wyszedł z domu. Nie chciał widzieć się z Jarbą. Sługa spojrzalby mu w oczy i natychmiast odgadłby jego zamiary. Biedny człowiek! Nie miał szczęścia do swych panów. Na zewnątrz, z umysłem nagle wyzwolonym od trosk, z lekkim sercem, mając poczucie, że jest nareszcie wolnym człowiekiem - pierwszy raz od miesiący, a może nawet od lat - Casanova maszerował na wschód i miał wrażenie, że postrzega świat na nowo, że odkrywa ponownie jego nieskończoną różnorodność, tak jak to dane jest jedynie skazańcom. W sklepie rusznikarza przy Charing Cross, naprzeciw kawiarni, zakupił kilkanaście pudełek ołowianych kul - tak wiele, jak tylko zdołał na siłę upchnąć po wszystkich kieszeniach. Kiedy wyszedł ze sklepu, musiał iść dużo wolniej, a gdy dotarł do White-hall Steps, by wynająć łódź, która miała zabrać go do Tower - stamtąd właśnie zamierzał wyruszyć w swą podróż w zaświaty - w karku i ramionach

czuł nieznośny ból od dźwigania takiej ilości ołowiu, a stopy grzęzły mu w błocie z powodu znacznie zwiększonego ciężaru; poruszał się w tej chwili z tak wielką trudnością, jak gdyby już znajdował się pod wodą.

Stopni prawie nie było widać, poziom rzeki był tak wysoki, że zdawała się niemal zrównywać z powierzchnią ulicy. Casanova machnięciem ręki przywołał przewoźnika, po czym - pełen obaw, że się pośliznie i zakończy całą sprawę w sposób zbyt pośpieszny i niezadowolający - uchwycił się drewnianego słupa, przez chwilę balansował pod parasolem, by w końcu, ostrożnie, postawić nogę w łodzi.

- Seingalt!

Obejrzał się, stojąc w rozkroku ponad wodą, wściekły, że jego ostatnia podróż - tak smutna i piękna, i skąpiana w deszczu - została nagle zakłócona.

- Seingalt!

Powóz zaprzężony w cztery błyszczące, czarne konie stał tuż przy murze okalającym prywatne ogrody. Przez moment Casanova namyślał się, czy nie zignorować nawoływań tego aroganckiego, władczego głosu i udać, że go nie słyszał. Za pół minuty znalazłby się na środku rzeki, a wtedy już żadna siła nie mogłaby go powstrzymać.

- Seingalt!

Kawaler wydał z siebie westchnienie ciężkie niczym trzech tęgich mężów, wyjął nogę z łodzi i powłókł się w stronę powozu. Z wnętrza wychylił się lord Pembroke.

- Nie ogoliłeś się dzisiaj, milordzie - zauważył Casanovą. - Nigdy przedtem nie widziałem cię, panie, z zarostem.

Jego Lordowska Mość dotknął podbródka i skrzywił się ze wstrętem.

- Całą noc byłem u Moll King. O drugiej nad ranem straciłem wszystkie posiadłości, swój tytuł, wszystkie me szaty, a nawet zegarek. Gdybym wówczas wyszedł, nie miałbym pistoletu, by się zastrzelić. I być może przy szedłbym do ciebie, Seingalt, skorzystać z twojego.

- Rozumiem jednak - odrzekł Casanova, czując się tak, jakby prowadził tę rozmowę nie na jawie, lecz we śnie - że wygrałeś, panie, rozdanie następne.

- W rzeczy samej. I teraz jakiś inny łajdak jest kom pletnie zrujnowany. Dokąd

się udajesz? - Nigdzie w szczególności. Zażywam jedynie porannego powietrza. - To bardzo niezdrowo przechadzać się w deszczu. Uderzając o czaszkę, czyni z ludzi szaleńców. Wejść do powozu. Jadę do balwierz, a potem zamierzam się oddać pewnej drobnej rozrywce. Chciałbym, byś mi towarzyszył. Nie będzie cię to kosztować ni szylinga.

Casanova usiłował się wymówić; jednak lord Pembroke zbywał wszystkie jego wykręty machnięciem dłoni. W końcu - dochodząc do wniosku, że godzina czy dwie zwłoki nie czynią wielkiej różnicy, jeśli człowiek wybiera się w drogę ku wieczności - kawaler złożył parasol, wspiął się po schodkach powozu i usiadł naprzeciw młodego lorda.

- Powiedzże mi, Seingalt, czy wygrałem nasz drobny zakład?

- Wygrałeś, milordzie. Pieniądze czekają na ciebie na Pali Mali. Możesz je odebrać w każdej chwili dla ciebie dogodnej.

Pembroke zachichotał.

- Czyżbyś więc w końcu zrezygnował? Jeśli tak, mam nadzieję, że nie będziesz miał nic przeciw temu, bym te raz ja spróbował szczęścia.

- Nie, milordzie. Dla mnie to już bez znaczenia.

U balwierz Casanova cały czas się zastanawiał, czym by się tu wymówić od owej drobnej rozrywki - która, bez wątpienia, miała być jakąś orgią - gdyż myśl o podobnych zabawach wzbudzała w nim w tej chwili niewypowiedzianą odrazę. Kilkakrotnie już otwierał usta, jednak w końcu nie wyrzekł słowa. Twarz lorda Pembroke parowała pod ręcznikami. Balwierz, otoczony swymi przyborami: szpilkami, szczypcami do loków, skórzanymi wałkami i długimi spiralnymi maszynkami, naostrzył brzytwę i przejechał nią po własnej dłoni. Kawaler się skrzywił. Z każdą chwilą coraz gwałtowniej słabła jego stanowczość. Cóż on właściwie robił w tym zakładzie fryzjerskim, który nagle zdał mu się pustą otchłanią, niezwykłym przedprożem czyścica? Miał wrażenie, że nie zdoła już nigdy wstać z krzesła, na którym właśnie siedział, że będzie już teraz musiał tkwić tutaj całą wieczność w przyprawiających go o mdłości oparach talku i palonych włosów, jednak w końcu - albowiem tak wielką siłę miały wymogi etykiety - gdy ujrzał twarz

lorda Pembroke błyszczącą jak zwykle, o niemal dziewczęcej gładkości, zdołał dowlec się z powrotem do powozu. Prawdę powiedziawszy, kawaler był szczerze zdziwiony, że milord nie zauważył, iż przebywa w kompanii człowieka, który już pożegnał się z życiem. A może Jego Lordowska Mość zdołał spostrzec to od razu, jeszcze ze znacznej odległości? Czyż mógł mieć jakiś interes w ratowaniu życia Casanovie?

Zatrzymali się przy tawernie na Dirty Lane. Lord Pembroke zażyczył sobie dyskretnego gabinetu, po czym zamówił zimne mięsa i podał nazwiska czterech kobiet, najwyraźniej dobrze znanych właścicielce lokalu. Wkrótce pojawiła się służba z pełnymi półmiskami i butelkami trunków. Casanova pociągnął łyk szampana. Okazał się zaskakująco dobry! Skubnął kawałek gołębia na zimno. Ależ to niebywałe! Jeszcze godzinę temu miał pewność, że już nigdy w życiu nie zakosztuje żadnego jedzenia.

- Czy wprowadzić muzyków, milordzie?

Czterech mężczyzn, poprzedzanych przez jednego ze służących, weszło do środka, szurając stopami. Każdy z nich niósł instrument w jednej ręce, drugą zaś opierał na ramieniu towarzysza idącego tuż przed nim. Och, oczywiście, pomyślał Casanova ze znużeniem, żadna orgia nie mogłaby się przecież odbyć bez ślepych grajków. Kobiety kazały czekać na siebie dłużej. Zatrzymały je, zapewne, saturnalia w jakiejś innej tawernie, gdzie bawiły innego młodego lorda i jego cudzoziemskiego gościa. Gdy się w końcu zjawily, otrząsały z paluszków deszcz i raz po raz wybuchały śmiechem. Lord Pembroke przedstawił je kawalerowi i muzycy zabrali się do pracy. Spod wpełprzymkniętych powiek wyzierały ich oczy bez wyrazu, grobowe zaś miny i wykrzywione twarze robiły takie wrażenie, jakby ludzie ci obawiali się, że w każdej chwili ogarniającą ich ciemność może przeszyć świst dłoni wzniesionej, by zadać im cios. Kobiety piły, pił także lord Pembroke. Casanova uśmiechał się do nich pobłaźliwie niczym wyrozumiały proboszcz udzielający ślubu, którego nie pochwalał. Jedna z ladacznic, Celeste, młoda dziewczyna z Normandii, usiadła mu na kolanach. Jej suknie nie były pierwszej świeżości - miały zapach teatralnych kostiumów. Kawaler poklepał kobietę przyjaźnie po dłoni, lecz gdy

pochyliła się, by pocałować go w policzek, odsunął ją delikatnie.

- Czy ile się czujesz, monsieur?

Powiedział jej, że to nic, jedynie lekkie osłabienie, chwilowa niedyspozycja, która wkrótce minie; nie chciał psuć wszystkim zabawy. Lord Pembroke pisał z pozostałymi kobietami: w tańcu się rozbierali, wyrzucając ubrania wysoko ponad głowy. Jego lordowska mość zawołał do Casanovy, by się do nich przyłączył. Kawaler pomachał dłonią, starając się przy tym wywołać na twarzy najbardziej lubieżny uśmiech.

- Przyłączę się do kompanii nieco później. W tej chwili nie czuję się najlepiej.

Celeste wsunęła dłoń między jego uda i przekonawszy się o obojętności mężczyzny na swe wdzięki, wzruszyła ramionami.

- Czy chcesz, bym go pobudziła, monsieur? - spytała takim tonem, jakby interesowała ją nazwa stolicy Peru.

Potrząsnął głową i odsunął rękę kobiety. Nie mógł się sobie nadziwić. Do tej pory nawet rozpalony gorączką czy pogrążony w najgłębszej melancholii był zdolny się roznamiętnić i skorzystać z tego, co miał pod nosem. Teraz, żeby uwolnić się od jej ciężaru - był już bowiem i tak nad miarę obciążony - rzekł:

- Chciałbym zobaczyć, jak tańczysz.

Pozostali, już całkiem nadzy, podrygiwali w jakimś absurdalnym pląsie. Celeste rozebrała się i dołączyła do nich. Casanova raz po raz zerkał w stronę drzwi, zastanawiając się, czy nie udałoby mu się wymknąć niepostrzeżenie i pozbyć jakoś ołowianych kul - gdzież jednak mógłby je zostawić? Czy nie wyglądałoby to nadzwyczaj dziwnie? Czy wtedy wszyscy nie odgadliby od razu jego tajemnicy?

Nalał sobie jeszcze jeden kieliszek szampana i rozsiadł się wygodnie na ławie. Tutaj przynajmniej płonął ogień w kominku. Ziewnął. Jakież widowisko robili z siebie ci młodzi ludzie. Czy rzeczywiście ich to cieszyło? Trudno było w to uwierzyć. Czy muzycy uważali, że omija ich coś wspaniałego? Widok młodych bogów i boginek wyginających się wdzięcznie, jak w scenach Fragonarda? Z jaką ochotą poinformowałby ich, że nic nie tracą: że to jedynie cztery ladaczniczki i rozwydrzony młody arystokrata swawolący w tawernie niczym wyrośnięte dzieci, pozbawieni

jednak dziecięcej godności.

Taniec przeszedł teraz w kopulację. Casanova obserwował technikę lorda Pembroke z chłodnym zawodowym zainteresowaniem, tak jakby obserwował innego gracza w karty. Młody człowiek nie zrobił na nim szczególnego wrażenia, jednak kawaler uśmiechnął się zachęcająco, wznosząc w górę kielich. Celeste, rozsiewająca po tańcu silniejszy zapach ciała, znów usiadła mu na kolanach i wydawała się zdziwiona, że jego stan nie uległ zmianie.

Jakżeż długo się to wszystko ciągnęło! Cóż za ulgę poczuł, gdy Jego Lordowska Mość w końcu wdział ubranie. Tylko najwyższym wysiłkiem woli Casanova zdołał się podnieść z ławy. Wyszukał w kieszeni monetę i podał Celeste.

- Być może - powiedziała dziewczyna - monsieur za życzy sobie mojego towarzystwa następnym razem, gdy jego apetyt będzie większy.

- Niewątpliwie - zapewnił ją Casanova, zastanawiając się jednocześnie, czy podłoga wytrzyma jego ciężar.

Muzyków wyprowadzono z gabinetu niczym grupę skazańców, a Casanova i lord Pembroke zeszli na dół i wsiedli do powozu. Gdy skręcali w Pali Mali, ulice otulała gęsta ciemność przedświtu o jakimś niezdrowym zabarwieniu.

- Przyjadę po ciebie koło ósmej, Seingalt. Wybierze my się na przyjęcie do Ranelagh. Nie podoba mi się twój wygląd.

- Milordzie, mam niejakie wrażenie, że nie będę dziś odpowiednim kompanem. Być może następnym... - Nagle jednak kawaler zrozumiał, że nie ma sił protestować dłużej. - Dobrze, milordzie. A więc o ósmej.

Sequere Deum. Casanova chwiejnym ze zmęczenia krokiem wszedł do domu, zamknął za sobą drzwi nogą, z trudem zrzucił z ramion płaszcz, który ciężko uderzył o podłogę, a właściwie raczej chlupnął, bowiem, jak się okazało, w holu było na cal wody. Jarba, kucharz i pani Feaver, z nogami gołymi po kolana, stali na drugim końcu korytarza z wiadrami i szczotkami w dłoniach. Casanova powoli pochylił się ku powierzchni wody, klęknął Andrew Miller 237 wśród odbitego światła świec, migocącego i pulsującego jak galaktyki nietrwałych planet. Zamknął oczy. Ta woda. Ta woda... pachniała... pachniała... Domem!

O ósmej - kiedy ołowiane kule już dawno zostały wetknięte za łóżko, żeby tam leżeć do czasu, aż kawaler, spełniwszy wszelkie towarzyskie obowiązki, wreszcie będzie miał wolną chwilę, by się utopić - lord Pembroke zjawił się na Pali Mali i zabrał do swego powozu Casanovę wraz z Jarbą. Dojechali do konnego promu na końcu Vine Street. Dalej drogi były nieprzejezdne, zalane szlamem; w niektórych miejscach błoto było nawet tak głębokie, że pochłonęłoby pocztowy dyliżans.

Woźnica oświecał im drogę powozową latarnią, gdy szli dróżką na brzeg rzeki. Deszcz nie dawał za wygraną; mężczyźni pospuszczali runda kapeluszy, by ochronić peruki.

- Nigdy nie widziałem, by rzeka podniosła się tak wysoko - rzekł lord Pembroke.

- Czy to niebezpieczne? - spytał Casanova z nadzieją w głosie.

- Przy takich masach wody - odparł Jego Lordowska Mość, usiłując rozłożyć parasol kawalera - czy można znaleźć miejsce bezpieczniejsze od łodzi?

Sunęli czarną, skórzastą powierzchnią Tamizy. Przewoźnik, wyrzekając pod nosem, dzierżył mocno wiosło i pilnie rozglądał się wokół, podczas gdy prąd unosił ich szybko przez Vauxhall i Tothill, obok młynów Battersea i wodociągów Chelsea. Poruszali się z dużą prędkością, tak że gdy przybyli na miejsce, łódź z chrzęstem otarła się o pomost, przy którym duża grupa przewoźników siedziała w objajających się o siebie łodziach, czekając na odpływ. Gdy rzeka była w takim humorze, jedynie najsilniejsi mogli powiosłować pod prąd. Jeden z wiosłarzy coś śpiewał i przez kilka ekstatycznych chwil kawalerowi zdawało się - gdy niezdarnie wdrapywał się na oślizgły pomost - że ów człowiek śpiewa w jego własnej mowie, jakiś urywek „Merope” Jamelliego - ale czy to możliwe? Zapewne szum wiatru i deszczu płatał mu figle: te wszystkie bulgoty i chlupoty, te dźwięczne poświsty, szmery deszczu przypominające szelest widmowych krynolin unoszonych białymi palcami wiatru. Nic dziwnego, że wśród tych dźwięków człowiek miewał omamy.

Wstęp do Ranelagh kosztował pół korony. Lord Pembroke uiścił opłatę za nich wszystkich i zaraz też znaleźli się w ciepłej i oszałamiającej splendorze rotundy. Z sufitu na długich łańcuchach zwieszało się trzydzieści kandelabrow, a w rozsiewanym przez nie złocistym blasku tłum około dwustu osób paradował wokół potężnego centralnego filaru. Tutaj zebrało się o wiele wykwintniejsze towarzystwo niż w Vauxhall. Mężczyźni z Million Bank, Kompanii Mórz Południowych, Kompanii Lewantyńskiej i Królewskiej Giełdy, w doskonale skrojonych żakietach z czarnego aksamitu, poruszali się pewnie wokół bardziej napuszonych, arystokratycznych gości - niczym barki węglowe wokół śmigłych żaglowców. Wiele twarzy - lordów, ich żon, kurtyzan i wziętych artystów - było świetnie znanych Casanovie. Czyż to nie lady Stenhope w rozmowie z Caroline Fitzroy? A ta kobieta szepcząca do ucha lordowi Bristol to bez wątpienia diuszesa Grafton...

Wokół ścian rotundy poustawiano stoły z wykwintnymi daniami. Lord Pembroke, skłaniając lekko głowę w stronę znajomych - członków jego klubów: Whites i Hellfires - powiódł Casanovę do wolnego stołu i od razu zamówił dwa kubki grzanego wina, by wygnać wilgoć z kości.

- Powiedzże mi, Seingalt, czy nie czujesz, jak wstępujesz w ciębie nowe życie? Czyż to nie elegancki widok?

Casanova, opierając się na łokciach, z powiekami ciężkimi niczym skorupy orzechów włoskich, pochylił głowę i podziękował utytułowanemu młodzieńcowi za uprzejmość, którą ten mu okazał, zabierając go na przyjęcie. Zastanawiał się przy tym: Czy tak właśnie czuł się Łazarz, gdy już nie mógł się doczekać, by Chrystus i ta cała reszta nieproszonych naprawiaczy świata opuściła jego wioskę? Na myśl o lordzie Pembroke w roli Zbawiciela kawaler parsknął w duchu śmiechem.

- Jest tu dziś kilka niezwykłych piękności, Seingalt. Nie wierzę, żeś zupełnie stracił zainteresowanie dla tych spraw. Czyż dziewczyna rozmawiająca z Horacym Walpole'em nie wywołuje w tobie pragnienia, by natychmiast zjeść beczkę ostryg?

- W rzeczy samej, milordzie - zgodził się Casanova, nawet nie rzucając okiem w jej stronę.

- Jeszcze trochę alkoholu - zaproponował Jego Lordowska Mość - i przedstawię

cię każdej nimfie, która przypadnie ci do gustu.

Na podium, po drugiej stronie głównego filaru, muzycy zaczęli grać menueta, a grupa mężczyzn oraz kobiet ustawiła się pod podwyższeniem, wykonując sekwencje skomplikowanych, powolnych kroków, które miały w sobie jednak coś tak nieodparcie pociągającego, że Casanova, przełykając haust gorącego napoju, nie mógł się powstrzymać od śledzenia wzrokiem majestatycznych ruchów tancerzy. Czuł, że im zazdrości.

Jakże uparcie życie czepia się człowieka! Jakże trudno je z siebie strząsnąć! Gdyby nie podsycił w sobie nieustannie owej zimnej obojętności względem świata, mógłby zacząć się bać tego, co postanowił zrobić jutro czy najdalej pojutrze. Spojrzał na półmiski, z których tuż przed jego nosem unosiły się wijące smużki aromatycznej pary i ostrożnie wbił widelec w róg pieroga nadziewanego dziczyzną. Smakowitość tego dania rozczuliła go niemal do lez, wszak od powrotu ze wsi w zasadzie nie zjadł porządnego obiadu. Skubnął jeszcze kawałek.

Jesteśmy, zdecydował, gdy ciasto rozplątało mu się na języku, niedoskonale skonstruowani, nasz apetyt sprawia, że niezdarnie przysysamy się do mlecznej piersi życia nawet wtedy, gdy nasz rozum krzyczy: „Już dość!”. Być może pewnego dnia ludzie osiągną zdolność pozbawiania się życia li tylko siłą woli, lecz któż wtedy przetrwałby dzieciństwo?

- Seingalt - zagadnął lord Pembroke, marszcząc brew i potrząsając głową w sposób, który przywiódł Casanovie na myśl jego nieszczęsną papugę - czy słyszysz ten odgłos? Zdaje się, że dochodzi od...

- Odgłos, milordzie?

Jarba wskazał palcem na kandelabry, których szklane wisiory, drżąc delikatnie, wydawały wysokie, wibrujące tony, nieznacznie wybijające się ponad dźwięki muzyki. Niektórzy z usługujących także je dosłyszeli, zastygli w bezruchu z tacami w rękach i wpatrywali się w kopułę sklepienia.

- Wiesz, Seingalt - rzekł lord Pembroke sztywno - w roku pięćdziesiątym nawiedziło nas trzęsienie ziemi, które powaliło wszystkie kominy.

- W pięćdziesiątym piątym - odparł Casanova - trzęsienie ziemi poluzowało

belkę u powały mej celi w Wenecji. Przesiedziałem samotnie w więzieniu dziewięćdziesiąt siedem dni. Wówczas miałem wrażenie, że to sam Bóg zszedł na ziemię, by mnie ocalić...

Jego wzrok znów powędrował ku tancerzom. Nieświadomi złowieszczych odgłosów uderzających falami o rotundę, zajęci byli swymi sztywnymi kroczkami, krążeniem po kulistych i eliptycznych orbitach. Przez ostatnie mniej więcej pół minuty Casanova wpatrywał się w plecy pewnej młodej kobiety: miała suknię o staniku z kwiecistego jedwabiu i kremowych spódnicach, błękitne kokardy na ramionach oraz haftowane pantofelki - najprawdopodobniej z niebieskiej satyny - choć z tak dużej odległości nie było to całkiem pewne.

Lord Pembroke coś jeszcze mówił, teraz już dużo natarczywiej, Casanova jednak nie słyszał jego słów. Taniec dobiegł końca. Kobieta, wciąż odwrócona plecami, uniosła ramiona, ukazując rozkoszne dołeczki nad łokciami i dłonie obciążone różowymi rękawiczkami. Casanova podniósł się, drżąc na całym ciele. Nie rozumiał, co się z nim dzieje. Czyżby miał halucynacje? Czy to z powodu trunku? Zaczął wolno odsuwać się od stołu, ale jakimś dziwnym trafem zaplątał się w fałdy obrusa i kiedy chwiejnym krokiem wychodził z niszy, kielichy, talerze i sztuce pospadały z trzaskiem na ziemię. Nie zatrzymał się jednak, nie próbował nawet zobaczyć, jakie wyrządził szkody. Wykrzykiwał jej imię, wołał bardzo Andrew Miller 241 głośno, jednak wciąż go nie słyszała; prawdę powiedziawszy, on też ledwo słyszał samego siebie, ponieważ w tej właśnie chwili jakiś straszny łoskot rozległ się w jego głowie - łoskot, który najwidoczniej dźwięczał także w umysłach innych.

- Marie Charpillon!

Jej plecy zeszywniały. Gdy dzieliło ich najwyżej kilkanaście kroków, z zewnątrz dał się słyszeć jakiś straszliwy huk, tak jakby - gdzieś we wnętrzu ziemi - diabeł zatrzasnął piekielną bramę. Muzycy powskakiwali na ławki i stali, przyciskając instrumenty do piersi. Przypominali stado struchlałych łasic. Pod kołyszącymi się kandelabrami niektóre damy osuwały się zemdlone w ramiona swych partnerów.

- Marie Charpillon!

W końcu się odwróciła. Jakżeż była przestraszona, jak blada, jakby rzeczywiście

dla tego jednego tańca powstała z martwych. Chciał ją pochwycić - długa, wciąż pozbawiona pierścieni dłoń sięgała już niemal jej gardła - gdy drzwi rotundy, wyrwane z zawiasów, wpadły do wewnątrz z ogłuszającym trzaskiem i zostały uniesione, wraz z odzianymi w liberie odźwiernymi wysoko w powietrze siłą potężnej fali wody. Przez kilka następnych sekund ci, którzy stali w drugim końcu sali, mogli się przyjrzeć czarnemu, niszczącemu żywiołowi, wciągającemu żarłocznie w swą nienasyconą otchłań generałów, służbę, majątne wdowy i stoły zastawione po brzegi.

Casanova zaśmiał się głośno i wydał z siebie krótki, głuchy okrzyk. Rzeka sama przyszła po niego! Ranelagh nie miało dostojęstwa Tower, z drugiej jednak strony, czyż nie powinien zakończyć życia w ogrodach rozkoszy? Czarny jęzor fali już niemal go dosięgał. Usztywnił całe ciało, wykonał półobrót, a potem poczuł, że coś go unosi, kołysze nim niczym dzieckiem, i nagle zobaczył, że znajduje się na wysokości kandelabrow. Instynktownie nabrał w płuca powietrza; ostatni haust życia. Coś uderzyło go w ramię - butelka? czyjs but? Czuł, że jakaś siła ciągnie go w dół, zasysa, zdziera mu z ramion płaszcz, pozbawia butów. Rzeka obnażała go jak topielca na moście przy Blackfriars, wrzucała w wiry, obracała, zniewalała 16 Casanova zakochany 242 Casanova zakochany potęgą fali, a mimo to było cicho; kawaler słyszał teraz jedynie bicie własnego serca i szum wody naciskającej na bębenki jego uszu. Otworzył oczy. Woda nie była tak czarna, jak sobie wyobrażał. Ponad sobą widział jeziorka mlecznej świetlistości - to kandelabry wciąż rozsiewały swój blask.

Lewą rękę zaciskał na prawej dłoni Charpillon; a może to ona trzymała go kurczowo? Woda ściągnęła jej obcisłe różowe rękawiczki, jak się ściąga skórę z owocu. Ramiona dziewczyny pobłyskiwały teraz jakąś tajemniczą bielą, jej spódnice pulsowały jak olbrzymie meduzy, a wokół głowy włosy falowały niczym przedziwna krwistordzawa chmura.

Bijąc dłonią wodę, kawaler przysunął się ku Marie. Czyż nie byłby to wspaniały akt sprawiedliwości, gdyby umarła tu razem z nim, gdyby przyjął na siebie rolę samobójcy i kata jednocześnie? Jakże się teraz cieszył, że nigdy nie nauczył się

pływać! Charpillon wpatrywała się weń teraz oczami, w których widział kolejno oszołomienie, czułość i przerażenie. Próbowwała mu się wyrwać; odgadła bowiem natychmiast jego zamiary. Gdy walczyli ze sobą, przepłynął koło nich stół; mężczyzna, wciąż siedzący na krześle, z kieliszkiem szampana w dłoni, zapadał się coraz głębiej w otchłań wodną. Z kącika ust Charpillon sączyły się bąbelki - niczym sznureczek pereł. Casanova czuł, że powietrze w płucach zaczyna mu rozrywać pierś. Już za moment będzie musiał otworzyć usta i zaczerpnąć pierwszy głęboki haust rzeki. Dla chłopaka z Serenissimy nie powinno to być trudne.

Teraz trzymał ją mocno w uścisku. Charpillon już się poddała; już nie próbowała z nim walczyć. Jej włosy pieściły mu twarz, a ręce spoczywały bezwładnie na jego ramionach. Podniósł jej twarz i zobaczył - wciąż szeroko otwarte - oczy, które teraz zapadały się gdzieś w głąb głowy; oglądały już zapewne przecudne obrazy. Potężny szloch wyrwał się z ust Casanovy - i odpłynął jak połyskująca srebrzystą rtęcią drżąca bańka, w której zawarło się całe jego nieszczęście. Chwycił Charpillon w pasie, uniósł wysoko i - ach, ta jego słynna fizyczna siła! - wyrzucił z wielką mocą w górę. Patrzył, jak Marie wznosi się w chmurze kremowych spódnic, aż w końcu pochłoneły ją kręgi jasnego światła i stracił ją już na zawsze.

Wyrzucił z płuc resztki powietrza, rozluźnił się cały i zaczął opadać...

- Oddychaj, signore!

Złapał oddech; był niczym suchy trzask przecinający powietrze; niczym głęboka, ciemna noc w samym środku zimy. Finette się zbudziła, otrząsnęła i podniosła nań wzrok - na swego jedynego, tajemniczego boga. Gdy już przestał się dusić, wyciągnął rękę w kierunku swej wiernej towarzyszki, aby podrapać ją między uszami.

- Jeszcze nie - zapewnił ją szeptem.

Suczka znów się położyła; z jakąż łatwością i wdziękiem zwierzęta poruszają się między dwoma światami: jawy i snu.

- Czy tak wygląda śmierć? - spytał swej rozmówczy ni. Wydawało mu się przy tym, że kobieta tymczasem przysunęła krzesło nieco bliżej miejsca, gdzie siedział. - Czy po prostu pewnego dnia zapominamy zaczerpnąć od dechu, zapominamy

nakazać naszemu sercu, by biło, a naszej krwi, by krążyła?

- To jedynie śmierć połowiczna, signora, albowiem śmierć daje nam zapomnienie, niosąc także pamięć. Starzec skłonił głowę w kierunku tajemniczej damy, po czym podjął przerwana opowieść. Cóż innego jeszcze mu pozostało? - Była to wielka powódź roku 1764, signora. Większe go potopu nie doświadczone w owym kraju ani przedtem, ani potem. Wiatr, przyływ, a nawet księżyc zawiązały między sobą spisek. Zapewne myślisz, pani, że przesadzam, lecz przysięgam na pamięć mojego ojca - wszystkie nisko położone dzielnice znalazły się pod wodą! Jedynie dachy i iglice kościołów wystawały ponad powierzchnię. Ilu ludzi zginęło, nikt nie zliczył. Setki... tysiące. Najbardziej ucierpieli biedacy - bogacze jak gdyby wykazywali większą zdolność do utrzymywania się na falach. Mnie uratował Jarba - wyciągnął z zatopionej rotundy niemal pozbawionego ducha i złożył w mej sypialni, bym odzyskał równowagę. Na Pali Mali woda przepływała tuż pod naszymi oknami - nie dalej niż na szerokość dłoni. Przez kilka dni widziałem z łoża trupy kołyszące się na wodzie niczym upiorne lilie wodne: mężczyzn z twarzami zwróconymi ku górze, kobiety - z twarzami ku dołowi, tak jak poucza nas Pliniusz. Śmierć w falach znaleźli nie tylko ludzie, ale także psy, konie i bydło. Na ich nabrzmiałym ścierwie pływały wielkie stada padlinożernych ptaków. Straszny widok, a jakże obrzydliwy fetor! Jednak Anglicy to ludzie przemyślni i, podobnie jak mój naród, obeznani z wodą. Martwe ciała łapali w wielkie sieci i przenosili na wzgórza stojące ponad wodą, tworząc z nich wyspy-cmentarzyska, podobne weneckiemu San Michele. W końcu deszcz przestał padać i na niebie pojawiło się słońce. Król z królową wypłynęli królewską barką na ulice, żeby dodać ducha swemu ludowi. I choć wielu cierpiało głód, tłumnie wylegli na dachy, aby pozdrowić monarchę. Tak, signora, ten kataklizm wkrótce przerodził się w radosny festyn. Przewoźnicy rażno wiosłowali w swych łodziach tam, gdzie jeszcze niedawno był bruk ulicy i jeździły powozy. Dzieci dawały nurka do wody z wysokich kominów domów. Ja na własne oczy, signora, widziałem nawet fregatę Królewskiej Floty, w pełnej gali, przycumowaną do budynku opery...

- I ty, signora, byłeś w stanie rozkoszować się owym niezwykłym obrazem, tak

przypominającym twe rodzinne miasto, mając świadomość, że zamordowałeś swą dręczycielkę?

- Nie zamordowałem, pani. Prawdopodobnie nawet uratowałem jej życie.

Zobaczyłem ją wkrótce po wydarzeniach w rotundzie. Była nieco blada, to prawda, jednak cała i zdrowa zażywała przejażdżki łódką po parku wraz z matką, ciotkami i Goudarem.

- Zdaje się, że ta młoda dama miała więcej niż jedno życie.

- Wierzę, signora, że zdołałaby przechytrzyć śmierć w każdym wypadku.

- Każdym, z wyjątkiem tego ostatecznego, signore. Powiedźże mi jednak, czy poczułeś ulgę, gdy ją ujrzałeś żywą? Czy wyzwoliłeś się wreszcie z mocy owego zauroczenia?

- Signora, nie potrafię ci powiedzieć, jakie obudziły się we mnie uczucia, gdy ją zobaczyłem. To prawda, że wówczas, w rotundzie, pod wodą, wyrzekłem się jej, wyrzuciłem ją ze swego życia. Nie marzyłem już o tym, by zostać jej kochankiem, przestałem też być zazdrosny o owego fryzjera. Wszystkie me wysiłki spełzły w końcu na niczym: pogoń za Charpillon, próba - czego właściwie? - odnowy, buntu przeciw roli, którą mi los wyznaczył, buntu przeciwko woli Boga. Straciłem nawet większą część mego majątku w czasie powodzi, jak zresztą wielu innych mieszkańców miasta. Lecz gdy w końcu doszedłem do siebie, zająłem się warzeniem owej szczególnej strawy, którą mądrzy ludzie najchętniej spożywają na zimno. Jestem pewien, że słyszałaś o niej, signora...

Dwa tygodnie po przejściu wielkiej fali, gdy miasto wciąż jeszcze znajdowało się we władzy rzeki, kawaler wsiadł o zmierzchu do łodzi, w której stało dwóch konstabli. Sędzia, obejrawszy dokładnie weksle, wydał odpowiedni nakaz. Wszystko, co teraz jeszcze Casanova musiał zrobić, to wskazać, która z kobiet ma

zostać zamknięta w wieży.

Płynęli po Soho Square. Okna górnego piętra Carlisle House stały otworem. Z jednego z nich wychyliło się dziewczę w błękitnym czepeczku i zaczęło machać do kawalera.

- Monsieur! - Sophie! Przewoźnik podpłynął do okna. Casanova, który w latach młodości nauczył się trudnej sztuki balansowania na pływającym kawałku wydrążonego drewna, stanął w łodzi, wyciągnął ramię i dotknął dłoni córki. 246
Casanova zakochany

- Wyprawiamy przyjęcie - oznajmiła dziewczynka, wychylając się ku niemu. - Tak wielkie, jakiego mama nie wydała jeszcze nigdy wcześniej. Spłacimy wszystkie długi! Czy przybędziesz, monsieur? W sobotę wieczorem.

- Wstęp kosztuje cztery gwinee - dodała madame Cornelys, wciskając się w okno tuż obok dziecka. - Płat ne z góry. W złocie.

Casanova wyjął monety z sakiewki, przeliczył i podał swej córce. Madame Cornelys zniknęła w czeluściach domu, za chwilę jednak zjawiała się znowu i podała mu bilecik. Kawaler powiedział:

- Wyglądasz na zmęczoną, moja droga Tereso.

Uniosła brwi koloru mysiej sierści.

- Ty zaś, Giacomo, wyglądasz tak, jakbyś nie zmrużył oka od chwili przybycia do tego miasta.

- Dokąd się udajesz, monsieur? - dopytywała się dziewczynka. - Czemu nie wejdiesz i nie zatańczysz ze mną, jak kiedyś? I kim są ci dżentelmeni stojący z tobą w łódce?

Na Denmark Street konstable wtargnęli do domu przez okno sypialni Marie.

- To jedna z nich! - wykrzyknął Casanova, wskazując madame Augspurger siedzącą z miną osoby kompletnie oszołomionej na skraju łóżka córki. Gdy zrozumiała, o co chodzi, wrzasnęła przeraźliwie. Ciotki wbiegły do środka, po czym się rozpierzchły, konstable gonili je po wszystkich korytarzach. Z okna przyległego pokoju wychyliła się w końcu Charpillon. Kawaler przeraził się, że dziewczyna

uderzy w płacz i zacznie prosić o litość. Teraz byłby na to najlepszy moment; zapewne nie miałby w końcu dość sił, by oprzeć się błaganiom i rozpacy, Charpillon jednak - z bladą twarzą pokrytą czerwonymi plamami wściekłości - przekląła go...

- Obyś zmarł w zapomnieniu, samotny, opuszczony przez Boga i ludzi. Obyś zmarł w nędzy, jak ostatni żebrak, z nosem przegniłym niczym głąb starej kapusty!

Konstable - marszczący groźnie brwi, jednak najwyraźniej zachwyceni swą pracą, dumni, że cały ów rejwach powstał za ich sprawą - pochwycili w końcu wszystkie starsze kobiety, które teraz tuliły się do siebie, wrzeszcząc wniebogłosy, by przedstawić całej ulicy rozdzierającym krzykiem rozmiar niesprawiedliwości, jaka je spotyka. Łódź odbiła od domu. Madame Augspurgher powiewała chusteczką do córki, wciąż stojącej w oknie, wychylającej się tym dalej, im większy rozdzielał je przestwór wody. Jaki ze mnie potwór, myślał Casanova, złowieszczy i triumfujący, otulony fałdami płaszcza. - Ale ileż mrocznej radości niesie ze sobą zemsta! Nic dziwnego, że całe miasta, całe narody poddają się jej narkotycznej mocy.

Nie mogli zawieźć kobiet do żadnego z lochów, wszystkie bowiem znalazły się pod tonami wody, niespodziewanie zamieniając się w grobowce dla osadzonych w nich więźniów: tanich ladacznic, nałogowych pijaków, włóczęgów, kieszonkowców i różnych innych kanalii, których nazwiska i życiowe losy zostały stracone dla świata z chwilą, gdy owi nieszczęśnicy wydali ostatnie tchnienie. Teraz zarekwirowano niektóre wieże kościelne oraz dzwonnice, by pełniły funkcję więzień, i właśnie ku jednej z nich, St Mary-le-Strand przy królewskim pałacu Sommerset, przewoźnicy skierowali łódź. Przycumowali do ozdobnej urny na kościelnym dachu, po czym przenieśli kobiety - niczym wiązki chrustu - przez balustradę do miejsca odosobnienia, które miały dzielić z kilkunastoma młodzikami o niezwyklej pojemności płuc, przyłapanymi na nurkowaniu i okradaniu zalanych sklepów. Gdy po chwili łódź z Casanova odpływała od dzwonnicy, kawaler miał wrażenie, że spojrzenia pań Augspurgher wbijają mu się w plecy - a dokładnie w miejsce pomiędzy łopatkami - jak ostre kłykcie zaciśniętych pięści; pozostał jednak niewzruszony ich potężnym gniewem, ochraniał go bowiem pancierz jego własnego. Oko za oko. Na cios należy odpowiedzieć jeszcze potężniejszym uderzeniem. Tych

podstawowych reguł życia uczymy się już w dzieciństwie, na placu zabaw, pośród niewinnych igraszek.

6

W najbliższą sobotę Casanova wraz z Jarbą udał się na przyjęcie przy Soho Square. Wszystkie ulice i aleje wiodące w stronę placu pełne były łodzi - wielkich i małych - gdyż pani Cornelys zaprosiła cały Londyn i wszyscy postanowili u niej się zjawić. Naprędce sklecone, jednak bardzo przemyślnie pomosty biegły od ścian jej domu niemal aż do Charles Street. Wokół rozlegały się śmiechy i śpiewy. Niektórzy z gości radośnie, dla zabawy, zderzali się łódkami. Noc była rześka, zimowa; odbity księżyc kołysał się łagodnie na powierzchni wody.

Wewnątrz, w sali bankietowej, przy stole panował tłok tak niemiłosierny, że jedynie najsilniejsi z gości mogli rozsunąć łokcie na tyle, by posługiwać się nożem. Ci, którzy znaleźli się poza salą, stali w niekończącym się rzędzie prowadzącym donikąd, przemieszczającym się siłą własnego bezwładu. Casanova, przyciśnięty przez tłum do boku swego służącego, wypił kieliszek ciepłego szampana i omiół wzrokiem hol.

Zaczął uwodzić kobietę z kolczykami w kształcie koników morskich, która przesuwała się z sennym uśmiechem na twarzy tuż po jego prawej stronie. Nawet gdy już wymienili jakiś tuzin nic nieznaczących zdań - wymaganych etykietą nawet w czasie najprymitywniejszych rozpustnych uciech - kawaler wciąż nie był pewien, jakim posługiwała się językiem. Węgierskim? Jidisz? Ona jednak rozumiała go całkiem nieźle i kiedy tylko udało im się przejść przez drzwi, wyzwolili się z kleszczy tłumu i schronili na dachu, gdzie - pomiędzy dwoma kominami - Casanova posiadał jej wdzięki.

Jego drugim podbojem była wykształcona Angielka, wyzwolona, prowadząca coś na kształt kulturalnego salonu, którą - po krótkiej dyskusji na temat „Historii naturalnej” de Buffona - zdołał zaspokoić tam, gdzie stali.

Trzecią z kolei okazała się koleżanka z pensji Sophie, młodziutka dziewczyna pełna energii i ciekawości, której Casanova udzielił lekcji sztuki miłosnej w spiżarni pani de Cornelys, wśród ostro pachnących gomółek sera i beczulek pełnych solonego masła. Zachwycała go jej szkolna francuszczyzna: Dites-moi, s'il vousplait, qu'est-ce que c'est que ça, monsieur? - wypowiedana ustami delikatnymi niczym różowe płatki krewetek.

Czwartą zaś zdobyczą kawalera był najmłodszy syn pewnej bogatej hugenockiej rodziny - potentatów handlu jedwabiem w Spitalfields. Casanova, tak delikatnie i wprawnie, jak tylko on to potrafił, pokazał chłopcu, na czym polega rozkosz. Gdy wprowadził chłopca z powrotem do sali, ten był już synem najstarszym.

Piątą zdobycz, którą zagarnął, okazała się jego pierwszą. Wzruszyła ramionami, znowu coś powiedziała w swym niezrozumiałym języku, po czym wśliznęła się wraz z kawalerem pod bilardowy stół w bibliotece.

Kiedy znalazł się ponownie w zaduchu bankietowej sali, biła właśnie godzina druga i nuta dzwonów płynęła słodko nad kołysanym przez fale miastem. W tej samej chwili kawaler spostrzegł, że nieoczekiwanie znalazł się u jego boku Goudar.

- Co za radość spotkać cię tu, maestro - powiedział ów łotr głosem dźwięcznym niczym bzyczenie komara. - Ob serwowałem cię. Na pewno zgodzisz się ze mną, że dzisiejszego wieczoru wreszcie odzyskałeś swą dawną wenę. Przyjmij więc, proszę, moje serdeczne powinszowania.

Chwycił dłoń Casanovy, znów ciężką od pierścieni, i ucałował.

- Goudar! - zachnął się kawaler, wrywając rękę i ocierając ze wstrętem o poleżakietu. Jakże żałował, że nie może wyrzucić tego Mefista przez okno! Ale przecież Goudar był niezniszczalny. Tłumiąc więc złość, kawaler zadał mu pytanie: - Czy ona jest tutaj?

- Charpillon? Skądże. Przez cały czas, monsieur, popełniałeś poważny błąd, biorąc Marie za istotę pozbawioną uczuć, gdy tymczasem ma ona serce równie tkliwe jak twoje.

- A więc jest w domu? - A i owszem. Siedzi tam i wypłakuje oczy. Nie winie cię za to, coś zrobił, ale strzeż się zemsty tej dziewczyny.

- Nie okażę litości, Goudar, więc jeśli taka jest twoja misja - zakończmy rozmowę. Te harpie pozostaną w wieży tak długo, póki nie otrzymam mych pieniędzy co do szylinga.

Goudar wyszczerzył zęby w uśmiechu. Czyżby w jego oczach błysnęła litość?

- Jestem przekonany, że to już nie potrwa długo, monsieur.

- A jakimże to sposobem?

- Mój wielce szacowny towarzyszu, jako pierwszy chętnie będę słał twoje talenty, które - bez wątpienia - należy uznać za zupełnie niezwykle, jednak musisz mi uwierzyć, że w niektórych sytuacjach potrafię przewidywać wydarzenia w sposób o wiele precyzyjniejszy od ciebie.

- To być może, Goudar, ponieważ jesteś równie czujny i napięty, jak jaszczurka. Jak jaszczurczy ogon.

- Każdy człowiek, monsieur, musi wykorzystywać w życiu tę część siebie, która jest najmniej obciążona słabościami. W porównaniu z tobą jestem człowiekiem spokojnego usposobienia. Natura predysponowała mnie do roli obserwatora, powiernika; nawet, ośmielę się twierdzić, doradcy.

- Innymi słowy - skwitował Casanova - natura stworzyła cię do roli szpiega. Czy dla mnie też masz teraz jakąś radę, mędrca?

- Skoro już o to pytasz - odparł Goudar - i ponieważ, na przekór wszystkiemu, mam szczerzy zamiar pozostać ci przyjacielem, radzę, by twą następną zdobyczą tej nocy była kobieta, którą zdobyłeś pierwszą spośród wszystkich tu obecnych.

- Już to zrobiłem. Piąta była pierwsza.

- Myślałem raczej o Cornelys.

- O Teresie?

- Wówczas - ciągnął Goudar, patrząc Casanovie w oczy - nie musiałbyś opuszczać tego domu dzisiejszej nocy.

- Czy to jest ostrzeżenie? Jeżeli miałeś zamiar mnie przestraszyć, to wiedz, że ci się nie powiodło. Jest przy mnie Jarba, a także przewoźnik. Wiesz także zapewne, że nigdy nie wychodzę z domu bez oręża, którym w razie potrzeby mógłbym się bronić.

- Mimo to postąpisz roztropnie, jeśli udasz się do domu, dopiero gdy światło dnia

rozproszy mroki ciemności. Czy perspektywa nocy z Cornelys jest dla ciebie aż tak przykra?

- Nie mam zwyczaju, Goudar, zmieniać swych planów ze strachu przed bandą rzeźmieszków. Jeżeli te kreatury, o których wspominasz, zawzięły się, by mnie dopaść, znajdą mnie jutro czy pojutrze. Nie odstraszy ich dzienne światło. Natomiast jeśli nie należą do tego gatunku, nie mam się czego obawiać. Umkną, gdy na nich krzyknę, niczym sfora bezpańskich psów.

- To odpowiedź, monsieur, jakiej się po tobie spodziewałem. Ja wypełniłem swój obowiązek, zrobiłem co w mojej mocy.

- Oczywiście, Goudar, nie powinieneś mieć sobie nic do zarzucenia.

- Wkrótce się spotkamy, monsieur.

- Być może jeszcze tej nocy?

7

Minęła trzecia i gości, którzy jeszcze pozostali w domu madame Cornelys, zmorzył sen: drzemali, siedząc na krzesłach, bądź porozkładali się na stole, wśród kryształów i aromatycznych szczątków uczyty. Kobieta w kolczykach o kształcie koników morskich leżała zwinięta w kłębek na dywanie, uśmiechając się do swych snów. Casanova pogładził delikatnie jej policzek, po czym gwizdnięciem przywołał przewoźnika i wyruszył w drogę ku domowi. Księżyc wciąż jeszcze wisiał na niebie, teraz jednak już bardzo nisko, tak że niektóre ulice rozświeślały tańczące na wodzie błyski, które przypominały roje srebrzystych pszczół, natomiast inne były równie ciemne jak tajemne katakumby, biegnące pod ulicami większości wielkich miast, odbijające mrocznym echem życie świata powierzchni. Od czasu powodzi dźwięki w mieście nabrały innego pogłosu. Kota miauczącego na Cock Lane można było usłyszeć na Golden Square, mężczyznę walącego młotkiem na Ludgate można było usłyszeć w całym mieście. Głosy niosły się po wodzie niczym kawałki papieru miotane podmuchami wiatru; ludzie rozglądali się wokół, aby odkryć po chwili, że

słowa dźwięczące im w uszach zostały wypowiedziane na sąsiedniej ulicy.

Ich łódź zderzyła się nagle z końskim trupem, oślizgłym i nabrzmiętym od rozkładu. Truchło odbiło się od burty i wirując, powoli odpłynęło w dal. Chwilę później, zaledwie pięćdziesiąt jardów od bezpiecznego zacisza domu, gdy przewoźnik wpływał na Pali Mali, jakiś głos zawołał donośnie:

- Dobrej nocy, Seingalt!

- Kto tam? Kimże jesteś?

Łodzie, co najmniej trzy, wynurzyły się z mrocznego cienia.

- A więc - odezwał się Casanova, sięgając przy tym do kieszeni - słowa Goudara okazały się prorocze. Jarba! Spytaj, czego chcą ode mnie.

Służący zawołał do nich. Jakiś kształt majaczący na dziobie najbliższej łodzi odkrzyknął coś w odpowiedzi.

- Oni są konstablami, monsieur. Przybyli, by cię aresztować.

- Ale dziś jest niedziela - stwierdził Casanova. - Ni kogo nie można uwięzić w niedzielę.

- Nie, monsieur. Dziś mamy już poniedziałek - sprostował sługa.

W ciemnościach rozległ się dźwięk będący niezaprzeczalnie odgłosem odwodzenia kurka pistoletu.

- Gdzie mamy się stawić?

- Przed obliczem sędziego - odparł Jarba.

- Teraz? O tej porze?

Nie podobała mu się idea owego nocnego sądu. Czego można się spodziewać po sprawiedliwości wymierzonej w mrokach rozświetlanych jedynie ledwo migoczącymi płomykami zakopconych lampek i pochodni? Taki proceder uprawiało się w Rzymie czy Sankt Petersburgu; Casanova nie spodziewał się czegoś podobnego w tym kraju. Być może zaraza kontynentalnych pomysłów zaczęła już nękać Anglików, mimo to kawaler nie czuł jeszcze przerażenia. Aresztowano go już w wielu innych krajach, nie było więc to dlań doświadczenie nowe, niemniej gdy podążali za prowadzącą łodzią - jedna z oficerami płynęła przed nimi, druga z tyłu - zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie nazbyt pochopnie potraktował

ostrzeżenia Goudara. Prawo było niczym gęsta sieć, w którą człowiek zaplątywał się tym mocniej, im gwałtowniej walczył, by się z niej wywinąć. Służyło wielu bogom i boginiom, z których Prawda była zaledwie jedną i to wcale nie najważniejszą. Chwycił dłoń Jarby i uściśnął niby dla dodania mu ducha, lecz tak naprawdę to sam szukał pokrzepienia w fizycznym kontakcie z drugim człowiekiem.

Kierowali się na wschód. Wpłynęli w Cockspur Lane, Strand, minęli St Martin's Lane, tawernę Pod Zaprzęgiem, skład żelazny Freke'a i Blissa na rogu Castle Court, potem zaś Lumley Street i Oliver's Alley, po czym skręcili w lewo, w Southampton Street i znaleźli się na Covent Garden, gdzie już rozpoczął się ruch na pływającym targowisku zlokalizowanym w samym środku placu. Starzec z chłopcem przesunęli się obok nich w lekkim czólnie wypełnionym po brzegi rzepą. Obrzucili kawalera zaledwie przelotnym spojrzeniem, jakby przepaść między ich światami była zbyt wielka, by mogli ją ogarnąć umysłem w tak leniwej godzinie poranka.

Konstable zacumowali łodzie w pobliżu kawiarni przy Bedford. Ponad ich głowami zamigotało jakieś światło; mężczyzna z latarnią w dłoni wychylił się z okna drugiego piętra i spuścił sznurową drabinę.

- Przywiedli nas - zauważył Casanova, rozglądając się wokół, by potwierdzić swe przypuszczenia - do teatru.

Jarba odezwał się do jednego ze strażników; słowa między nimi szybko przebiegły tam i z powrotem.

- To właśnie tutaj urzęduje teraz sędzia - wyjaśnił Jarba. - Budynek magistratu zatopiły fale powodzi. - Cóż - odparł Casanova, gdy ciężka dłoń spoczęła na jego ramieniu i popchnęła go lekko do przodu - zapewne wszystko odbywa się tu zgodnie z prawem. Zaczął się wspinać po drabince.

Gdy znaleźli się w środku, człowiek z latarnią w dłoni kazał im iść za sobą, postępował jednak tak szybko naprzód, w ogóle się nie oglądając, że musieli niemal po omacku przemierzać małe, zagracone sale - teatralne pracownie i warsztaty. Z belek u sufitu zwieszały się suknie i płaszcze zdobne fałszywym przepychem szklanych koralików i złotogłowi wyczarowanego za pomocą farby. Szaty, kołysząc się lekko, stwarzały nieco upiorny nastrój - przywodziły na myśl ofiary jakiegoś

rewolucyjnego trybunału. Następnie wspięli się po kilku schodach, przemierzyli wąski pasaż i doszli do niskich drzwi, w które człowiek z latarnią zapukał głośno trzy razy. Widok rozległej przestrzeni, jaka nieoczekiwanie objawiła się ich oczom, oświetlonej pochodniami i dużą liczbą świec - przestrzeni dobrze znajomej, a jednocześnie dziwnie obcej - wprowadziła Casanovę w takie zmieszanie, że przez chwilę nie mógł zrobić kroku. Znajdowali się na najwyższym piętrze teatru, na najtańszej galerii tuż naprzeciwko sceny. Poniżej proscenium przejścia i większość łóż były całkowicie zatopione, rekwizyty i fragmenty dekoracji z jakiejś bliżej nieokreślonej sztuki unosiły się na powierzchni wody. Na ławkach galerii siedziały grupki kobiet i mężczyzn. Kiedy otwarto niskie drzwi, wszyscy zwrócili się w ich stronę, zaraz jednak powrócili do poprzednich zajęć. Niektórzy z mężczyzn, sądząc po perukach i ciemnych strojach, byli urzędnikami sądowymi: od czasu do czasu podrywali się z miejsc i głośno wykrzykiwali czyjeś nazwisko. Jeszcze inni, z plikami papierów w dłoniach bądź z głowami pochylonymi w gorączkowych naradach, byli zapewne powodami lub rodzinami oskarżonych czekającymi, by przedstawić swą sprawę. Kim byli pozostali - usadowieni wygodnie z pasztecikami, pomarańczami, fajeczkami czy gazetami w dłoniach - kawaler mógł się jedynie domyślać. Pewnie cierpieli na bezsenność lub należeli do trupy aktorskiej. W powietrzu unosiła się atmosfera okiełznanego chaosu, nudy i strachu. Sędzia - nie ów pulchny sprzedajny jegomość, który wydał nakaz aresztowania pań Augspurger - siedział u szczytu galerii, a jego oczy przesłaniała czarna jedwabna opaska, zawiązana z tyłu głowy na kokardę.

- Czemu on nosi coś podobnego? - spytał szeptem Casanova, zastanawiając się jednocześnie, z jakim nowym angielskim dziwactwem będzie musiał zapoznać się tym razem i jak wiele złota przyjdzie mu za ową lekcję zapłacić.

Jarba odparł jednak:

- To sir John Fielding. Jest ociemniały.

- Wielka to zaleta - odparł kawaler - w przypadku człowieka, który musi wymierzać sprawiedliwość.

Usiadł na ławce i czekał na swą kolej. Być może to z tego właśnie miejsca jakiś wesołek należący do stłoczonego tu zazwyczaj motłochu rzucił ogryzkiem jabłka tak,

że twarde szczątki owocu trafiły w głowę babkę Augspurger, gdy - zaledwie cztery miesiące temu! - siedzieli poniżej galerii na przedstawieniu „Artakserksesa”.

W końcu, tuż przed piątą nad ranem, wywołano jego nazwisko.

- James Casanova! James Casanova!

Doprowadzono go - wraz z nieodłącznym Jarbą u boku - do miejsca położonego o trzy rzędy niżej od fotela sędziego, tak że głowa kawalera znalazła się na wysokości sędziowskich kolan, opatulonych grubym, wełnianym pledem chroniącym przed zimnem i wilgocią.

- Casanova?

- To ja, signore.

- Czy znany jesteś także jako kawaler de Seingalt?

- Tak jest.

- Obywatel Wenecji, uważany niekiedy za obywatela Francji. Czy zechciałbyś, kawalerze, poinformować sąd o tym, jakie jeszcze inne narody raczysz zaszczycać, po dając się za ich obywatela?

- Jestem pewien, signore, że historia mojego życia jest ci dobrze znana. Poza tym, jeśli pozwolisz, chciałbym pogratulować ci, panie, twej doskonałej znajomości włoskiego. Odwiedziłeś kiedyś Oświeconą Republikę, si gnore?

- Czy wiadomo ci, Seingalt, czemu stoisz teraz przed moim obliczem? Casanova rozłożył ręce. - Pańscy konstable nie wykazywali ochoty do poinformowania mnie ani mojego sługi o naturze stawianych mi zarzutów.

- W takim razie ja ci powiem, o co jesteś oskarżony. Pewna młoda dama złożyła na ciebie zażalenie; twierdzi, że zagrażasz całości jej osoby. Jeżeli nie przedstawiś w swej obronie argumentów, które mógłbym uznać za satysfakcjonujące, zostaniesz skazany na dożywotnie odosobnienie w jednym z więzień Jego Królewskiej Mości. Teraz możesz przedstawić swoje racje bądź w milczeniu przyjąć decyzję sądu.

Przez chwilę Casanovę ogarnęło wrażenie, że ów proces w ogóle go nie dotyczy, że sądzą tutaj w tej chwili jakiegoś innego człowieka, innego nieszczęśnika, który za chwilę może na zawsze utracić wolność. Nagle złapał się na tym, że myśli o Sophie i na moment zobaczył ją oczyma duszy - w błękitnym czepeczku, stanowiącym

niejako sztandar jej niewinności. Jaki czekał ją los, jeśli zrodziła się z takiej matki i takiego ojca? Povera figlia. Bardziej niż mądrości i urody życzył jej w życiu szczęścia - a jeśli szczęście miałoby ją opuścić - to odwagi. Musi znaleźć jakiś sposób, by jej pomóc, pod warunkiem, oczywiście, że uda mu się wypłatać z obecnego szaleństwa i opuścić to miejsce jako człowiek wolny. Cóż za noc! Teraz nie było na świecie żadnej rzeczy, której nie oddałby za kąpiel, filiżankę czekolady i łóżko, ogrzane łóżko, ze świeżym prześcieradłem, chłodnym na obrzeżach, by tam złożyć swe stopy...

Gdy znów podniósł wzrok - czyżby zdarzyło mu się spać przez chwilę na stojąco? - ujrzał Jarbę nachylonego nad fotelem sędziego. Sir John pokiwał głową, po czym wezwał jednego z urzędników.

- Marie Charpillon! Marie Charpillon! - wykrzyknął skryba. Jak kłosa zboża poruszone nagłą, nocną bryzą zgromadzony na ławkach tłum zafalował, a z jego głębi wynurzyła się Charpillon wraz z matką i ciotkami. Starsze kobiety wydawały się chudsze, wyblakłe, jak gdyby więzienie rozmazało ich kontury. Twarze miały ściągnięte ze zmęczenia, jednak spojrzenie ich oczu było równie twarde, co stalowe guziki u żakietu kawalera. Żałował, że Andrew Miller 257 nie porozmawiał z nimi wcześniej. Niespodziewanie poczuł się zawstydzony.

- Będziemy kontynuować po francusku - oznajmił sędzia - tak by wszystkie strony mogły się porozumieć. W grę wchodzi wolność człowieka. A także wolność kobiety, bowiem kobieta, która nie może bez strachu chodzić po ulicach, nie może się czuć istotą wolną. Marie Charpillon, czy człowiek stojący przede mną jest tym, na którego złożyłaś skargę?

- To on, monsieur.

- Czy ów mężczyzna ci groził?

- Więcej niż przy jednej okazji.

- Czy kiedykolwiek posunął się do przemocy?

- On mnie pobił, monsieur. Bardzo ciężko pobił. A nawet kiedyś przytknął mi nóż do gardła, tak że prawdziwie drżałam o swe życie.

- Czy uczynił coś jeszcze?

- Monsieur, ten człowiek ponosi odpowiedzialność za śmierć mojej babki.

Zmusił nas bowiem, byśmy pojechały z nim na wieś, gdzie powietrze jest bardzo niezdrowe.

- Czy zgłaszasz jeszcze jakieś inne skargi?

- Nie, żadnej innej poza tym, że ten człowiek terroryzował mnie i moją rodzinę przez ostatnie pół roku.

- Dobrze więc. Monsieur Casanova, co masz na swą obronę?

- Tylko tyle, że jeżeli pogwałciłem angielskie prawa, padając ofiarą przebiegłej i bezwstydnego młodej kurtyzany oraz knoń i intryg jej wynaturzonej rodziny; jeżeli złamałem prawo, popadając niemal w szaleństwo i rozpacz na skutek monstrualnej niewierności tej młodej kobiety - wówczas rzeczywiście jestem winien, choć mi się też stwierdzić, że najgorsze więzienie nie zadałoby mi równie straszliwych tortur, jakie wycierpiałem z rąk rodziny Augspurger. Chciałbym ponadto wspomnieć, monsieur, że owe kobiety są mi winne sześć tysięcy franków.

- Ja - wtrącił niespodziewanie lord Pembroke, który zjawił się na scenie cicho jak węgorz - podjąłem się spłaty owej wierzytelności, jednak, jako że pozwany winien jest mi pięćset gwinei, to on w tej chwili jest w długach.

- Bravissimo - rzekł Casanova, klaszcząc czubkami palców i wykrzywiając przy tym usta w tak pogardliwym grymasie, że lord gwałtownie zatoczył się do tyłu - jakby coś pchnęło go niespodziewanie ze straszliwą siłą.

- Nie podoba mi się ta sprawa - oznajmił sir John, poprawiając dłonią opaskę na oczach. - Mam wrażenie, że obie strony mają wiele na sumieniu. Gdyby nie ograniczało mnie prawo i brak takiego precedensu, kazałbym skuć razem tych dwoje, wrzucić do dziurawej łodzi i posłać na środek placu. Myślę, że wówczas natychmiast nauczyliby się współdziałać w zgodzie. Powiedzże mi, monsieur Casanova, czy jeżeli odejdiesz stąd wolno, zamierzasz nadal prześladować tę młodą kobietę bądź jej rodzinę?

- Nie zamierzam, monsieur. To prawda, że jeszcze niedawno pragnąłem zemsty, gdyż nigdy przedtem nie spotkało mnie straszliwsze traktowanie ze strony żadnej kobiety. Teraz jednak chciałbym tylko spokoju.

- Spokoju? Spokoju do czego?

- By żyć. Być tym, kim jestem.

- To znaczy?

- Dręczycielem kobiet! - wrzasnęła Charpillon.

- Burzycielem rodzin! - chórem zawtórowały ciotki.

- Największym koszmarem matek! - zawołała matka Charpillon, wymachując rękami w stronę Casanovy, jak by była przemyślnym kuglarzem i w ten sposób mogła sprawić, aby zniknął na zawsze. - Czy Wysoki Sąd może sobie wyobrazić, co przeżywa matka, gdy jej córkę prześladowe podobny mężczyzna? Tak cyniczny człowiek? Jestem przekonana, że on w głębi serca nienawidzi kobiet i chciałby nas wszystkie doprowadzić do zguby.

- Monsieur - nieoczekiwanie zwrócił się do sir Johna Jarba - czy wolno mi coś powiedzieć?

Wśród towarzystwa zgromadzonego przed fotelem sędziego gwałtownie zapanowała cisza. Sir John zwrócił głowę w stronę, z której dochodził głos.

- Czy jesteś służącym pozwanego?

- Tak jest.

- Czy pozwany traktuje cię dobrze?

- Tak jak dżentelmen powinien traktować swego osobistego sługę.

- Udzielam ci głosu.

- Monsieur, z całym szacunkiem dla mojego chlebodawcy, kawalera de Seingalt, zwanego także przez niektórych Casanova, obserwowałem jego układy z tą młodą kobietą od samego początku. Zrozumiałem od razu, że nie przyniosą one szczęścia żadnej ze stron. Tych dwoje w gruncie rzeczy nie dostrzegało się wzajem, monsieur, postrzegali jedynie cienie własnych myśli. Gdy patrzyłem, jak stali bądź przechadzali się razem, miałem wrażenie, że to ludzie, którzy stoją bądź przechadzają się równocześnie, jednak w oddzielnych pokojach. Kiedy jedno coś mówiło, drugie nie słuchało. Nigdy nie mówili niczego szczerze, może z wyjątkiem dwóch lub trzech sytuacji, gdy prawda miała posłużyć im do kłamstwa. Dziwne to było dla mnie przeżycie - patrzyłem na komedię, w której rany zadawano prawdziwe. Śmieszli

mnie, ale nie mogłem im nie współczuć.

- Śmieszli? Myślę, młody człowieku, ponieważ takim mi się wydajesz, że poważnie narażasz się na utratę za trudnienia. My, oczywiście, wiemy, że służba się z nas naśmiewa, jednak nie chcemy o tym słyszeć. Jak cię zwa?

- Teraz me imię brzmi Jarba. Ale w przeszłości nosiłem także imiona inne.

- A więc, Jarbo - sędzia uśmiechnął się złośliwie - ponieważ przemówiłeś tak otwarcie, jak, twoim zdaniem, powinniśmy zakończyć to przedstawienie? Kiedy opuścić kurtynę? Czuję pokusę, by nakazać tym dwojgu złożenie małżeńskich ślubów. To leży w mej mocy.

Jarba spojrział na swego pana; Casanova, łykając łzy, skinął głową. Służący powiedział:

- Powinno się ich rozdzielić, tak jak się rozdziela dzieci walczące na ulicy.

Sędzia siedział przez moment w ciszy, ważąc coś w umyśle. Ponad głowami zgromadzonych, nietknięta przez kataklizm, jednak powoli obłaząca z farby na skutek wilgoci, zwieńczona laurem podobizna Szekspira, wykonana ręką Amicomiego, spoglądała dobrotliwie z góry.

- Kiedy byłem chłopcem - odezwał się w końcu sir John - i mój ojciec czy nauczyciel wkraczał, gdy toczyłem bójkę z innym chłopcem, zazwyczaj mieliśmy do wyboru: otrzymać różgi bądź podać sobie dłonie i rozejść się jak cywilizowani ludzie. Często, oczywiście, któraś ze stron wołała cięgi niż zniewagę potrząśnięcia dłonią zaprzysięgłego wroga. Najtrudniej pokonać własną dumę. Jeśli monsieur Casanova zareczy własnym słowem, że nie będzie usiłował widywać kobiety zwanej Marie Charpillon ani groził jej i jeżeli okaże dobrą wolę, wyciągając w jej stronę dłoń i błagając o przebaczenie, wówczas za poręczeniem dwóch szanowanych dżentelmenów zgodzę się puścić go wolno...

- I ty ścierpiałeś to, signore? Uściskałeś jej dłoń i błagałeś o przebaczenie?

- Signora - odparł Casanova, skubiąc brzeg zakietu, jakby w ten sposób chciał pomóc sobie przy wstaniu z krzesła - wolałbym w owym momencie być ciągniony za wozem po wszystkich ulicach Londynu i smagany batogiem! Wolałbym...

- Ale przecież nie ma nic prostszego nad poruszenie ręką czy otwarcie ust, czyż

nie? Ociemniały sędzia okazał się nadzwyczaj wspaniałomyślny. Kto inny mógłby cię potraktować o wiele surowiej. Gdyby sądziła cię kobieta, wówczas...

- Ty też, pani, bierzesz jej stronę! Czemu nie chcesz dostrzec, jaka była naprawdę? To doprowadza mnie do tak bezsilnej wściekłości, że miałbym ochotę kąsać własne palce. A co ze mną? Co z moim cierpieniem?

- Czy to odpowiednia pora - spytała dama, rzucając przelotne spojrzenie na świecę, z której pozostał niemal sam knot z migoczącym płomyczkiem na górze - na podobne żale?

- Ba... Głowa opadała mu na piersi. Trzymał ją prosto przez ponad siedemdziesiąt lat. To taki szmat czasu. Westchnął ciężko, a gdy znów się odezwał, jego głos był ledwie cichym szeptem. - Signora, ona też postąpiła w moją stronę i choć to prawda, że nie spotkaliśmy się dokładnie w pół drogi, że ja musiałem podejść do niej bliżej, to jednak nie musiałem skapitulować całkowicie. Jej oczy... ach... jej oczy były po prostu jak oczy, signora, lecz jej uśmiech był uśmiechem osoby, która odniosła w równej mierze zwycięstwo co porażkę. Cóż ją czekało w przyszłości? Musiało się stać tak, jak przepowiedział Goudar. Wkrótce zapewne miała odkryć, że mężczyźni przedkładają nad nią dziewczęta młodsze, o piękniejszej skórze. W owej chwili lord Pembroke był jej możliwym protektorem, ale nie zamierzał uczynić jej swą metresą i zapewnić utrzymania... Tak, wyciągnąłem dłoń w jej stronę, a gdy ją pochwyciła, uścisk był tak silny, jak uścisk mężczyzny, a nie młodej kobiety, co mnie niepomiarnie zdziwiło, bo ręce miała małe, a palce bardzo kruche. Tym, którzy nas obserwowali, musiało się zdać, że przypieczętowujemy jakiś finansowy układ, sprawę natury czysto handlowej.

- I błagałeś ją o przebaczenie?

- Tak, błagałem i to na tyle głośno, by usłyszeli mnie wszyscy zgromadzeni w sądzie. Nie odpowiedziała, ale pozwoliła, by jej ręka spoczywała w mojej dłoni o kilka chwil dłużej, niż to było konieczne. Sir John pozwolił nam odejść. Powiedział mi na koniec, że powinienem znaleźć dla siebie jakieś przyzwoite zajęcie, że mężczyzna powinien mieć rodzinę i trzymać się z dala od niebezpieczeństw, jakie płyną z posiadania kochanek, awanturczego trybu życia, czyli w gruncie rzeczy od

te go wszystkiego, co nadaje barwę i wartość ludzkiej egzystencji. Podziękowałem mu. Potem zapytałem Jarbę, czy powinienem wręczyć sędziemu łapówkę, ale już było na to za późno. Spytałem także, czy mógłbym zamienić jeszcze kilka słów z Charpillon, siedzącą nieopodal, czy nie byłoby to pogwałceniem warunków mego zwolnienia.

- Signore, a cóż jeszcze mógłbyś jej wówczas powiedzieć? Zostaliście rozdzieleni na zawsze. Linie waszego życia prowadziły was w przeciwne strony.

- To prawda. A jednak właśnie wtedy nadszedł moment, gdy mogliśmy zawrzeć między sobą pokój, nawiązać nić bliskości. Bo w miłości - wymamrotał w taki sposób, jakby w tej chwili wypowiadał myśl, która dojrzewiała w nim bardzo, bardzo powoli przez wiele lat - w miłości trzeba zachować zimną głowę...

Casanova spojrział w okno. Nad Bohemie nadciągała noc, a w dodatku, choć nie miał ochoty pierwszy do tego się przyznać, ściany komnaty wydawały mu się teraz coraz cieńsze i cieńsze. Jakże pragnął, aby Finette się poruszyła i przypomniała, gdzie są jego stopy. Spojrzął na swego gościa. W końcu zapewne owa kobieta odepnie swój woal i pokaże mu twarz - pod warunkiem, oczywiście, że przez ten cały czas nie rzucał jedynie słów w pustkę.

Powiedziała:

- Płomyka tej świecy wystarczy jeszcze, by spalić listy. Pomogę ci, panie, jeśli zechcesz.

Casanova pomyślał chwilę, po czym odrzekł:

- Nie, dziękuję, signora. Może później?

Kiedy wyszedł z gmachu teatru, ogarnęło go zdziwienie, że na świecie zrobiło się tak widno. Chociaż na dziobach łodzi targowych wciąż jeszcze paliły się latarnie, Casanova mógł już dostrzec wyraźnie szary fronton kościoła na przeciwległej stronie

placu. U boku kawalera stał Martinelli, a także wielki człowiek-cień, których Jarba sprowadził do sądu, aby poręczyli za jego pana.

- Dokąd mamy płynąć, monsieur? - zapytał sługa, który po swym wystąpieniu przed sędzią powrócił do oficjalnego tonu.

- Na Pali Mali - odparł wstrząsany dreszczami Casanova, oglądając się na budynek teatru. - Jak sądzę, udało nam się, udało się tobie, Jarba, ocalić nieco dobrego wina. I może także trochę herbaty dla monsieur Johnisona?

- O, nie, sir - odparł leksykograf - podobną okazję należy koniecznie uczcić winem. Nieczęsto zdarza mi się dopomóc w wybawieniu człowieka od dożywotniego więzienia. Dlatego chętnie wypiję butelkę dobrego wina w pańskim towarzystwie. Przewoźnik skierował łódź na sam środek ulicy, by nie zahaczać wiosłami o znajdujące się tuż pod powierzchnią wody metalowe szyldy sklepów ani nie wplątać się w linki do łowienia ryb, opatrzone maleńkimi dzwoneczkami, zwieszające się teraz z okien niemal każdego domu. Pies, który jakimś dziwnym trafem dostał się na pobliski dach, zaczął na nich ujadać. Młoda młeczarka z pełnymi mleka skopkami przepłynęła obok w lekkiej łódce, śmiejąc się do nich bez żadnego powodu.

- Z każdą godziną woda opada - zauważył Johnson. - Za pięć lat nie uda nam się przekonać żadnego cudzoziemca, że kiedyś ulicami Londynu pływały łodzie. Nikt nam nie uwierzy.

Kołysani prądem znoszącym wodę z ulic w nieckę Haymarket minęli gospodę Pod Malowanym Balkonem, potem kawiarnię Smyrna, skład księgarski Dodsleya... a już w chwilę potem przewoźnik złożył wiosła w łodzi i Jarba podniósł się, żeby uchwycić brzeg parapetu w oknie sypialni Casanovy.

Z wielkim wysiłkiem, ryzykując wywrotkę, wspięli się wszyscy do wnętrza domu. Casanova zapalił świece i wyszedł na podest schodów, by zawołać panią Feaver, która w tym nowym powietrzu, tak bardzo nasyconym wilgocią, nabrała niezwykle apetycznych kształtów - niczym suszona morela pozostawiona na noc w naczyniu z wodą. Jarba zamknął okiennice, by do środka nie wdzierał się chłód ciągnący od rzeki, a dziesięć minut później kawaler oraz jego goście - usadowieni w wygodnych fotelach ocalonych z salonu - dzierżyli w dłoniach kieliszki pełne białego

wina: sauternes rocznik 1747 z winnic Chateau d'Yquem. Wzniesli je w góre i już właśnie mieli pociągnąć pierwszy łyk trunku, gdy Casanova usłyszał dobiegający z domu naprzeciwko znajomy odgłos gwałtownie otwieranego okna.

- Szszsz! - rzekł, po czym podniósł się szybko i pchnięciem otworzył okiennice.

- Ten człowiek prześladowa mnie od miesiący. Wychylił się i rozejrzał po Pali Mali. Jarba, Johnson i Martinelli wsparli się o parapet tuż obok niego. Po przeciwnej stronie ulicy, dokładnie na wprost jego domu, wysoki, chudy, blade mężczyzna stał w oknie w wymiętej koszuli nocnej na tle głębokiej czerni pokoju.

- Posłuchajcie... Teraz! - wyszeptał kawaler. - Zawsze te same słowa. Cóż oznaczają? Czemu on tak lamentuje? Skąd owa rozpacz?

Martinelli, śmiejąc się bardzo cicho, pierwszy udzielił mu odpowiedzi:

- On mówi, że jest szczęśliwy.

- Szczęśliwy?

- Ja także często go słyszałem - stwierdził Jarba. - Tak, jak mówisz, monsieur, on zawsze wykrzykuje to samo.

- Szczęśliwy?

- Krzyczy: „Jestem szczęśliwy” i nic ponadto.

- Czy jest szalony? - spytał Casanova, przesuwając z osłupieniem wzrokiem po otaczających go twarzach.

- Najprawdopodobniej - odrzekł Johnson - jednak nie jest to groźne szaleństwo.

- A jaka szkoda, że niezaraźliwe! - dodał Martinelli, kładąc dłoń na ramieniu kawalera.

Odeszli od okna, pozostawiając okiennice otwarte, i powrócili do wina, by napełnić usta słodyczą letnich miesięcy sprzed przeszło szesnastu lat. Na zewnątrz Londyn, ów wyciśnięty plaster miodu, zaczynał budzić się do życia, wynurzał się na nowo z oparów przedświt, choć jego mieszkańców wciąż jeszcze oblepiały sny. Także nad Wenecją teraz właśnie wschodziło słońce i jakiś chłopiec, otwierając oczy, poczuł, że bierze w objęcia cały świat, w którym wszystko może się wydarzyć. Ten świat urzekał go tak samo jak pisarza, który właśnie pochylił się nad kartą papieru, chwycił lekko wargami koniuszek pierzastego pióra i zastygł w bezruchu - z

umysłem upojonym różnorodnością możliwych wydarzeń - zanim jeszcze zdecydował się napisać pierwszą linijkę, pierwsze słowo, zanim opadła z jego pióra pierwsza kropla połyskliwego atramentu i bezlitośnie wysłała go w podróż ku nieuniknionemu zakończeniu. Wraz z zapadnięciem nocy nic już nie miało pozostać całkiem takie samo, jak było. Wszędzie wokół wiele nowych historii czekało, by ktoś - na dobre czy złe - powołał je do życia.